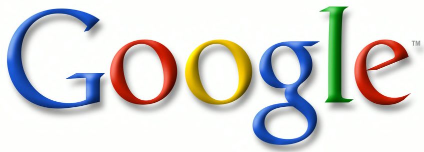
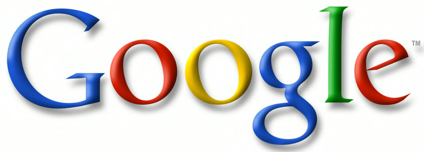






Z BIEGIEM WISŁY

Obrazki o kraju



WARSZAWA
GEBETHNER I WOLFF


STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA
JADWIGA WARNKÓWNA

Z biegiem Wisły

OBRAZKI O KRAJU

Z 200 RYSUNKAMI W TEKŚCIE i 2 MAPAMI

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW
G. GEBETHNER I S-KA 1901

Z BIEGIEM WISŁY.

Druk P. Laskauera i W. Babickiego w Warszawie.

Jadwiga Chrząszczewska. Jadwiga Warnkówna.

Z BIEGIEM WISŁY

OBRAZKI O KRAJU

z 200 rysunkami w tekście i 2 mapami



Iri na Gwiazdkę 1900

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA i WOLFFA
Kraków. G. Gebethner i Sp.
1901.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 8 Іюня 1899 г.

OBJAŚNIENIE.

Materyał do niniejszej książki czerpałyśmy ze *Słownika geograficznego*, *Słownika rzeczy starożytnych*, *Dzieł* Kolberga, Glogera, wydawnictw *Wisły*, *Geografii Polski* Tatomira, *Geografii* Nałkowskiego, *Kursu geografii* Sosnowskiego, *Zbioru Klechd* Wójcickiego, *Roczników pism peryodycznych*, oraz innych źródeł i własnych notatek.

Jadwiga Chrząszczewska. Jadwiga Warnkówna.

Warszawa, 22 maja 1899 r.

Wisła.

Jest kraina, w tej krainie,
Kędy dzielny żyje lud,
Stara Wisła zdawna płynie,
Najpiękniejsza z naszych wód.

Gdy na wiosnę prysną lody,
I zabłyśnie piękny maj,
Wnet roztoczy swoje wody,
I oblewa luby kraj.

Z nurtem Wisły mkną galary,
Omijając zdala ląd,
Albo statek siłą pary
Łamie szparko bystry prąd.

W nurtach niebo się przeziera,
I na falach słońce lśni,
A flisaków śpiewka szczera,
O prześlicznej Wiśle brzmi...

Nie odrazu jednak stara Wisła roztacza szeroko swe wody i nie odrazu dźwiga na falach dymiące kłębami pary statki, ładowne szkuty, dubasy, galary, berlinki, krypy i tratwy! Źródło jej małe, niezbyt obfite i — jak wielu innych rzek—cien-

kim strumykiem w górach się sączy. Zobaczmy, gdzie się ono znajduje.

Na Śląsku austryackim, w zachodniej części Karpat, w tak zwanym Beskidzie, wznosi się góra Barania. Ze stoków tejże góry wypływają dwa strumyki: jeden zwany Czarną,



Źródła Czarnej Wisły.

a drugi Białą Wisełką. Połączywszy się z sobą, tworzą już większy potoczek, a przelewając się po złomach kamieni i lecąc z szumem, dopływają do wsi, noszącej także miano Wisły. Tutaj zasilają nurt rzeki inne leśne strumyki, a wszystkie złączone razem, spadają ze skały i tworzą wspaniały wodospad.

Od wsi Ustronia Wisełka przybiera nazwę Wisły, wykręca się na wschód, przyjmuje od prawego brzegu rzekę

Białą, która tworzy granicę między Galicyą a Śląskiem austryackim. Naprzeciw Oświecima wpada z lewego boku Czarna Przemsza do Wisły, która staje się już odtąd poważną rzeką, płynącą wśród okolic pagórkowatych, co dodaje jej brzegom wiele uroku. Potem prawy brzeg Wisły się wygładza, rozlewa-



Wodospad Wisły.

jąc szeroko modrą wstęgą po równinie, o czem wesoły Krakowiak tak śpiewa:

Płynie Wisła, płynie
W rozkosznej dolinie,
Zobaczyła Kraków,
Pewno go nie minie,

Zobaczyła Kraków,
I wnet pokochała,
A w dowód miłości
Wstęgą opasała.

Ożywiwszy Kraków swojemi wodami, Wisła toczy się dalej, przepływa puszczę Niepołomicką i bieży ciągle na wschód aż do Sandomierza. Potem płynie w północnym kierunku, skręca zwolna ku zachodowi, przybywa pod Warszawę, Płock, a dalej pod Toruń. Poniżej miasta Gniewa rozdziela się na dwa ramiona, z których wschodnie czyli prawe, zwane Nogatem, płynie na Malborg i dwudziestu odnogami wpada do zatoki Fryskiej czyli Świeżej, lewe zaś, czyli zachodnie, znacznie głębsze, jeszcze raz rozdzielone, dwiema odnogami, Leniwką i Szkarpawą, uchodzi do morza Baltyckiego pod Gdańskiem.

Spory kawał ziemi, bo 141 mil przepływa Wisła, zanim w morzu zginie, a w ciągu swego biegu przybiera większych i mniejszych dopływów około 120.

Poboczne rzeki Wisły pięknie opisuje współczesna nasza poetka, Jadwiga Łuszczewska, znana pod imieniem Deotymy:

Z tysiącem pstrągów, dzwoniących u pasa,
Prądnik, jak rzeźki Krakowiaczek hasa,
Młodziuchna *Nida* zsypuje wiązanki
— Do swych wybrzeży — bzu i macierzanki.
Dunajce biegną, jak bracia górale,
Z okiem myśliwskiem i zwinnością gończą;
Jeden z nich w *Białe* okręca się fale,
Drugi się *Czarną* owinął opończą...
Za nimi lekko idzie modrooka,
Brzeg płaszcza Wisły niosąca, *Wisłoka*.
A teraz patrzcie! Idzie mąż wspaniały,
San, groźny rycerz, który srebrną dzidą
Druzgoce lasy i przebija skały;
Po jego falach echa Karpat idą...
Od tataraku swoich jezior wonna,
W więzach z kamieni żali się *Kamionna*;
Za nią poważna, szafirowo-lica
Idzie, jak cicha kapłanka, *Pilica*.

A teraz z drogi! Oto z wielkim szumem
Nadchodzi *Narew*, cała upowita
W płaszcz tkany złotem, ciemno - szmaragdowy;
Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.
Jakiż to kmiotek goni dumną księżnę?
A wszak to brat jej, wesoły ów żeniec,
Bug kłosonośny! Codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi;
Wiecznie na wodach wyprawia okrężne!

. . . .

Zajrzyjmy dalej; kto stopy przysunie
Nad mórz północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną *Mołtawę*,
I radującą się wiecznie, *Radunię*,
Co jak odźwierne, w progu Wisły, strzegą
Bram bursztynowych morza Baltyckiego...

. . . .

Z licznych Wisły dopływów najważniejsze są: San, Wieprz, Bug, Narew, Pilica.

San wypływa w Galicyi w Karpatach; dzieli Galicyę na wschodnią i zachodnią. W Królestwie Polskiem, na granicy gubernii lubelskiej i radomskiej za Sandomierzem, łączy się z Wisłą, której brzeg lewy upiększają w tem miejscu tak zwane góry Pieprzowe.

Wieprz przepływa gubernię lubelską, około Krasnostawu, Łęczny, Lubartowa, Kocka i wpada do Wisły pod Iwangrodem, dawniejszym Dęblinem.

Najdłuższy ze wszystkich dopływów—Bug, poczyna się także w Galicyi, potem odgranicza gubernię wołyńską od lubelskiej i grodzieńską od siedleckiej, a dalej jeszcze siedlecką i warszawską od łomżyńskiej. Pod Serockiem łączy się z Narwią, która niesie swe wody z puszczy Białowieskiej

w gubernii grodzieńskiej. Wody te przepływają przez próchnicę gnijących drzew, przybierają kolor ciemny i barwę tę zachowują na pewnej przestrzeni, nawet po połączeniu się pod Nowogeorgiewskiem (dawn. Modlinem), co Deotyma w swym wierszu nazywa: „ciemnym fałdem opony.“

Przed przeprowadzeniem kolei nadwiślańskiej Narew była główną drogą handlu zbożowego dla okolic; dziś ruch na wodach tej rzeki jest bardzo nieznaczny.

Z dopływów lewego brzegu Wisły, przez najpiękniejszą okolicę przepływa Prądnik, a najdłuższa jest Pilica, choć uboga w wodę. Oddziela ona gubernię radomską od warszawskiej i piotrkowskiej, płynie około Nowego Miasta, Warki i pod Mniszewem dosięga Wisły.

I o innych pobocznych rzekach Wisły możnaby dużo powiedzieć. Jak przywiązane dzieci obejmują one ramionami swoją macierz ukochaną, ten kraj cały, gdzie je Bóg umieścił i płynąć im rozkazał. I płyną one bezustanku, szemrząc, szumiąc, hucząc, wedle swoich sił i wedle swojej mocy i potęgi budząc życie i darząc bogactwem ziemię, która im łoże usłała...

. . . .

„Koryto Wisły nie jest stałe, często ono się zmienia; dzieje się to mianowicie, kiedy woda jej wzbiera, albo raczej kiedy już powódź opada. Stąd też dwojakie bywa łożysko Wisły: stare, zwane Matką, i nowe, zwane Łachą. Matką płyną statki w każdym czasie, Łachą tylko na większej wodzie. Jedno z takich dawnych koryt oddzielało Kraków od przedmieścia Kazimierza, lecz dziś jest zasypane i w ulicę zamienione.

Dno Wisły jest przeważnie piaszczyste, rzadko gdzie żwirowate i kamieniste. Drobne laski olszyny, topoli, osiczyny lub gęste zarośla wikliny porastają miejscami pobrzeżne jej piaski; tu i owdzie ciągną się wzdłuż rzeki podmokłe łąki i pastwiska, a wśród nich stawy lub ślady byłych stawów i starych koryt. W czasie wylewów wyrywa Wisła w miękkiej ziemi odnogi, podmula i odrywa brzegi, odsypuje nizkie ławice piasku w środku koryta i dzieli się na wiele ramion. Stąd

to w łożu Wisły napotyka się często wyspy, które zazwyczaj leżą pomiędzy nowem a starem korytem, pomiędzy Łachą a Matką. Wyspy te są dwojakie: kędy zdawna porasta dębina i nadwiślańska topola, nazywają się ostrowem; kędy zaś nagie ławiny piasku lub żwiru wikliną i wierzbą z czasem dopiero porastają, wyspę taką nazywają kępą. Im bliżej ujścia, tem większe są te wyspy; od Warszawy do Gdańska jest na Wiśle takich kęp i ostrowów 52.

Wisła wzbiera często, najbardziej zaś na wiosnę, podczas topnienia lodów i znoszenia kry, potem około św. Jana w czerwcu (Świętojanka) i w lipcu około św. Jakóba (Jakóbówka).

Po powodzi namuł żyzny pokrywa jałowe piaski. Puchy wierzb, wiklin i topoli posiewają te namuły i jeszcze z końcem tego samego lata, cały obszar zieleni się trawą i wiklinami, które poziom gruntu na Powiślu z latami coraz wyżej podnoszą.

Spław i żegluga na Wiśle rozpoczyna się już od ujścia Przemszy. Od Krakowa szły dawniej różne statki; teraz mniej ich widać w górnym biegu rzeki, ale zato między Sandomierzem a Gdańskiem jest obecnie stała żegluga parowa.

Z dawien dawna żeglarze wiślani zowią się flisakami. Flisak w słomianym kapeluszu lub magierce mazowieckiej, w siermiędze, przepasany rzemiennym pasem, z odkrytą piersią stoi na galarze, wsparty na rękojeści wiosła, które on zwie drygawką i wywołuje swe hasła:

„Na wodę! do lądu! wara! prądowina!“

Z pierwszymi dniami wiosny, gdy lody na Wiśle pękną i spłyną do Baltyku, a nad polami zacznie dzwonić swą piosenkę szary skowronek i ziemia powoli zaczyna rozwijać się świeżą zielonością, wybrzeża nadrzeczne ożywiają się niezwykle. Z rozweselonem obliczem flisy i oryle czekają hasła swego „retmana,“ aby dosiąść tratwy i z dźwięczną piosenką uderzyć w takt drygawki.

Malownicza i pełna ożywienia jest chwila, gdy kloce drzewa, powiązane wiciami i ułożone jedne na drugich w warstw kilka, przybierają nazwę tratwy, na którą się ładują dopiero wory ze zbożem i innymi produktami rolniczymi.

Na jednej z takich tratew jest budka drewniana, z desek zbita, którą zajmuje pisarz, co wypłaca należne myto flisom, a nadto rozdaje potrzebną żywność. Zdarza się bowiem nieraz, że tratwy muszą przybyć na spoczynek nocny do takiej przystani, gdzie niema osady w pobliżu. W tej samotni pożywienie biorą z owej budy, którą „skarbonką" nazywają. Spiżarnia ta niezbyt urozmaicone ma zapasy: kasza jęczmienna i jaglana, groch polny, słonina, wódka, oto jej główne bogactwa.

O zmierzchu, w różnem oddaleniu na wodzie błyszczą ognie na tratwach i słychać głos skrzypiec, bo dawnym flisaków zwyczajem, na każdej tratwie bodaj jeden skrzypek być musi. Z dźwiękiem skrzypek miesza się zazwyczaj wesoła piosenka, bo flisak niedarmo nazywany „gębatym," z zamkniętemi ustami nie usiedzi. Dopiero, gdy zmrok gruby opanuje ziemię, przycicha gwar, ognie zbliżają się do brzegów, przygasają i statki stoją w zatokach.

Zaledwie jednak rankiem pierwszy promień wschodzącego słońca zarumieni wzgórza, a ptastwo zanuci w wiklinach, już i flisacy chwytają w ręce wiosła i odbijają od brzegu."

Tratwy płyną coraz dalej i dalej. Czasem oko flisaka spocznie na nadbrzeżnej wiosce lub miasteczku, czasem przemknie się obok tratew szybki parowiec, buchając kłębami dymu, a czasem uderzenie drygawki i plusk wody spłoszą stado czajek, które z krzykiem polecą na inne ostrowy lub kępy. A flisak wiosłem wodę uderza, w toń jej modrą patrzy i rozweselony, że już znowu może płynąć po swej rzece ukochanej, nową o Wiśle piosenkę zaczyna:

„Hej! flisacza dziatwo,
Hej! dalejże, dalej!
Płyń do Gdańska z tratwą
Po szumiącej fali.

Płyń, ochocza wiaro,
Z bukiem, dębem, sosną,
I z Wisełką szarą
Piosnkę gwarz radosną.

Gdy brzmi na jej łonie
Nasza pieśń wesoło,
Wtórzcie nam wód tonie,
Wtórzcie z szumem wkoło.
Lekko, cicho, gładko,
Nieś nas, Wisło nasza,
Na twych falach, matko,
Nic nas nie zastrasza.

Bo choć nad twym szlakiem
Burza się rozsroży,
Czuwa nad flisakiem
Blask opieki Bożej.
Płyń więc, płyń, o tratwo,
Pan Bóg cię ocali,
Płyń z flisaczą dziatwą
Dalej, dalej, dalej!“

Śląsk i Ślązacy.

U stóp zachodniego Beskidu, z którego Wisła wypływa, ścielą się po falistych pagórkach urodzajne pola, tworzące łagodne przejście z okolic górskich w obszerne płaszczyzny. Kraj ten, ponieważ leży na stoku gór, czyli na ich „ślęzinie,“ nazywa się Śląskiem. Ślęzami nazywała się też dawniej góra Sobótka na Śląsku, a płynąca niedaleko tej góry rzeczka zowie się do dziś dnia Ślęzą.



Ślązaczka.

Z dawien dawna kraj ten był zamieszkały przez Słowian, tak zwanych Ślężan, i należał do Polski. Odpadł już jednak od niej r. 1163, a to takim sposobem: Bolesław Krzywousty, „co z Niemców narobił kapusty,“ jak mówi przysłowie, gdy umierał, podzielił kraj pomiędzy swoich czterech synów.

Najstarszy z nich, Władysław nie kontentował się wydzieloną sobie ojcowizną i zaczął wojować z braćmi i zabierać im ich mienie. Wtedy panowie polscy ujęli się za pokrzywdzonymi i wypędzili Władysława, który niedługo potem na obczyźnie życie zakończył. Synom jego odstąpił stryj Bolesław Kędzierzawy Śląska, byleby już tylko sobie nie rościli pretensyi do innych ziem Polski.

Potomkowie owi Władysława Wygnańca żenili się z Niemkami, coraz bardziej sami niemczeli, wreszcie zaczęli sprowadzać kolonistów niemieckich na Śląsk. Ludność obca napływowa zalała kraj, zwłaszcza tak zwany Śląsk dolny po zachodniej stronie Odry. W Śląsku górnym i średnim zagnieździło się Niemców mniej.

Piastowie do r. 1625 panowali na Śląsku. Kraj ten z biegiem czasu przechodził różne koleje. Dzisiaj południowa część Śląska należy do Austryi i ten nazywa się austryackim, a północna, znacznie większa, do Prus.

O Śląsku pruskim i przepływającej go rzece Odrze, pomówimy kiedyindziej; teraz zapoznajmy się bliżej z Śląskiem austryackim.

Składa się on z dwóch prawie równych sobie obszarów: zachodni należy do obrębu gór Sudetów [1]), a wschodni do Karpat.

Z powodu sąsiedztwa gór, ma kraik ten położenie piękne, ale klimat dosyć ostry, a grunt miejscami kamienisty. To też mieszkańcy—prócz rolnictwa—zajmują się górnictwem i wydobywają z ziemi w obfitości węgiel kamienny i żelazo. Wielu też Ślązaków trudni się przemysłem fabrycznym, bo kraik ich maleńki, mający zaledwie 94 mile kw. jest bardzo zaludniony i musi dużo mieszkańców wyżywić. Mieszkańcy ci, przeważnie Polacy, Czesi, Łużyczanie, są bardzo pracowici i dosyć oświeceni. Są oni bardzo przywiązani do swego kraju i nie

---

[1]) Góry pomiędzy Czechami a Slaskiem.

lubią go opuszczać, stąd też powstało u nich przysłowie: „Czyj kraj chwal, a swego się dzierż.“



Cieszyn.

Najdawniejszem i najgłówniejszem miastem na Śląsku austryackim jest Cieszyn. Leży on w pięknej okolicy, u stóp Beskidów nad rzeką Olsą. Był dawniej stolicą jednej gałęzi

Piastów śląskich, tak zwanych książąt Cieszyńskich. Jest to bardzo starożytne miasto, podobno założone na początku IX wieku.



Rynek w Cieszynie.



Cieszyn w r. 1640, podług starego sztychu.

W Cieszynie wychodzi gazeta polska, zatytułowana: „Gwiazdka Cieszyńska;“ w r. 1895 założono tam polskie gimnazyum. W okolicy Cieszyna żywioł polski przeważa.

Lud na Śląsku mówi starodawnym językiem polskim, takim, jakiego nasi praojcowie używali przed wiekami.

«Imościnka rządzili, żeby kupić szołdrę, krupnioki i żymły.» To znaczy: „Pani mówiła, żeby kupić szynkę, kiszki i bułki.“ Drzewo rosnące nazywają *„strom,“* modlić się, to *„rzykać,“* a rozmawiać *„rządować;“* komornik to — *sekutnik,“* a zsiadłe mleko *„kiszka.“* [1]).

Oprócz Cieszyna, do znaczniejszych miast należą: Opawa, dzisiaj stolica Śląska austryackiego, najludniejsze i bardzo porządnie zbudowane miasto; Bielsko na granicy galicyjskiej; Biała, w której zostanie wkrótce założone drugie na Śląsku austryackim gimnazyum polskie, imienia Adama Asnyka, poety polskiego, zmarłego r. 1897, a wreszcie już wyżej wspomniana wieś Wisła, mająca 5,000 mieszkańców, a ciągnąca się na trzy mile.

Lud śląski nietylko do swej ziemi jest przywiązany; kocha on także stare zwyczaje i zachowuje je najtroskliwiej. Jedną z takich dawnych uroczystości, pochodzących jeszcze zapewne z czasów pogańskich, jest uroczystość Nowego latka, zwana także Maikiem lub Gaikiem. Na wiosnę, zwykle we wtorek wielkanocny, dziewczęta biorą gałąź świerkową lub sosnową, ozdabiają ją wstążeczkami, a przywiązawszy na jej wierzchołku lalkę, która ma oznaczać królowę wiosny, obchodzą wszystkie we wsi domy, śpiewając wesołą pieśń i winszując „nowego latka.“

„Gaiczek zielony [2])
Pięknie przystrojony,
W czerwone wstążeczki
Przez śliczne dzieweczki.
Na podwórzu gołębica,
Na polu śliczna pszenica,
Zieleni się, kwitnąć będzie;
Pan gospodarz chodzi wszędzie,

[1]) Zebrane z ust ludu na miejscu.
[2]) Gaik obchodzony bywa i w innych stronach, np. w kaliskiem.

Niechże chodzi, niech obchodzi.
Patrzy, jak pszeniczka wschodzi.
Gospodyni w oknie stoi,
W złoty czepiec główkę stroi,
Kluczykami pobrzękuje,
Dla nas poczęsne szykuje.
Wyjrzyj, pani gospodyni,
Nowe latko w twojej sieni.“

Ślązacy kochają również i Wisłę, która choć na Śląsku jeszcze niezbyt szeroka, daje się jednak mieszkańcom nieraz dobrze we znaki, gdy wylewem na wiosnę spustoszy całą pracę rolnika. Oni jednak pamiętają tylko o dobrodziejstwach matki Wisły, a o jej gniewie zapominają łatwo, gdy tylko wody opadną i brzegi się zazielenią. Mieszkańcy Powiśla śląskiego nazywają się sami Wiślanami.

Podanie o Wiśle. [1])

Wśród Wiślan o powstaniu Wisły istnieje następujące, pełne fantazyi, podanie:

„W zamierzchłych czasach żył potężny król, nazwiskiem Beskid, wraz z swą małżonką Boraną, władczynią lasów i zwierząt. Gdy Beskid umarł, Borana osiedliła się na najwyższej górze i wychowała troje dzieci: dwie śliczne córki, Czarnochę i Białkę, opiekunki wód, i syna Lana, który miał nad łąkami i polami panować.

Gdy Borana uczuła się blizką śmierci, zaleciła córkom rozprowadzić wody po świecie, a synowi — pozakładać łąki i pola uprawne. Posłuszne dzieci wypełniły wolę matki. Lan użyźniał ziemię i zasiewał pola urodzajnem zbożem; Czarno-

---

[1]) Według Bogumiła Hoffa: «Początki Wisły i Wiślanie.»

nocha zapłakawszy, po łagodnej pochyłości zeszła w dolinę po stronie południowej, żywa zaś i wesoła Białka pobiegła ku północy, nie zważając na skały i przepaści, i w dolinie — ku wielkiej radości — spotkała się z siostrą, Czarnochą. Odtąd postanowiły nigdy się nie rozłączać i razem postępować dalej, ale daleko nie zaszły, bo niejaki Czantor z braćmi swoimi zastąpił im drogę i zamknął w dolinie.

Siostry były tam szczęśliwe, bo Czantor zasłaniał je od zimnych wiatrów i gorących promieni słońca; zato w podzięce zraszały stoki gór, które niebawem pokryły się pięknymi lasami, pełnymi traw i kwiecia.

Aż raz matka-ziemia kazała rozstąpić się górom i wypuścić wody. Czantor musiał być posłusznym, lecz obawiał się puścić siostry na nieznane drogi i dlatego wysłał tylko jedną falę, aby wywiedziała się o drodze. Siostry zrobiły wieniec z kwiatów nadbrzeżnych i, ozdobiwszy nią falę wysłaną, żegnały ją serdecznie.

Pierwsza ta fala, zwana *Wyszła*, czyli Wisła, wypłynąwszy z gór ulubionych, już się chciała do sióstr wrócić, ale spostrzegłszy góry krakowskie, ku nim podążyła i radośnie przez nie została przyjętą. Póżniej odwiedziła strony sandomierskie, warszawskie, płockie, włocławskie, toruńskie, a wypłynąwszy z ziemi chełmińskiej, pobiegła do morza.

Za tą pierwszą falą wysyłają siostry coraz to inne fale, które płyną zawsze tą samą drogą. A stało się to wtedy, gdy słońce podniosło się najwyżej i najbujniej zakwitły kwiaty. Odtąd na pamiątkę tego zdarzenia dziewczęta wzdłuż całego brzegu Wisły obchodzą *wianki* w przeddzień św. Jana, puszczając po wodzie wieńce z kwiatów. Odtąd także wodę, przepływającą po dolinie, do której zeszła Czarnocha, nazywają Wisłą Czarną, a siostrę jej—Białą. Góra, gdzie przebywała Borana, zowie się Baranią, a tam gdzie mieszkał Czantor, Czantoryą; lud mieszkający między górami — góralami, a lud w dolinach — Lanami, Lachami lub Polanami.

W stronę Krakowa.

W dawnych czasach, kiedy nie było jeszcze dogodnych dróg i gościńców, a po obszernych równinach szumiały nieprzebyte gęste puszcze, ludzie osiedlali się najchętniej nad brzegami rzek. Woda była najlepszym środkiem komunikacyjnym; nad wodą łatwo było hodować trzody i uprawiać łany, użyźnione wylewami rzek. To też i wybrzeża Wisły z dawien dawna były zamieszkałe. Po obu stronach rzeki powstawały osady, oraz warowne gródki, a te zamieniały się z czasem w miasta, miasteczka i wioski.

Od źródła Wisły aż do jej ujścia jest mnóstwo na całem Powiślu różnych miast i osad; postaramy się opisać choć najważniejsze.

Przy ujściu do Wisły rzeki Soły, leży *Oświęcim*, stolica dawnego księstwa Oświęcimskiego, należącego teraz do Galicyi, a zatem do Austryi.

Kazimierz Sprawiedliwy podarował jednemu z książąt śląskich, a swojemu chrzestnemu synowi r. 1179 ziemię Oświęcimską, która później wyniesiona do godności księstwa, był własnością książąt Oświęcimów.

W XV-ym wieku Jan Oświęcim wraz z bandą szlachty rozbójniczej, napadł na pogranicze polskie. Za wyrządzone Polsce krzywdy, oblężony w swym zamku, zgodził się za wynagrodzeniem pieniężnem księstwo swe Polsce wraz z miastem Zatorem odstąpić.

Oświęcim pod rządami królów polskich wzniósł się do wielkiej świetności; podupadł dopiero podczas wojny szwedzkiej r. 1655. za Jana Kazimierza.

Dzisiaj miasteczko liczy kilka tysięcy mieszkańców i jest ważnym punktem handlowym na pograniczu Śląska pruskiego.

Z dawnych zabytków zachowały się: kościół parafialny, ratusz i nad rzeką Sołą ruiny starożytnego zamku.

A teraz płyńmy dalej Wisłą: przy połączeniu z nią rzeczki Skawy widzimy miasto *Zator*, o którem już wspomnieliśmy, mówiąc o księstwie Oświecimskiem. Przypatrujemy się starożytnemu kościołowi Farnemu, oraz zamkowi, który odnowiony i zamieszkały, mieści w swem wnętrzu bogate zbiory: zabytków rzeźby, starych zbroi, posągów, pięknych obrazów. Jest on własnością prywatną.



Tyniec.

Mijamy *Tyniec*, wieś z ruinami opactwa Benedyktynów, które założył Bolesław Chrobry. Z Tyńca rozchodziło się pierwsze światło wiary i oświaty po Polsce. Było tam niegdyś i grodzisko warowne; stanowiło ono wstępną obronę Krakowa.

W *Bielanach* zachwycamy się ślicznie położonym klasztorem Kamedułów. Stoi on na wysokiem wzgórzu, pokrytem gęstym lasem na wyniosłym i stromym Wisły brzegu. Podobno miejscowość ta otrzymała swą nazwę od białych habi-

tów, którymi się odziewają Kameduli, zakonnicy, mający bardzo surową regułę.

O ich życiu tak pisze poeta Franciszek Wężyk[1]):

„Jakaż cichość kościelne osiadła sklepienie!
Nigdy w niem głosów ludzkich uroczyste brzmienie
Ni dźwięki, które organ roztacza wspaniały,
Przesyłanych do niebios modłów nie przerwały:
A nie dufając dosyć samych miejsc wrażeniu,
Każda ściana w napisach wzywa ku milczeniu.



Bielany pod Krakowem.

Przebieżmy te siedliska smutku i żałoby:
Tu widzimy umarłych, tam żyjących groby.
W nich zakonnik od zgiełku i ludzi daleki,
Słodzących życie związków zrzekłszy się na wieki,
By żadnem ich wspomnieniem nie był udręczony,
Od własnych nawet braci mieszka odłączony.
Rozmyślaniem o śmierci bez przerwy zajęty;
I śmierć wszystkie na pamięć przywodzą mu sprzęty;

---

[1]) Fr. Wężyk ur. 1785, zm. 1862 r.

Codzień gotów doczesne w wieczne zmienić życie,
Trumnę ma on za łoże, a kir za pokrycie.
Jedna rozkosz nieuchronna surowemi prawy,
Wynika z pracowitej ogródka uprawy.
Tak wzniesiony na wszystkie tego świata burze,
Po Bogu samej tylko hołduje naturze,
I zda się, że w jej dary nadto jest bogaty,
Gdy ma z pracy rąk własnych owoce i kwiaty."



Z obrazu Jana Matejki.

Jan Kazimierz na Bielanach podczas pożaru Krakowa.

Kraków.

Modra Wisła cudnie bieży
A nad Wisłą Wawel leży —
Na Wawelu gród:
Odkąd Wisła z gór tych płynie,
Stary Wawel na świat słynie
I ten chrobry lud.

Zdala Tatry świat zaległy,
I ku Wiśle góry zbiegły
Potokami stu!
A jak góry z równinami,
Tak górale z Polanami
Zetknęli się tu!
Śnieg na Tatrach — maj na dole —
Las na górach — w równiach role —
I zażywny człek!
A wzdłuż Wisły bije zdala
Niby łabędź spław górala
Pod krakowski brzeg!
Jak zasięgną tylko oczy,
Niby rajem — świat się toczy
Poprzed duszą tu:
Ćmią się sady, dymią góry.
Złocą krzyże, grożą mury
Wieżycami stu! (*W. Pol.* [1])

Pięknie jest położony Kraków! Okolice jego należą nietylko do najbardziej malowniczych w dawnej Polsce, ale nawet w Europie.

Na północ i wschód ciągną się nieprzejrzane równiny, od południa wije się pod Wawel i Skałkę szeroką wstęgą Wisła, a za nią podnoszą się coraz wyżej Krzemionki, góry nagie, wapienne; w głębokiej zaś oddali ciągną się sine grzbiety Karpat, a wśród nich rozsiadła się stożkowata Babia góra. Ku zachodowi, jakoby oderwana przez Wisłę część Krzemionek, podnosi się góra św. Bronisławy, a dalej Sikornik, piaskowe Panieńskie skały i Bielany — pokryte lasami jakby umyślnie dla upiększenia widoku, oddzielone od miasta przestronną równiną — Błoniami.

Już o dwie mile, od strony południowej, z gór Mogilańskich, przedstawia się podróżnemu wspaniale to miasto, ale

[1]) W. Pol ur. się r. 1807 w Lublinie, um. r. 1872 w Krakowie.

najpiękniej wydaje się od zachodu z Błoń lub Łobzowa, gdy jest oblane promieniami słońca. Wtedy Kraków ze swymi czterdziestoma kościołami, licznemi w niebo strzelającemi wieżycami, zamkiem na wyniosłości, okolony wieńcem plantacyi, przedmieściami, fortyfikacyami, oblany z jednej strony



Rondel Bramy Floryańskiej.



Sukiennice.

Wisłą, przerznięty Rudawą — śliczny sprawia widok i wydaje się miastem daleko większem, niż jest w rzeczywistości.

Bielski, pisarz polski z XVI-go wieku, opisując Kraków, te słowa mówi: „Patrzącemu z góry, zdaleka — miasto wydaje się podobne do orła, którego głowę przedstawia Zamek, Grodzka ulicą szyję a przedmieścia zasię około niego są jak skrzykła jakie.“



Kościół Maryi Panny w Krakowie.

To trafne porównanie odnieść można i dzisiaj do właściwego Krakowa, znajdującego się w obrębie plantacyi, to jest prześlicznych alei, otaczających miasto. Plantacye te założono w miejscu, gdzie były dawne z wielu basztami mury forteczne; zabytkiem owych baszt jest starodawna brama Floryańska, prawdziwa ozdoba miasta.

Środkowym punktem Krakowa jest Rynek, na którym znajduje się starożytny gmach Sukiennice, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, a w naszych już czasach na nowo przebudowany. Na dole tej wspaniałej budowli znajdują się sklepy, a na górze sale z galeryami obrazów, pomiędzy którymi najpierwsze zajmują miejsce arcydzieła naszego najznakomitszego malarza, Jana Matejki, zmarłego w r. 1893.

Po zachodniej stronie Sukiennic stoi wieża dawnego ratusza, służąca obecnie za strażnicę wojskową, a po wschodniej — kościół świętego Wojciecha który już r. 999 miał istnieć.

Największą ozdobą Rynku jest kościół Maryacki, zbudowany z cegły, z dwiema wieżami, z których jedna nizka, a druga wysoko wystrzeliła w górę. Szczyt jej zdobi wieniec wysmukłych wieżyczek, a nad niemi błyszczy olbrzymia, z pozłacanej miedzi korona, mająca szesnaście łokci w obwodzie.

„Patrz, Maryacka wieża stoi
Dla miasta strażnica;
Na jej widok myśl się korzy,
A dusza zachwyca!
A z tej najwyższej wieżycy
Na chwałę Boga Rodzicy
Grają pieśń ranną trębaczę,
A w sercu cicho coś płacze...“



Wielki ołtarz w kościele Maryi Panny w Krakowie.

Od dawien dawna jest ten zwyczaj w Krakowie, że rano, gdy pierwszy promień słońca padnie na szczyt Maryackiej wieży i korona, co ją wieńczy, złotem zabłyśnie, z wieży rozlega się pieśń poranna na cześć Matki Bożej, zwana hejnałem. A hejnał ten — to hasło dnia dla miasta całego. Na odgłos tej pieśni budzą się mieszkańcy Krakowa do życia, do pracy, do nowych cierpień i radości.

Wewnątrz budowa świątyni godnie odpowiada zewnętrznej postaci. Bardzo wspaniały jest wielki ołtarz, zabytek XV w., cały roboty snycerskiej, zamykany w kształcie

wielkiej szafy. Zewnątrz na drzwiach przedstawione są różne chwile z życia Zbawiciela, a wewnątrz zaśnięcie Panny Maryi wśród apostołów. Jest to dzieło Wita Stwosza, Krakowianina, sławnego rzeźbiarza, który żył za czasów Kazimierza Jagiellończyka.



Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.



Wawel od strony Wisły.

Z Rynku rozchodzi się — połączonych przecznicami — jedenaście ulic. Na jednej z nich, zwanej ul. św. Anny, znajduje się uniwersytet. Najwyższa ta szkoła została założona pierwotnie pod Krakowem przez Kazimierza Wielkiego r. 1365, lecz gdy za króla Ludwika bardzo podupadła, córka jego, królowa Jadwiga, dbająca bardzo o oświatę narodu, przeznaczyła na jej podźwignięcie znaczny fundusz. Po śmierci Jadwigi, spełniając wolę swej ukochanej małżonki, Władysław Jagiełło, przeniósł uniwersytet do Krakowa i pomieścił go w umyślnie na ten cel zbudowanym gmachu i dlatego do tąd nosi on nazwę uniwersytetu albo wszechnicy Jagiellońskiej. W XV-ym wieku była ona najlepszą z pomiędzy wszystkich tego rodzaju szkół w Europie. Dużo kształciło się w tej szkole sławnych polskich mężów, między innymi: sławny astronom, Mikołaj Kopernik; poeta, Jan Kochanowski i waleczny król, Jan Sobieski. Niedawno, obok starego uniwersyteckiego gmachu, zbudowano bardzo piękny nowy, który służy do wykładów, w starym mieści się biblioteka, obejmująca 150,000 dzieł.



Katedra na Wawelu.

Ulica Grodzka prowadzi do Zamku. Stopy jego modra Wisła myje, a czoło wznosi się dumnie ku niebu! Stoi stary za-

mek, stoi od wieków, z wysokiej góry panuje nad miastem i marzy o przeszłości. A przeszłość ta daleka, bo zamek na Wawelu jest tak dawny, jak Kraków, a może dawniejszy.

W zamierzchłych czasach był on drewniany; dopiero Kazimierz Wielki zbudował go z ciosanego kamienia, ów król mądry i gospodarny, co Polskę zastał drewnianą, a zostawił murowaną.

Do największej świetności doszedł zamek za panowania Zygmuntów; zadziwiał on wtedy cudzoziemców przepychem



Obraz Jana Matejki.

Zawieszenie dzwonu Zygmunta.

swych sal. Z upadkiem Polski i zamek krakowski podupadł. W r. 1846 zamieniono go na koszary.

W ostatnich czasach zabłysnęła nadzieja dawnej wspaniałości staremu grodowi. Cesarz austryacki, Franciszek Józef, pozwolił przenieść koszary za miasto, odnowić zamek i urządzić go tak, jak był dawniej.

Wawel — to jakby małe miasto. Jest tam dużo różnych budowli, trzy dawne baszty, a oprócz zamku, główną jego ozdobą jest Katedra, wspaniała świątynia, przebudowywana kilka razy, obejmująca 22 piękne kaplice i mnóstwo pomni-

ków historycznych. W górnym kościele znajduje się trumna srebrna z ciałem św. Stanisława Szczepanowskiego, a w dolnym prochy królów polskich.

W r. 1890 przywieziono z Paryża do Krakowa szczątki pośmiertne Adama Mickiewicza i złożono je w grobach królewskich w osobnej krypcie.

Skarbiec w Katedrze posiada bardzo wiele cennych pamiątek, jak: berło Bolesława Chrobrego, buńczuk turecki, zdobyty przez Polaków pod Wiedniem, i wiele, wiele innych.



Kościół na Skałce.

Strzemię wielkiego wezyra tureckiego, zdobyte także pod Wiedniem, wisi u stóp ukrzyżowanego Chrystusa w ołtarzu, przed którym najbardziej lubiła się modlić królowa Jadwiga.

Na wieży kościelnej wisi dzwon, Zygmuntem zwany, gdyż go król Zygmunt I odlać kazał z armat, zdobytych na Wołochach.

Onego czasu król dzwon kazał ulać,
I wybudował mu wieżę wysoką:
A król potężny miał sławę szeroką,
Chciał, by swobodnie i dzwon mógł pohulać.

Wieżę naprzeciw ściany Tatrów stawił
By większe echo na kraj świata grało,
Żeby potęgę narodu rozsławił,
I het! na północ zabrzmiał króla chwałą!
I dzwon ulany, na karkach stu wołów
Wybiegł na wieżę i zawisł u szczytu;
I wylał z siebie w przepaście błękitu,
Pierwszy hymn Bogu, jak chóry aniołów.
Głos leciał w górę, w pełnych, brzmiących kołach,
Rozbudził echa po gór chmurnych czołach,
I do stóp Boga zapłynął!..
A od imienia króla mu nadano
Na tym chrzcie „Zygmunta" miano!

(Edmund Wasilewski [1]*).*

I inne kościoły krakowskie zasługują na uwagę; trudno jednak je wszystkie wymieniać. Wspomnimy tylko jeszcze o kościele na Skałce, gdzie król Bolesław Śmiały zabił św. Stanisława Szczepanowskiego r. 1079.

W podziemiach tego kościoła spoczywają zwłoki zasłużonych mężów, mianowicie: historyka Długosza, wspomnianego już Wincentego Pola, poety Lenartowicza, powieściopisarza Kraszewskiego, Adama Asnyka i innych.

Kraków jest bardzo dawnem miastem. Stare przysłowie mówi: „Nie odrazu Kraków zbudowano," a my do tego przysłowia dodać możemy, że nie wiadomo, kiedy go zaczęto budować.

Początki Krakowa giną w pomroce wieków. Według podania miał go założyć Krakus, książę panujący nad plemieniem słowiańskiem—Chrobatów. Później Chrobacyę przyłączono do kraju Polan. Wiemy, że za Bolesława Chrobrego Kraków już do Polski należał; stał się on stolicą Małopolski, która

---

[1]) E. Wasilewski ur. się r. 1814, um. r. 1846.

graniczyła na południe z Karpatami, na zachód ze Śląskiem, na północ z Mazowszem, a na wschód z Rusią Czerwoną.

Władysław Łokietek wyniósł Kraków do pierwszorzędnego znaczenia, pomiędzy miastami w całej Polsce; on to pierwszy z królów polskich kazał się w tem mieście ukoronować r. 1319 i odtąd Kraków stał się istotną stolicą. Do wzrostu Krakowa przyczynił się bardzo syn Łokietka, Kazimierz Wielki, który — jak już wyżej powiedzieliśmy — odbudował zamek, wystawił Sukiennice, dał początek wszechnicy i wzniósł kilka kościołów.

Panowanie ostatnich dwóch Jagiellonów, Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta — to czasy największej świetności Krakowa. Później — już upadać zaczął, zwłaszcza gdy Warszawa stała się stolicą Polski.

Dzisiaj Kraków chociaż jest tylko miastem powiatowem, ma jednak wielkie znaczenie pod względem oświaty i sztuki.

Oprócz uniwersytetu mieści się w Krakowie Akademia Umiejętności. Jest to towarzystwo uczonych, zajmujące się naukami.

W Szkole Stuk pięknych kształci się młodzież na artystów malarzy i rzeźbiarzy.

Jest nadto w Krakowie dużo szkół niższych: męskich i żeńskich, kilka muzeów, zawierających cenne pamiątkowe zbiory, piękny teatr, wspaniałe pałace i różne instytucye dobroczynne.

Prawdziwem dobrodziejstwem dla dzieci krakowskich, jest park na Błoniach, założony przez d-ra Jordana, który tam urządził dla dziatwy szkołę gimnastyczną na wolnem powietrzu. Pod okiem nauczycieli młodzież bawi się tam wesoło, wyrabia siły i zyskuje zdrowie.

A teraz jeszcze raz spojrzyjmy na stary Kraków zdala, z góry św. Bronisławy.

Niewypowiedzianie piękny widok roztacza się naokół. U stóp mamy Kraków z Wisłą i Rudawą, wpadającą do macierzy dwoma korytami. Około miasta tulą się, jak dzieci do

łona rodzicielki, przedmieścia: Stradom, Kazimierz, Rybaki, Kleparz, Wesoła, Zwierzyniec. Dalej widać Krzemionki, Łobzów, Krzeszowice, Bielany, Tyniec, Mogiłę, a het, tam we mgłach kąpią się zadumane Tatry!

Podanie o smoku.

U stóp Wawelu, od strony Wisły, znajduje się wejście do wielkiej groty wapiennej, zwanej Smoczą jamą, o której istnieje oddawna następujące podanie:

Za panowania Krakusa zamieszkał w owej pieczarze smok olbrzymiej wielkości. W dzień siedział on w jamie, a w nocy wybiegał za łupem, pożerając nietylko bydło, ale i ludzi, a zwłaszcza młode dzieweczki. Strach wielki padł na Chrobatów; kto mógł, chronił się do lasów, a Krak—już wówczas sędziwy—brodę ze smutku targał i zachęcał synów, aby smoka zabili, przyrzekając, że ten, który smoka zgładzi, księciem po nim zostanie.

Starszego syna nie trzeba było długo namawiać. Wziął skórę baranią, wypchał ją siarką i smołą i wrzucił smokowi do jamy. Wiecznie głodny potwór pożarł ją natychmiast, siarka mu wnętrzności spaliła i śmierć zadała.

Młodszy – zazdroszcząc sławy i przyszłego tronu bratu, zabił go wkrótce na łowach, a zbrodnię swoją w tajemnicy chował.

Stary Krakus sądził, że jego pierworodny od smoka zginął, smucił się więc, smucił śmiercią syna i niedługo po nim zstąpił do mogiły, wprzód jednak na górze Wawel zbudował zamek na pamiątkę pognębienia straszliwej bestyi.

Na Krakusowym tronie zasiadł ów bratobójca, lecz niedługo cieszył się owocami swej zbrodni. Prawda wyszła na wierzch; wypędzono mordercę z kraju, a koronę książęcą ofiarowano jedynaczce Krakusowej, pięknej i cnotliwej Wandzie.

Gdy wieść ta się rozniosła po sąsiednich krajach, liczni książęta zaczęli się ubiegać o rękę władczyni Chrobatów,

a między innymi Niemiec Rytygier. Wanda nie chciała zostać żoną księcia obcego narodu, odmówiła Rytygierowi; wtedy mściwy Niemiec najechał Chrobacyę, ogniem i mieczem ją pustosząc. Nieszczęśliwa księżna nie chcąc, aby się z jej przyczyny krew niewinna przelewała, poświęciła swe życie bogom i utopiła się w Wiśle. Zasmucony lud wydobył ciało z wody, pochował je za Krakowem pod wsią Mogiłą, a na grobie usypał kopiec, noszący po dziś dzień nazwisko: „Mogiły Wandy."



Rękawka.

Ile jest prawdy w tem całem podaniu — trudno dociec; niezawodnie jednak Krakus i Wanda istnieli, bo i Krakusa mogiła na wierzchołku góry Lasoty na Krzemionkach świadczy o tem.

Rękawka.

W trzecie święto Wielkanocne lud krakowski dąży tłumnie na mogiłę Krakusa. Już od samego rana przeciągają całe

gromady przez Wisłę po moście, a każdy coś niesie, to w zawiniątku, to w koszyczku. Wysłuchawszy nabożeństwa w pobliskim kościołku, śpieszą wszyscy na Lasotę; bogatsi wchodzą na wierzchołek, a biedni, jako też i dzieci zostają u stóp góry. Wtedy zaczyna się zabawa. Zgromadzeni na szczycie rzucają na dół pierniki, jabłka, orzechy i inne przysmaki, a tłum, zebrany na dole, je chwyta.

Dawniej rozdzielano ubogim na mogile Krakusa resztki święconego.

Rękawką nazywa się ten obchód dlatego, że lud na mogiłę Krakusa znosił podobno ziemię w rękawach.

Tę dawną zabawę narodową tak opiewa piosenka:

„Zielona trawa, zielona!
A stara Wisła spieniona!
Hen na Podgórzu Rękawka —
I wielkanocna zabawka!

A na Rękawkę się sypie
Naród z Krakowa po moście:
Ciesz się, narodzie, na stypie —
Bywa Wielkanoc po poście!

Zielona trawka, zielona,
Słońce przygrzewa z zachodu,
Na kopcu pełno narodu —
A stara Wisła spieniona...“

Konik zwierzyniecki.

Inną zabawą miejscową, niemniej wesołą, jest Konik zwierzyniecki. Odbywa się on w oktawę Bożego Ciała, a początek jej sięga także — choć nie Krakusowych, ale jednak bardzo dawnych czasów. Miał on być taki:

Razu jednego w oktawę Bożego Ciała w czasie procesyi, przeciągającej pobożnie po ulicach miasta, nadeszła nagle wieść, że Tatarzy przeprawiają się od strony Zwierzyńca.

Trwoga padła na wszystkich. Powstał płacz, krzyk, lament! Przestraszony tłum pierzcha na wszystkie strony, a tylko duchowieństwo z Przenajświętszym Sakramentem do kościoła zawraca.



Konik zwierzyniecki.

W tem od strony Wisły słychać wesołe okrzyki i niebawem nadbiega włóczek [1]) w ubraniu tatarskiem, oznajmiając radosnym głosem, że nieprzyjaciele już pierzchnęli sromotnie, bo im włóczkowie sprawili walne powitanie, a on sam zabił murzę i jego strój przywdział... Trwoga minęła. Smutek zamienił się w radość!

---

[1]) **Tak nazywają dotychczas w Krakowie flisaków, trudniących się spławianiem drzewa.**

Na pamiątkę tego zdarzenia włóczkowie krakowscy kończą po dziś dzień uroczystość Bożego Ciała w ten sposób:

W oktawę — podczas procesyi, przy czwartej ewangelii, lud tłumnie opuszcza nabożeństwo i dąży ku Wiśle. Duchowieństwo z nielicznym orszakiem wraca do kościoła Maryackiego. Na ulicach wzmaga się coraz większy ruch. Okna i balkony przepełnione widzami.

Nagle rozlega się okrzyk: „Idzie! idzie!"

Wśród tłumów pojawia się straszny Tatar w żółtym turbanie, z buławą w ręku. Spogląda on tak przerażającym wzrokiem na zgromadzonych, że zdaje się, iż to chan Złotej hordy wstał z grobu. Niby idzie, niby siedzi na koniu, bo przed nim widać łeb koński, suto przybrany.

Tatar macha buzdyganem, tłumy — niby strwożone — uciekają, — lecz zaraz ze śmiechem cisną się jeszcze bliżej do niego, bo wiedzą, że to nie żaden groźny Mongoł, tylko jeden z wesołych włóczków krakowskich.

Nareszcie pochód zatrzymuje się w Rynku.

Tatar wyprawia harce, chorągiew włóczków powiewa, muzyka przygrywa, a datki dla groźnego wojaka sypią się zewsząd...

Wreszcie Tatar zmęczony dźwiganiem konika, (gdyż jego rumak — to łeb koński drewniany, zawieszony na pasach, a harce wyprawia włóczek na własnych nogach) wraca z towarzyszami na Zwierzyniec, tłum się rozchodzi, zgiełk się zmniejsza, wieczór zapada, a z nim — na rozbawione przed chwilą miasto — spływa cisza błoga...

Gdzieś tylko jeszcze w oddali, nad brzegiem ukochanej Wisły, słychać wesołą nutę Krakowiaka:

„W tatarskiem ubraniu, na tatarskim koniu,
Przypatrz się, jak włóczek harcuje po błoniu;
Jak wtedy harcował, tak i dziś harcuje,
Bo pamiątkę jego każdy z nas szanuje."

Pieśń łączy się z szumem fali, z pluskiem wioseł, i płynie daleko, daleko:..

Krakowiacy i wioski krakowskie.

Piękna jest ziemia krakowska, a wesoły lud, który na niej mieszka. Szczerą wesołością tchną wszystkie Krakowiaków obrzędy i zabawy, z któremi się łączą zawsze skoczne tańce, przeplatane piosenkami, pełnemi żartów i dowcipnych porównań.

Niech się - co chce - [dzieje:
Krakowiak się śmie- [je!



Krakowiacy z okolic Krakowa.

przyśpiewują sobie weseli Krakowiacy; a kiedy ich nieszczęście nawiedzi, w pierwszej tylko chwili płaczą i narzekają, ale rychło rozsądek bierze górę i już z cierpliwością znoszą najprzykrzejszą dolę. Chwycony za serce lub w chwili nagłego niebezpieczeństwa, zdolny jest Krakowiak do największych poświęceń, choćby mu przyszło skoczyć w ogień lub w wodę dla uratowania życia drugiemu, albo rzucić się

przed rozpędzone konie, aby zasłonić od stratowania zagrożone dziecię.

Ale przy całej dobroci serca unosi się Krakowiak łatwo gniewem i nieraz lada słówko, rzucone niebacznie, wywołuje zażartą, ale niedługą kłótnię, i w jednej chwili przychodzi do bitki. Nie zna on jednak długo tajonej nienawiści i po przejściu pierwszego szału niezdolny już jest do zemsty.



Z obrazu Juliusza Kossaka.

Krakowskie wesele.

Przywiązany do swej ziemi, z miłością lud krakowski przechowuje podania, związane z ruinami starych zamków i klasztorów, z mogiłami, skałami i odwiecznymi borami; obchodzi też do dzisiaj pamiątkowe obrzędy, których początek sięga częstokroć zamierzchłej przeszłości.

Znany z waleczności osobistej, wielkie ma upodobanie w sztuce wojennej. Przyzwyczajony od dzieciństwa do jazdy lubi nadewszystko konnicę.

Rolnictwo jest główne m źródłem utrzymania Krakowiaków. Trzeźwy i pracowity, obdarzony bystrym rozsądkiem, a po największej części umiejący czytać i pisać, chodzi wieśniak tamtejszy lepiej około gospodarstwa, ma porządniejsze obejście, lepsze narzędzia, bydło dorodne, konie rosłe i piękną uprząż, zwaną chomątami krakowskiemi, — jednem słowem jest zamożniejszy, choć pieniędzy zbierać nie lubi.

Ubierają się także Krakowiacy dostatnio i ładnie.

Przytoczone niżej ustępy z piosenki opisnją malowniczy strój krakowski.

„Alboż my to jacy tacy,
Jacy tacy, jacy tacy,
Chłopcy Krakowiacy,
Czerwona czapeczka
I biała sukmana,
Dana moja, dana!
Kierezyja wyszywana,
Cała drobno haftowana
Pętliczkami, guziczkami,
Kółeczkami, hafteczkami,
Dokulesienieczka
Moja kochaneczka.

A dalej:

I pasiczek z białej skóry,
Tak i owak wyszywany
Rzemyczkami przeplatany,
Gwoździczkami nabijany,
Dokolusienieczka
Moja kochaneczka.
I koziczek wyostrzony,
Do kaleteczki włożony i t. d.

O stroju dziewczyny tak piosenka się kończy:



Gorset z litej materyje,
I korali pełną szyję;
Przy nich medal z Matką Boską,
Cudotworną Częstochowską."

Pięknie też wyglądają wioski krakowskie, zdala wabiące oko rozkosznem położeniem, starannością budowy i schludnością całego obejścia.

Chaty, zwane chyżami albo budami, budowane są z drzewa na podmurowaniu kamiennem, a kryte słomą. Na każdej wznosi się komin murowany, a szpary pomiędzy belkami ścian wylepione są gliną, którą dla ozdoby nakrapiają wapnem w cętki, kreski i gzygzaki.

Sień rozdziela całą chyżę na przełaj. Z prawej strony wchodzi się do izby mieszkalnej, zwanej piekarnią, poza którą u bogatszych kmieci bywa jeszcze porządna i widna świetlica. Po przeciwnej stronie jest komora, służąca za śpichlerz i śpiżarnię.

W obejściu wozówka czyli przykłapa, stodoła, grudza, t. j. zagroda na krowy i nierogaciznę, piwniczka, buda dla psa, stajnia, a za stajnią okopana gnojówka. Na podwórku grzebie drób, czyli, jak mówi Krakowiak, gadzina. Przed oknami ogródek kwiatowy, w której dziewczęta sadzą róże, barwinek, lawendę, rutę, józefek, szałwię, miętę i macierzankę; z boku sadek, w którym zwyczajnie rosną tylko śliwy i jabłonie, a rzadko grusze i wiśnie, pod płotami agrest, porzeczki i maliny.

W niektórych wsiach budują sobie chaty całe z cegły, a tam, gdzie są kamieniołomy marmurowe, z marmuru. U uboższych chaty są oczywiście mniej przestronne i porządne; takie nazywają powszechnie budami, a część wsi gorzej zabudowaną: budzyniem.

Do wiosek pod Krakowem, najbardziej zaludnionych i najbardziej kwitnących, należą:

Łobzów, położony na zachód od Krakowa, nad rzeką Rudawą. Mieszkańcy hodują dużo jarzyn i sprzedają je na

targu krakowskim. Ziemię Łobzowianie tak starannie uprawiają, że za mórg jej płacą 1000 złr. To też między Krakowiakami takie powstało przysłowie: „Lepszy w Łobzowie zagon, niż gdzieindziej niwa.“

Dawniej królowie polscy mieli w Łobzowie letnią rezydencyę; dzisiaj ów pałac królewski zamieniony na szkołę wojskową.

Prądnik, duża wieś położona w rozległej równinie, przez którą przepływa dopływ Wisły, Prądnik albo Białucha.

Tutaj w dawnych czasach witano królów polskich, przybywających do Krakowa na koronacyę, tu spotykano także królewskie kondukty pogrzebowe.



Krakowiacy z okolic Krakowa.

Mieszkańcy Prądnika są zamożnymi kmieciami, a kobiety tej wioski słyną z wypiekania ogromnych bochnów chleba, o którym Krakowiak tak śpiewa:

„Patrzcie! oto z łaski Boskiej
Chleb prądnicki, chleb krakowski!
By u wozu przednie koło
Toczy do dom się wesoło:
Święć się, wielki Boże, w niebie:
A na ziemi, polski chlebie!

Tobą to się kmieć obdzieli
Od niedzieli do niedzieli:
Pierwszy kąsek dla matusi,
Przewybornej wart gębusi —
A dla dziatwy kąsek drugi;
Nuże w koło stańcie, sługi!

Naści, Bartku, łebski chłopie,
A nie poleń się przy snopie!
Naści, Maćku nieboraku,
A pamiętaj o koniaku![1]
Ba i Kachnie, widzę, pachnie,
I Marynie—przy kominie."

Mówiąc o Prądniku, warto też wspomnieć rozpowszechnioną tam, jako też i w innych wioskach przyległych, zabawę, „traczykiem" zwaną.

W drugie święto Wielkiejnocy młodzież, przebrana za ułanów, chodzi po wsi z drewnianym barankiem, który trzyma w przednich nóżkach piłę do rznięcia drzewa, a za poruszeniem sprężynki kiwa się i niby rznie drzewo. Ów baranek ma przedstawiać Chrystusa, który pomagał św. Józefowi w ciesielstwie.

Chłopcy wchodząc do każdej chaty i śpiewają:

„Miły gospodarzu,
Wpuśćcie nas do izby,
Bo nas tu niewielu,
Nie zrobimy ciżby.
Stoimy za drzwiami,
Jest Pan Jezus z nami,
Do izby nas puśćcie,
Bo my po śmiguście,
A dajcie, co macie dać,
Bo nam tutaj zimno stać."

Pojawienie się traczyka jest hasłem do dyngusu. Zaczynają się gonitwy z dziewczętami i chlustanie wodą wśród pisku kobiet i krzyku mężczyzn. Po poczęstunku, ułani idą dalej.

Mogiła, długa wieś nad Wisłą z mogiłą Wandy.

Swoszowice ze źródłami siarczanemi i zakładem kąpielowym.

Najludniejszą i wyglądającą na miasteczko, jest wieś *Krzeszowice* z pałacem hr. Potockich. Są tam także źródła siarczane; jest to ulubione miejsce przechadzek dla mieszkańców Krakowa. Niedaleko leży *Tenczyn* z ruinami zamku.

[1] O koniu.

A wszystkie te wioski, okolone wzgórzami, tonące w zieleni sadów, z czystemi chatami, porządnem obejściem, tem milsze czynią wrażenie, że są zamieszkałe przez lud krzepki, dziarski, żywy, dowcipny i sprytny, śpiewający przy tańcu pełną piersią wesołe krakowiaki, ale i nie leniący się przy kosie na polu lub przy cepie w stodole.

Wieliczka.

«Teraz otwórz mi, ziemio, te czarne otchłanie,
Gdzie noc wieczna udzielne dzierży panowanie,
A w rozpadłych pieczarach bezdennej głębiny,
Kryje soli pożywnej nieprzebrane miny.»

Fr. Wężyk.

O milę od Krakowa, w stronie południowo-wschodniej na podnóżu Karpat, leży miasteczko Wieliczka, głośne kopalnią soli. Kopalnie te ze względu na swe rozmiary i starożytność oddawna uznane zostały za jedną z większych osobliwości świata i ściągają rok rocznie do ubogiej mieściny tysiące podróżnych.

Podług legendy kopalnie soli w Wieliczce odkryć miała św. Kunegunda, żona Bolesława Wstydliwego; przypuszczać jednak należy, że kopalnie te wiele wieków przedtem były już znane, lecz dopiero od czasów królowej Kingi, gdy ta sprowadziła górników z Węgier, zaczęło się sytematyczne wydobywanie soli.

Kopalnie wielickie, głębokie na 300 blizko metrów, mają siedem piątr, z których tylko trzy górne są przeznaczone dla zwiedzających. Z każdego piętra rozchodzą się chodniki wysokie i szerokie, ale naturalnie ciemne, jak całe wnętrze kopalni.

Od czasu do czasu widać w nich migające się światełka i słychać uderzenia kilofów, którymi górnicy wyłamują sól na końcach chodników, przez co je przedłużają, lub też z boków,

łącząc tym sposobem jeden chodnik z drugim. Wyłamaną sól zwożą górnicy w małych wagonikach do punktu, gdzie się kilka chodników schodzi. Tam zaprzęgają do pociągu konie, przebywające całe lata pod ziemią i sprowadzają wagoniki z całego piętra na jedno miejsce, skąd znowu machiny parowe przez ogromny otwór — zwany szybem —wydobywają sól na powierzchnię ziemi.



Podróżni zwiedzający kopalnię.

Sól w Wieliczce jest otoczona ze wszystkich stron iłem, który nie przepuszcza wody. Górnicy uważają też bardzo, żeby, wyrębując sól, nie przebić tego iłu i nie wpuścić do kopalni wody, którąby ją mogła zalać. Zdarzało się jednak, że woda wdzierała się do kopalni i groziła zalaniem. Sól wielicka jest pospolicie zanieczyszczoną i wskutek tego barwy zielonej lub czarnej. W dwu jednak komorach, zwanych kryształowemi, sól jest całkiem przezroczysta i bezbarwna.

Do kopalni wielickich schodzić można po schodach lub też spuszczać się windą. Zwiedzać je można codziennie za ustanowioną opłatą, ale najlepiej wybrać się tam w jaką uroczystość górniczą, w Zielone Święta, lub w pierwszą niedzielę

lipca. Wtedy kopalnie są rzęsiście oświetlone i całe tłumy z huczną muzyką i wesołą pieśnią spuszczają się do podziemi.

Pierwszem miejsce, godnem widzenia, jest kaplica św. Antoniego, wykuta w czystej soli. Kaplica posiada wielki ołtarz z Męką Pańską i postaciami św. Klemensa i św. Stanisława. Tutaj to odprawia się kilka razy do roku uroczyste nabożeństwo dla górników.



Zejście do kopalni po schodach.

Po zwiedzeniu kaplicy i komory Urszuli, tłum schodzi po 120 stopniach na piętro drugie do komory Michałowice. Jest ona najwspanialsza pod względem rozmiarów, a majestat jej przedstawia się w całej pełni dopiero wtedy, gdy zapłonie świecznik z kryształowej soli o 300 świecach, których światło wzmacnia mnóstwo lampek i ogni bengalskich.

Przez komorę Fryderyka spuszczają się podróżni na piętro trzecie i wygodnie wyżłobionym, ślicznie wybelkowanym korytarzem dochodzą do „dworca Gołuchowskiego.“

W tem miejscu zbiegają się linie kolei podziemnej ze wszystkich stron kopalni.

Po półgodzinnym odpoczynku udają się wszyscy do komory Steinhausera, najwyższej ze wszystkich, bo posiadającej 48 metrów głębokości.

W tej komorze czekaała dawniej gości jedna z najprzyjemniejszych niespodzianek, tak zwana „jazda piekielna górników.“ Na belkach, ułożonych na krzyż i zwieszających

się na grubej linie, zasiadało z płonącemi pochodniami czterech górników i zadanym znakiem żywy ten wieniec ludzi, z pieśnią pobożną na ustach, poczynał się wznosić w górę.

Piekielna jazda jest pamiątką dawnych czasów, kiedy górnicy w braku innych przyrządów byli zmuszeni zawieszać się na linie, aby się podnieść z jednego piętra kopalni na drugie.



Kaplica w kopalni.

Od komory Steinhausera poczyna się odwrót z piętra trzeciego na piętro drugie. Droga prowadzi najprzód do słonego jeziora, po którem górnicy pływają na tratwie. Zapalają w tem miejscu ognie sztuczne i przy ich świetle powierzchnia jeziora wygląda czarująco.

Od jeziora idzie się do sali balowej „Łętów.“ Tu muzyka zaczyna grać mazura i ochocze pary rozpoczynają tany. Popatrzywszy trochę nawesołe pląsy rodzin górniczych, wraca się szybem Rudolfa windą lub schodami na powierzchnię ziemi.

Jakie uczucie ogarnia zwiedzającego pierwszy raz kopalnię, tego nawet opisać się nie zdoła. Zdaje mu się, że przebywał w krainie zaczarowanej i wrażenia tego ani inne widoki, ani czas zatrzeć nie zdołają.

Przebywanie jednak ciągłe w kopalni wpływa przygnębiająco na ludzi. Górnicy są poważni, smutni i takie—ich pieśni i legendy. Ciężka praca przy kaganku, nie rozweselona

ani jednym promykiem słońca oddziaływać musi i na usposobienie pracujących, a grożące im bezustannie niebezpieczeństwo rozżarza w nich gorącą pobożność.



Jazda piekielna.

PIEŚŃ GÓRNIKÓW.

Boże! gdzie nigdy słońce Twe nie świeci,
Tam się spuszczamy w głąb ziemi;
Na niej zostają nasze żony, dzieci —
Jak ojciec—czuwaj nad niemi.
Daj, by ten kamień, których łask Twych cudem
W wnętrznościach ziemi tejś złożył,
Naszym poczciwym wydobyty trudem —
Wdzięczność Ci świata pomnożył.

O czuwaj, Panie, czuwaj nad wszystkiemi,
Wlej dobroć w serca zwierzchników,
Błogosław znojom oracza na ziemi,
Pod ziemią—pracy górników.



Słone jezioro.

I legendy górników tchną gorącą wiarą i ufnością w Opatrzność Bożą. Posłuchajmy z nich jednej:

„Pewnego górnika zasypało raz w kopalni. Jedna ze ścian świeżo wykutego korytarza runęła, odcinając nieszczęśliwego od świata żywych. — Rozpaczająca — nad okropnym losem męża, żona górnika uciekła się pod opiekę Pana Jezusa i codziennie przed obrazem Jego zapalała świece, błagając o ratunek. Po upływie roku górnika odkopano i ku największemu zdumieniu znaleziono go żywym i zdrowym.

Opowiadał on, że codziennie przez cały czas zasypania jawił mu się obraz, przed którym paliły się świece woskowe. Pan Jezus

występował z ram obrazu i podawał zgłodniałemu bochenek chleba.

Odtąd utrzymuje się w Wieliczcze stale zwyczaj palenia świec przed obrazem cudownego Jezusa, ilekroć nieszczęście nawiedzi kopalnię lub któregokolwiek z pracujących w otchłani górników“.

OSTATNIE „SZCZĘŚĆ BOŻE.“

Słoneczko zaszło; ostatnie jego płomienne blaski zgasły na niebie, a w ziemi — rozległy się ostatnie uderzenia kilofów.

Ciężka praca górnika na ten dzień skończona.

Wysuwają się oni jeden za drugim z ciemnego wnętrza kopalni; każdy śpieszy szybko do rodzinnej zagrody i ginie szybko wśród jej nizkich ścian.

Powoli mrok zapada.

Od pól, łąk i lasów płynie słodki zapach wiosny, a z ogródków — otaczających domki górników — woń rozkwitłego bzu rozchodzi się po rosie.

Cisza naokół. Ciszę tę przerywają tylko słowiki rozśpiewane wśród świeżej gęstwiny krzewów. Zawodzą one niby radośnie, a jednak tak tęskno i rzewnie.

Wieczór ciepły, pogodny iście majowy, wysrebrzony blaskiem księżyca i wykwitających na szafirowym nieboskłonie, gwiazd.

W Wieliczce umilkł gwar dzienny i spokój taki, że gdyby nie migocące w oknach światełka, możnaby sądzić, że już mieszkańcy do snu się układli...

W tem ze wzgórza — od strony kościoła — odezwał się złowrogi głos kołatki i rozległ w ciszy smutno i boleśnie. Górnicy znają ten dźwięk. Spodziewali się go oni tego wieczora, czekali na niego. To też na ów głos ostry, rozdzierający, a tak niezgodny z ciszą cudnej nocy i słodką pieśnią słowika, otwie-

rają się chaty i z każdego mieszkania wychodzi człowiek, ciemmno ubrany, trzymając w ręku kaganek, wiszący na łańcuszku. Gromadka się łączy, rośnie, zwiększa, kaganków przybywa, coraz więcej światełek miga; snują się one jak węże ogniste tuż przy samej ziemi i kierują do jednego miejsca—do chaty, położonej na samych krańcach osady.

Tam dokoła tłumno; w oknach jasno. Czerwony blask



Z obrazu Piotra Stachiewicza.
Pogrzeb górnika w Wieliczce.

gromnic bije przez drobne szyby, a z wnętrza chaty słychać głośne łkanie.

Na środku izby — górnik w swym mundurze galowym leży na marach. Towarzysze pracy przychodzą oddać mu ostatnią posługę: odprowadzić na miejsce wiecznego spoczynku. Pod ziemią — w zmroku — w ciemnościach pracował zmarły za życia i prochy jego—nie za dnia—nie w blaskach słońca — ale pod osłoną nocy spoczną w łonie matki ziemi; bo w dzień górnikom nie stać czasu na obchody pogrzebowe: wtedy kilofy grzmieć muszą bezustannie w otchłaniach kopalni, młota

z rąk nikt popuścić nie może—choćby dla pogrzebania brata—górnika.

Niebawem nadchodzi kapłan, oraz cech z chorągwiami i rozpoczyna się smutny obrzęd.

Kilku górników bierze trumnę towarzysza na barki; inni idą w rzędach, świecąc kagankami; pieśń żałobna płynie ku pogodnemu niebu i rozlega się wraz z odgłosem kołatki wśród cichej, wiosennej nocy. Cały orszak posuwa się zwolna ku cmentarzowi.

Mieszkanie zmarłych w Wieliczce znajduje się na wzgórzu; węże ogniste wznoszą się więc coraz wyżej i wyżej, pieśń płynie i płynie, a kołatka kołace, kołace...

Stanęli na miejscu.

Kapłan odmawia modlitwy; kropi zwłoki wodą święconą. Wreszcie zabrzmiało ostatnie *requiem*. Trumna zniknęła w otwartym grobie. Górnicy otoczyli go dokoła. W oku niejednego towarzysza łza żalu błyska, a wszyscy podnoszą czapki do góry i żegnają zmarłego słowami: „Szczęść, Boże.“

To znaczy: druhu, bracie, towarzyszu pracy, radości i niedoli, szczęść ci, Boże, w tem życiu pozagrobowem.

Szczęść ci, Boże, w krainie światła i wiekuistej szczęśliwości, gdzie niema łez, smutku, krwawego znoju, cierpień i nędzy.

Szczęść ci, Boże, w tym odpoczynku wiecznym!..

Zaprawdę rzewne, wzruszające do głębi pożegnanie, przeniknięte niezachwianą wiarą w Opatrzność Boską i nadzieją obcowania z duszami wybranych w przybytku niebieskim! Czyż może być pozdrowienie życzliwsze, serdeczniejsze a zarazem uroczystsze od tego pełnego prostoty: „Szczęść Boże?“ Rozumieją jego doniosłość górnicy i pozdrawiają niem żyjących i zmarłych...

Szczęść ci zatem, Boże, pracowniku wierny i wytrwały! Spędziłeś żywot wśród mroków nocy, pozbawiałeś się dobrowolnie złotych promieni słońca, niech ci więc światłość wiekuista świeci na wieki...

Już mogiła usypana, a nad nią brzoza gałązki zwiesza i listkami cicho szumi.

Orszak żałobny wraca: kapłan na przedzie, a za nim górnicy, świecąc — jak owe robaczki świętojańskie w noc czerwcową i ginąc po jednemu, po dwóch we wnętrzu chat.

. . . .

W okienkach wkrótce pogasły światła; zapanowała cisza wielka, uroczysta. Od pól wiało świeżością majową, od ogrodów zalatywał zapach rozkwieconego bzu; noc wonna, jasna, księżycowa lała naokół swe czary, a słowiki kwiliły, kwiliły wśród sadów, gajów i na wzgórzu cmentarnem — nad świeżą górnika mogiłą.

Z Dąbrowy do Rawy.

Wyżyna Śląska, gdzie to nasza stara Wisła początek bierze, długim klinem wkracza od południa - zachodu do Królestwa Polskiego, a spotkawszy się z idącemi od Krakowa wzgórzami, zniża się stopniowo, niknie i przechodzi w doliny, co niby pasem kraj nasz w poprzek na dwie części dzielą.

Wapienne wzgórza, grunt jałowy, nieponętne to warunki dla rolnika, nie wróżą one dostatku mieszkańcom; a jednak ta część kraju, zwana gubernią piotrkowską, bogata jest bardzo, a jednak żyje tam mrowie ludzi, a jednak chleba nikomu nie braknie, co więcej, nawet wielu mieszkańców do ogromnych bogactw dochodzi i doszło.

I czemże to? Przecież ziemia uboga, nędzne i ubogie plony daje. Tak jest, ziemia jałowa, biedna, ale leżą w niej skarby nieprzebrane: żelazo, cynk, wapień, węgiel kamienny.

Niby skamieniałe rzeki podziemne ciągną się na południe gubernii piotrkowskiej pasy rozmaitych kruszców.

Wapienne wzgórza, z których wypalają wapno i obrabiają cegiełki do budowy służące, długimi sznurami, aż na północo-zachód gubernii pod Inowłódz dochodzą. Rudę cyn-

kową kopią, począwszy od Olkusza, aż do Siewierza, a pas rudy żelaznej het do miasteczka Panek za Częstochową sięga.

Lecz największem bogactwem gubernii piotrkowskiej są kopalnie węgla kamiennego w miejscowości, zwanej Dąbrowa górnicza. Minerał ten, jak wiadomo, powstał z olbrzymich roślin, podobnych do skrzypów i widłaków, które teraz jako szkodliwe drobne chwasty z pól naszych usuwamy.

Skutkiem różnych przewrotów, jakie przed tysiącami lat dokonywały się na świecie, ziemia pochłonęła te lasy, woda je zalała, piaski ścisnęły i przygniotły.

Mijały nowe lat tysiące, a zagrzebane drzewa pod wpływem ciepła, wilgoci i ciśnienia ogromnych warstw ziemi, zwęglały się powoli, aż zamieniły w masę czarną, połyskliwą, nazwaną węglem kamiennym. Im taki węgiel większą ilość lat pod ziemią spoczywa, tem staje się twardszy i czarniejszy.

I torf, powstały z różnych roślin błotnych wolno butwiejących w wilgoci, mógłby także po upływie wieków w węgiel się zamienić.

Już od lat kilkuset węgiel używany był jako paliwo, lecz wydobywanie go w większej ilości zaczęło się dopiero w początkach XIX-go wieku w Anglii, gdzie są podobno najbogatsze pokłady w całej Europie. Inżynierowie i górnicy obliczyli, że jeżeli zapotrzebowanie węgla nie wzrośnie, to Anglia wyczerpie swoje zapasy dopiero za lat czterysta, a Dąbrowa górnicza za lat dwieście.

A nie mało się tego węgla zużywa. Podobno dziennie na całej ziemi wychodzi go 14 milionów korcy i gdyby całą tę ilość można było przewieźć odrazu — pociąg musiałby składać się z 14,000 wagonów i zająłby przestrzeń tysiąc wiorst długą, czyli takąmniej więcej odległość, jak od Paryża do Petersburga. Wyliczono również, że przeszło dwa miliony górników na całej kuli ziemskiej pracuje nad wydobywaniem węgla i że ogólna wartość rocznej produkcyi wynosi tysiąc dwieście milionów rubli.

Dąbrowa górnicza.

Poetyczną nazwę Dąbrowy nosi znana w całej Europie osada fabryczna i górnicza, w dolinie rzeki Przemszy leżąca.

To nasz skarbiec, z którego codziennie armia robotników wydobywa węgiel i rozsyła po całym kraju, by wprawiał w ruch setki maszyn, pędził po szynach ładowane pociągi, oświecał i ogrzewał mieszkania ludzkie, bo wielka moc i wielkie bogactwa ukryte są w tych niepozornych, bezkształtnych bryłach, słusznie przez poetów czarnymi dyamentami zwanych. Potrzeba tylko rozumu i pracy, by je stamtąd wydobyć.

Kopalnie węgla w Dąbrowie sąsiadują i łączą się plantem kolei z hutą żelazną i cynkową, nieco opodal leżącą. Huta, widziana w noc pogodną, potężne robi wrażenie. Trzy piece rzędem, jeden za drugim stojące, tworzą jakby jedną całość i zdają się być ogromną basztą średniowiecznego zamczyska. Oko szuka tu mimowoli zwodzonych mostów, po których przed wieki wjeżdżały hufce zbrojnych rycerzy.



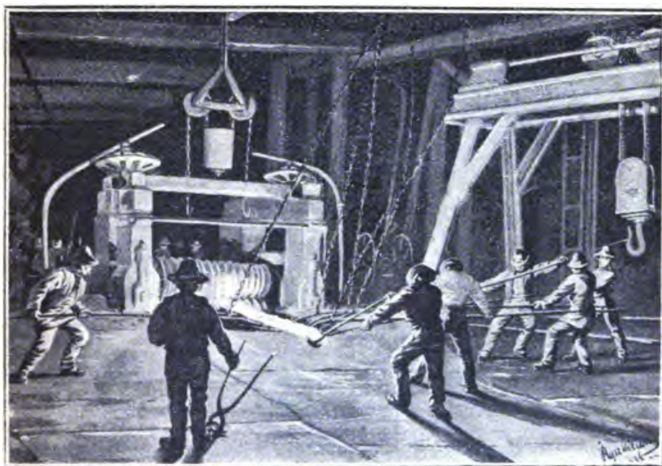
Widok ogólny Dąbrowy.

Budynki, okalające hutę, to walcownia, blachownia i fabryka drutu. Wszystkie trzy przemiany, przez jakie przechodzi żelazo, odbywają się w podobny sposób. Hutnicy podkładają pod walce olbrzymie kawały rozpalonego surowca, żelazo, popychane siłą maszyn, przesuwa się między walcami i bezkształtna bryła przybiera formę sztaby lub blachy.

W druciarni znowu robotnicy, doprowadziwszy żelazo do odpowiedniej cienkości, nawijają je na rodzaj motowidła i wyrzucają w formie wielkich wieńców ognistych.

Obok inna praca. Tu niby jakąś czarodziejską układają księgę. Z walcowni, jedna po drugiej zsuwają się karty olbrzymie i ogniste, a robotnicy podnoszą je cęgami i podkładają pod wielkie nożyce, by im nadać odpowiednie rozmiary. Te karty, to rozpalona blacha żelazna.

Huta drży, jęczy, dudni, parska... Czoło jej wieńczy korona z płomieni, wśród których — jak olbrzymie dyamenty — lśnią elektryczne światła.



Wielka walcownia Huty Bankowej.

Jak rok długi, ogień w hutach nie gaśnie, wielkie piece ciągle są czynne, bo gdyby raz zgasły olbrzymie kawały surowca, jużby ich później żadna siła ludzka stopić nie zdołała.

Mimo blizkiego sąsiedztwa górnicy z hutnikami żyją w ciągłej niezgodzie i wzajemnie drwią jedni z drugich przy każdej sposobności.

Idą, idą smolipyski,
Zamiast palców — mają łyżki
Wyszli, wyszli ze śmierdziuchy,
Okręcają się w kożuchy.

Takie są uprzejme przytyki górników do narzędzi hutniczych kształtem, przypominających łyżkę, do cuchnących gazów, wydobywających się z pieców, oraz do ciepłej odzieży, jaką hutnicy—przyzwyczajeni do gorąca—zawsze nosić muszą.

W zamian za tę piosenkę, górnicy inną również miłą słyszą.

Ziemię świętą ryje,
Wodą zgniłą żyje,
Wózki kret popycha,
A na słońcu zdycha.



Górnicy.

Ciężką jest praca górnika i wcześnie bardzo się zaczyna:

W pół do szóstej bije, [górnik się wybiera,
Żona lampkę daje i [drzwi mu otwiera.

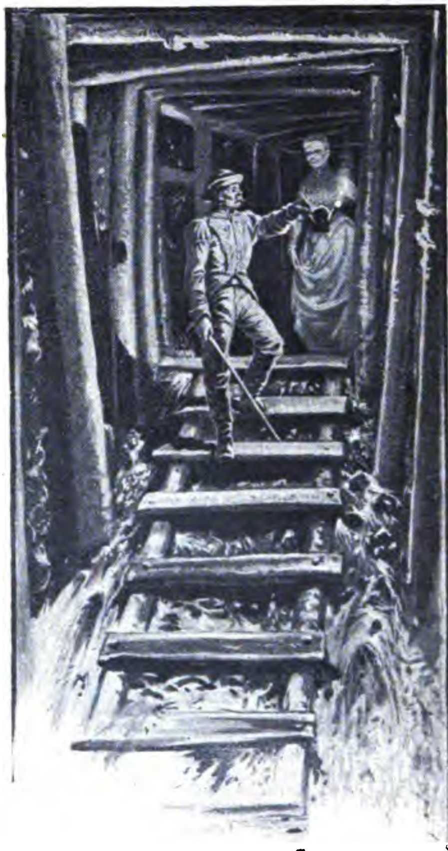
Uzbrojony w oskard, z lampką przyczepioną do czapki, by mieć ręce swobodne, żegna górnik rodzinę zwykłem „szczęść Boże“ i śpieszy do szybu.

Szybem nazywają otwór kopalni. Głębokość jego bywa rozmaitą, często do 4,000 łokci dochodzi.

Na dno szybu górnicy spuszczają się za pomocą szali, jest to mocna, żelazna klatka. Dwie takie szale w ustawicznym są ruchu, gdy jedna zjeżdża, druga tą samą siłą do góry się wznosi, a na każdą podróż tylko kilkudziesięciu sekund potrzeba. Komu jednakże ten sposób podróży nie podoba się, ten

może zejść aż na dno kopalni dość stromymi i bez poręczy schodami, jak to to widać na załączonej rycinie.

Dno szybu, to środowisko, do którego ze wszystkich stron zbiegają się chodniki, t. j. korytarze w ziemi wykute. Długość i wysokość chodników bywa rozmaita; jedne są tak nizkie, że górnik tylko, leżąc, pracować może, ale bywają i wysokie na kilka piątr komory, całym lasem grubych belek podparte.



Zejście do kopalni.

Ruch i życie wre w kopalni; górnicy kilofem walą w skały i śpiewają wesoło. Gwizdać tylko pod ziemią nie wolno, istnieje bowiem powszechny między górnikami przesąd, że „skarbnik,“ duch gór, gwizdania nie lubi i śmiałka, który o tem nie pamięta, śmiercią każe. Skarbnik wygląda jak zwyczajny człowiek, tylko że jedną nogę ma z końskiem kopytem, czasami mignie w oddali jak blady ognik, a czasem zapuka w skałę, ostrzegając w ten sposób górników, że niebezpieczeństwo im grozi. Kogo skarbnik polubi, temu nie poskąpi pomocy i rady, lecz biada, jeżeli się zagniewa, nic wtedy górnika od kary nie uchroni.

PODANIE O SKARBNIKU.

„Był raz młody chłopak, który przyszedł do dąbrowieckiej kopalni. Na początek dali mu taką robotę, że ładował węgiel na wózki i byłby pewnie ładował do sądnego dnia, bo obcemu niełatwo o lepszy zarobek, aż skarbnik upodobał go sobie i jak nie stanie raz przed nim i nie powie: „chodź zemną“, a był ubrany jako zwyczajny sztygar [1]) i chłopak myślał se, że to sztygar, tak i poszedł za nim. A skarbnik pyta dalej: „Masz olej w lampce?“ „Mam.“ „A chleb masz?“ „Mam“. „To



Szyb Mortimer w kopalni Ignacy w Dąbrowie.

chodź, pokażę ci kopalnię.“ Doszli do nowego numeru, a tu ściana rozstępuje się i weszli w sam środek pokładu węgla, a skarbnik pokazywał chłopcu, gdzie węgiel najgrubszy, gdzie jaka woda, a chłopak myślał, że dzień cały chodzi, bo mu oleju i chleba starczyło. Nareszcie skarbnik wyprowadził chłopca na podszybie i dał mu kartkę ze swoim podpisem, jako mu na górze mają wypłacić, za cały czas, co on był pod ziemią, ale

[1]) Dozorca kopalni.

przykazał też, aby nie ważył się nigdy do kopalni wracać. Kiedy chłopak na górze kartkę oddał, zaczęto po księgach szukać, kiedy taki a taki robotnik jest zapisany i ledwie znaleźli, że to było przed rokiem. Okrutnie się tedy dziwowali



Stara odkrywka w Dąbrowie.

i nie wierzyli chłopcu, ale jak zaczął im rozpowiadać, tak i zmiarkowali, że to rzetelny skarbnika podpis i za cały rok chłopcu wypłacili, a i sami skorzystali, dowiedziawszy się, gdzie czego szukać pod ziemią. Pół roku wytrzymał chłopiec bez kopalni, jako mu skarbnik nakazał, ale potem tak go bez

węgla cniło, że nie wytrzymał i poszedł. Ale ino co się spuścił, a tu w szybie maleńki kamyczek w samą głowę go trafił i zabił na miejscu. Tak ukarał skarbnik nieposłuszeństwo swej woli.“

Śmierć często zagląda górnikom w oczy. Ogień, woda, powietrze, trzy potężne żywioły grożą mu bezustannie.

Kopalnie dąbrowieckie sięgają pod koryto Przemszy



Z obrazu Stanisława Wolskiego.

Pożar kopalni w Dąbrowie (w listopadzie 1890 r.).

i różnych jej dopływów, stąd pochodzi nieustanne przesiąkanie wody do wnętrza komór i chodników.

Z wodą ciągle walczą pompy, wydobywające ją na powierzchnię, ale jakże często mała nieostrożność powoduje zalew kopalni i śmierć wielu górników.

Drugim wrogiem kopalni jest ogień. Wybucha on z powodu nagromadzonego w szczelinach miału węglowego i innego jeszcze minerału, zwanego pirytem, czyli siarczanem że-

laza. Od takiego wybuchu największa nawet ostrożność ustrzedz nie może, bo sproszkowany węgiel sam się przez zetknięcie z powietrzem zapala. Jeżeli pożar jest mały, górnicy gaszą go wodą, jeżeli większy, wznoszą na drodze, którą się posuwa tamy, t. j. ściany z ogniotrwałej cegły. Często długie miesiące, a nawet lata jedna część kopalni płonie, w drugiej zaś pracują i tylko czasem, gdy zbliżą się do zagrożonego miejsca, syk płomieni i głuche odgłosy trzaskającego węgla ostrzegają górników, że potężny wróg jest blizko.

Wiele innych jeszcze niebezpieczeństw grozi górnikom.

Przy rozsadzaniu skał dynamitem [1]) często olbrzymie komory węgla odrywają się nagle, miażdżąc i kalecząc pracujących, często sklepienie źle podparte runie, grzebiąc żywcem nieszczęśliwych, których rzadko kiedy towarzysze uwolnić mogą.

Ale wszystkie te klęski i niebezpieczeństwa nie odstraszają górnika, więc pracuje i śpiewa:

Kopalnie, kopalnie, to nasze pałace,
Niejedna panienka rzewliwie zapłacze,
Rzewliwie zapłacze i tęskno zaśpiewa,
Bo się w każdej chwili nieszczęścia spodziewa.

Patronką górników jest święto Barbara, o której taką opowiadają legendę.

LEGENDA O Ś-tej BARBARZE.

„Dyoskuros, pan wielki i bogaty, ale strasznie zły i zawzięty, miał córkę dobrą jak anioł, imieniem Barbara. Córka ta przyjęła wiarę Chrystusową, ale ojciec jej ani sam chciał się nawrócić, ani Barbarze wyznawać wiary chrześcijańskiej nie dozwalał, a gdy ona przy swojem obstawała, wpadł w gniew straszny i chciał ją zabić. Męczenniczka uciekła, ale Dyoskur już ją dopędzał i byłby zatłukł, dopadłszy do skały.

---

[1]) Materyał wybuchowy.

Aż tu skała, chociaż to kamień, ulitowała się świętej, otworzyła się jak drzwi i schowała dziewicę. Od tej pory św. Barbara jest patronką górników, bo któż, jeżeli nie oni, kują w skale, przed kim, jeżeli nie przed nimi i najtwardszy kamień rozstąpić się musi.“

Dnia 4 grudnia, górnicy obchodzą uroczyście święto swej patronki. Ustają wówczas wszelkie roboty, a proboszcz miejscowy spuszcza się na dno kopalni i w kaplicy wykutej w węglu, odprawia Mszę św. przed posągiem św. Barbary, także z węgla wyrzeźbionym.



Św. Barbara, patronka górników.

Cały zarząd, wszyscy górnicy w paradnych mundurach modlą się z wielkiem skupieniem ducha i po skończonem nabożeństwie, śpieszą na powierzchnię ziemi do kościoła, śpiewając chórem:

Barbaro święta! Perło Jezu- [sowa,
Ścieżko do nieba, górnikom [gotowa,
Wierna przy śmierci patron- [ko, smutnemu
Konającemu.

Paradny strój górnika składa się z ciemnej bluzy ze stojącym kołnierzem i pozłacanymi guzikami, na których wyryto dwa młotki na krzyż złożone — godło górnika. Pas szeroki opina kurtkę, z tyłu zaś spuszcza się specyalna górnicza, szeroka łata ze skóry — niby fartuszek, pozwalający górnikowi siąść na mokrym kamieniu, lub bryle węgla, bez powalania ubrania.

Od czasu założenia kopalni węgla w dąbrowieckiej dolinie, t. j. od r. 1796, a więc jeszcze za rządu pruskiego, cała okolica powoli, lecz stale zmienia swój charakter. Tu skutkiem podminowania grunt się pozapadał, tam potworzyły się wysokie wały popiołu i odpadków, owdzie czernieją głębokie, przepaściste jamy, pozostałości robót, zwanych odkrywkami [1]).

Ogromny napływ obcej, głównie niemieckiej ludności przyczynił się do zatracenia dawnych miejscowych obrzędów, ubioru, popsuł język i obyczaje. W potocznej mowie górnicy używają mnóstwo wyrazów niemieckiego pochodzenia. Roztopiony zuzel nazywają *szlaka*, nadzorca górników to *sztygar*, kandydat na górnika—*szleper*, dzień wypłaty zarobku — *geld-tag* i t. p.

Z pozoru Dąbrowa górnicza nie wygląda ani na wieś, ani na miasto — ulice ma niebrukowane, a małe nędzne domki stykają się tam z wysokiemi kamienicami.

Gęsta chmura dymu bezustannie wisi nad osadą, pokrywając wszystko dokoła warstwą pyłu i tłumiąc rozwój roślinności, chociaż biedne krzewy i drzewa co wiosna nowe wypuszczają pędy, walcząc odwiecznie z grożącą im zagładą. Brak drzew, brak kwiecia, brak śpiewu ptaków w Dąbrowie! Turkot maszyn wypędził skrzydlate stworzenia—pył i dym zjadliwy wysuszył rośliny.

A jednakże Dąbrowa wiele ma uroku i powabu. Życie nie sączy się tam powoli, nie stoi, jak woda w deszczowych kałużach, ale płynie wartkim, porywającym wszystko ze sobą, prądem.

Kopalnia umie przywiązywać ludzi i kto raz zakosztował tego życia pełnego walk, niebezpieczeństw, ciężkiej pracy, ale i tajemniczego czaru, ten już nie zechce zamienić go na inne.

---

[1]) **Odkrywkami nazywają miejsca, gdzie minerał znajduje się blizko powierzchni gruntu, gdzie potrzeba tylko odkryć go, czyli zrzucić wierzchnią warstwę ziemi. Takiemi odkrywkami można nieraz dostać się do głębi kopalni.**

Wesoły, odważny górnik, niby żołnierz trwa na posterunku i rozbijając młotem skałę tak w rzadkich chwilach trwogi prosi swej patronki:

„O święta Barbaro zlituj się na demną,
Żebym tu nie został pod tą ziemią ciemną,
Żonaby płakała, dzieciby płakały,
Że swojego ojca śmierci nie widziały“.

Obfitość różnych minerałów, a szczególniej węgla kamiennego, stała się źródłem bogactwa dla całej okolicy. Kopalniezapotrzebowały maszyn, maszyny—rąk, zaczęli więc napływać ludzie, zaczęto wznosić fabryki.

Dla wzrostu i rozszerzenia handlu, nieodzowna jest łatwość zbytu towarów, t. j. by je można bez wielkiego trudu i kosztu przewozić do innych miast, gubernii, krajów. Dobre i liczne drogi są więc potrzebne, a najmniej kosztowne, nie potrzebujące utrzymywania w porządku są drogi wodne, których jednakże gubernia piotrkowska prawie nie posiada.

Warta przecina ją wprawdzie od południa, ale dopiero w nowo-radomskim powiecie zaczyna być spławną. Pilica płynie na samej krawędzi gubernii, a inne rzeki, jak Bzura śpiesząca ku Wiśle, Nur ku Warcie, także wielkiego pożytku dla żeglugi nie przynoszą.

Brak komunikacyi wodnej wynagradza gubernii piotrkowskiej dogodne położenie. Środkiem guberni prawie od Warszawy, aż pod Kraków, ciągnie się długie choć niewysokie wzniesienie, niby naturalna grobla, łącząca się z różnemi wyniosłościami w środkowej Europie.

Ta grobla—to najlepsza przez naturę dana droga. W r. 1848 przeprowadzono samym jej środkiem linię kolei żelaznej, a od tej chwili przemysł i handel podniósł się szybko i dziś gubernia piotrkowska uważa się jako najbardziej przemysłowa i stosunkowo najbogatsza w naszym kraju.

Jedna tylko w tem jest bieda, że prawie wszystkie fabryki, przynoszące rok rocznie miliony rubli dochodu, należą



do Niemców, którzy sprowadzają swoich rodaków, powierzając im wszystkie korzystniejsze zajęcia.

W drodze do Częstochowy.

A teraz idźmy w górę, z biegiem linii drogi żelaznej, po której codziennie suną się ciężkie pociągi, ładowne towarami

lub długie łańcuchy węglarek, rozwożących po całym świecie dąbrowieckie skarby.

Okolica, którą przebiega pociąg, dość jest ładna; zdobią ją białe wzgórza, zielone pola i gaje, szpecą liczne szeregi wysokich kominów fabrycznych i smugi sadzy, wlokące się w powietrzu.

Gdybyśmy w naszej wędrówce zatrzymali się na stacyi kolei żelaznej Zawiercie i tam wysiedli, zobaczylibyśmy o wiorstę dalej szeregi olbrzymich budynków, poprzerzynanych rzędami okien podobnych do koszar lub więzienia, wraz z istnym



Będzin — zamek.

lasem olbrzymich kominów. To osada fabryczna — Zawiercie. przed kilkunastu laty mała wioska—dziś potężne ognisko przemysłowe [1]). Wielka przędzalnia bawełny, warsztaty tkackie, farbiernia, huta szklana, fabryki odlewów żelaznych i inne zakłady przemysłowe zatrudniają tam około ośmiu tysięcy robotników — przeważnie Niemców.

Takiemi osadami fabrycznemi cały południowy cypel, czyli kąt gubernii piotrkowskiej, gęsto niby makiem jest usiany.

---

[1]) Zawiercie leży w gubernii piotrkowskiej, powiecie olkuskim.

Nie brak też i miejscowości pamiętnych w historyi, jak Czeladź, miasteczko najcharakterycznie jsze w całej okolicy, powstałe za czasów Kazimierza Wielkiego, Będzin, gdzie Jan Sobieski żegnał się ze swą małżonką; Maryą Kazimierą, która, idącego na Turków pod Wiedeń monarchę, aż do granicy kraju odprowadziła i wiele innych jeszcze starych grodów i rozsypujących się w gruzy zamków, jak np. Siewierz, dawniejsza własność biskupów krakowskich, stolica tak zwanego księstwa siewierskiego. Fantazya ludu szuka początku nazwy



Olsztyn.

Będzin w historycznem podaniu. Ongi król Kazimierz Wielki, jadąc z Krakowa do Wrocławia, postanowił w tem miejscu zatrzymać się na nocleg, a gdy ktoś rzekł, że nie stanie dla pana i czeladzi miejsca, król powtórzył upornie: Tu my będziem, a tam czeladź, a jeżeli mało miejsca, reszta zagórą. Stąd powstały nazwy osad: Będzin, Czeladź, Małobędź i Zagórze.

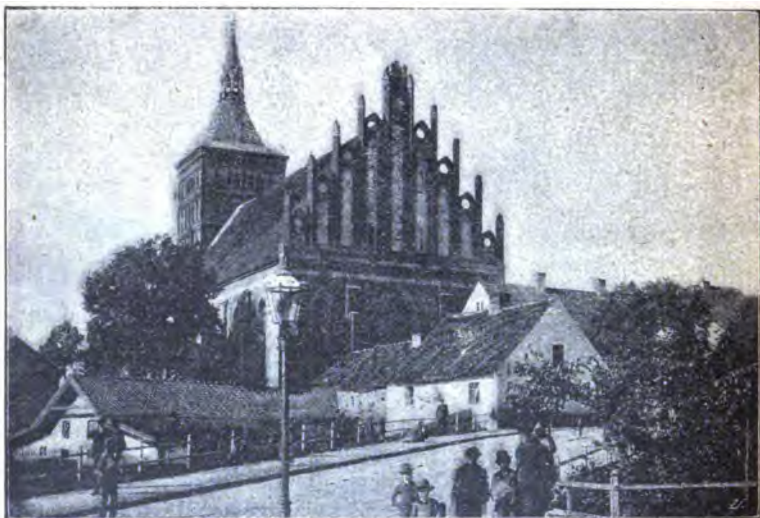
Olsztyn.

Śród wzgórz wapiennych, na wysokiej skale wznosił się przed wiekami Olsztyn, gród starożytny. Dziś z dawnej wspa-

niałości pozostały tylko szczątki baszt i łączących je murów, ale te trzymają się krzepko.

„Niby rycerz na czatach— stoi baszta stara,
Samotna, ona jedna wichrom się ostała;
Silna, jak pierś praojców, co trwogi nie znała,
Prosta i niezachwiana, jak praojców wiara.“

Piękne historyczne wspomnienie wiąże się z Olsztynem.



Kościół katolicki w Olsztynie.

Działo się to przy końcn XVI-go wieku. Po śmierci Stefana Batorego, Polacy radzili nad wyborem nowego monarchy, nie mogąc zgodzić się na jedno, bo niezgoda jest główną wadą Polaków, powodem wielu nieszczęść, jakie ich spotkały. I tak, jedni chcieli obrać na króla Zygmunta Wazę, królewicza szwedzkiego, syna Katarzyny Jagiellonki — drudzy Maksymiliana, księcia austryackiego. Większość jednakże była za Zygmuntem, ale zanim tenże przybył z odległej Szwecyi, już Maksymilian wkraczał z wojskiem do Polski. Przyjęto go

wszakże nie jako pana — lecz wroga. Odpędzony od Krakowa, ruszył dalej i jeden oddział wojska pod mury Olsztyna skierował.

W Olsztynie dowodził mężny rycerz, Kacper Karliński. Chociaż ojciec licznej rodziny, był jednak osamotniony. Jedni z synów już polegli w obronie kraju, drudzy za niego walczyli. Pozostał tylko Karlińskiemu ostatni syn — niemowlę na ręku piastunki. Tego syna biedny ojciec chciał ocalić i na wieść o zbliżającym się wrogu wysłał dziecko wraz z piastunką, by w sąsiedniej wiosce bezpieczne znalazło schronienie.

Tymczasem żołnierze niemieccy schwytali dziecko i wymyślili rzecz tak straszną, że na wspomnienie serce ze zgrozy drętwieje. Oto przystępując do szturmu, popędzili przed szeregami wojska piastunkę z dzieckiem na ręku. Myśleli nikczemnicy, że schowani za takim puklerzem, bezpiecznie dojdą pod mury zamku, że Karliński podda się i bramy otworzyć każe, bo przecież nie będzie miał serca i odwagi strzelać do własnego dziecka.

Ale właśnie, że Karliński miał prawdziwą odwagę, bo gdy puszkarze na straszny widok, prowadzonego na rzeź dziecięcia, opuścili ręce, on schwycił lont zapalony i do działa go przysunął.

— Strzelać — zawołał gromko.

Zginęło dziecko, ale Olsztyn ocalał, bo Niemcy, przerażeni nadludzką odwagą Karlińskiego, odstąpili od zamku.

Prawdopodobnie zamek wybudowany był przed wiekami przez jakiegoś niemieckiego przybysza, czego dowodzi nawet pierwotna nazwa jego Holstein, czyli wydrążona skała. Tych skał wydrążonych pełno w okolicach Olsztyna. W niektórych odnaleziono szczątki zwierząt przedpotopowych i grube pokłady guana — t. j. nawozu, osadzonego przez nietoperze.

A teraz dalej w drogę. Zostawiamy Olsztyn na boku, mijamy szeregi pieców wapiennych, dostarczających nietylko wapna, lecz i cegiełek, z powodu braku gliny w okolicy — uży-

wanych do budowy domów, i oto zbliżamy się ku Częstochowie.

Początek i historya Jasnogórskiego kościoła.

„Są pod włoskiem niebem wspąniałe świątynie,
Jadą je podziwiać bogaci panowie,
Nasza Jasna-Góra Matką Boską słynie.
Oj wolę się, wolę modlić w Częstochowie.



Obrona Olsztyna — Kacper Karliński.

Bo tysiącom spraw pomogła, tysiące ludzi wzmocniła na duchu ta Orędowniczka Święta, do której stóp rok cały tłumy pielgrzymów z najodleglejszych stron świata płyną.

Sam Bóg wybrał Częstochowę na miejsce czci dla Maryi Panny. Odwieczne podanie mówi, że na cztery wieki przed sprowadzeniem cudownego obrazu, Ś-ty Wojciech w swej pielgrzymce z Węgier do Gniezna, zatrzymał się tutaj i rzekł —

wskazując na bielejące się wzgórze: „To miejsce zajaśnieje łaskami Przenajświętszej Dziewicy.“

Pochodzenie cudownego obrazu pobożna legenda tak objaśnia:

Po powrocie z Egiptu Ś-ty Józef z pomocą Boskiego Dzieciątka wyciosał z drzewa cedrowego mały stolik, przy którym Ś-ta Rodzina przez długie lata wspólne odprawiała modlitwy. Stolik ten—Najświętsza Marya Panna podarowała znacznie później zgromadzeniu pobożnych dziewic, by im służył za ołtarz, a dziewice zwróciły się do Ś-go Łukasza i prosiły o wymalowanie na desce stołu—wizerunku Matki Bożej z Dzieciątkiem na ręku.



Częstochowa. — Kościół i klasztor księży Paulinów.

Po długich wahaniach Ś-ty Apostoł rozpoczął pracę swoją w tym właśnie wieczorniku, gdzie Duch Święty w ognistych językach na Apostołów zstąpił. Ale praca szła powoli, pędzel nie umiał oddać Boskości oblicza Maryi Panny; Ś-ty malarz rzucił się więc na kolana, w gorącej modlitwie prosząc Boga o natchnienie. Modlitwa trwała długo, aż wreszcie gdy Apostoł ocknął się z zachwytu, ujrzał, że święty wizerunek, anielskie skończyły już dłonie.

Przez trzy stulecia pozostawał obraz w owem zgromadzeniu dziewic na górze Karmelu, następnie ofiarowany został cesarzowej Helenie i przywieziony do Konstantynopola.

Tam przetrwał pięć wieków z górą, aż otrzymał go w nagrodę za oddane usługi jeden z książąt słowiańskich, Roman Halicki i umieścił w zamku bełskim. Podczas napadu Tata-



Częstochowa. — Trzecia brama.



Częstochowa. — Brama Lubomirskich.

rów utkwiła w szyi św. wizerunku nieprzyjacielska strzała, której ślad dotychczas pozostał.

Władysław ks. Opolski chciał obraz przenieść w bezpieczniejsze miejsce, do swego zamku, lecz gdy orszak zbliżył się do Jasnej Góry, wóz, na którym obraz złożono, zatrzymał się nagle i żadne wysiłki nie mogły ruszyć go z miejsca, uznano więc w tem wolę Bożą i obraz został zawieszony w kościele parafialnym.

Znakomity historyk polski, Długosz pisze, iż to Ludwik, król węgierski namówił Władysława, ks. opolskiego, by wybudował klasztor na Jasnej Górze.

Tak się też stało. W r. 1382 osiedli w klasztorze, sprowadzeni z Budy na Węgrzech, zakonnicy reguły św. Pawła, zwani Paulinami i pieczę nad św. obrazem przyjęli. Około r. 1430 rabusie okoliczni, słysząc o skarbach klasztoru, napadli go w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Skarbów nie znaleźli, bo żadnych jeszcze nie było, co tak ich rozgniewało, że jeden ciął dwukrotnie mieczem wizerunek święty. Ale w tejże samej chwili ramię bezbożnika uschło, a on sam padł martwy na ziemię.



Cudowny Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Inne podanie mówi, że rabusie wraz z sprzętami i naczyniami kościelnemi zabrali także obraz cudowny—lecz dowieźli go zaledwie do tego miejsca, gdzie dziś stoi kościół św. Barbary, gdyż konie, jak ongi przed wieki, znowu stanęły, nie chcąc ruszyć się z miejsca. Strach niewymowny ogarnął zbrodniarzy — porzucili obraz i uciekli.

Kiedy zakonnicy, podnosząc z ziemi wizerunek św. zawołali o wodę, by go obmyć, nagle u stóp ich wytrysło źródło czyste, jak kryształ. Źródło to po dziś dzień bije, a pątnicy czerpią zeń wodę i uważają za lek skuteczny w chorobach oczu.

Probowano potem z rozkazu króla Jagiełły zamalować owe beźbożne cięcia na obrazie — lecz żaden malarz nie mógł tego dokonać, pozostaną one wieczną pamiątką.

Cześć i miłość dla św. wizerunku wzrastała z latami.



Nawa główna w klasztorze na Jasnej Górze.

Wielcy i mali -- zdrowi i chorzy, mędrcy i prostaczkowie, królowie i nędzarze śpieszyli do stóp Maryi Panny.

Po starodawnej stolicy Krakusa, żaden gród polski nie jest tak drogim każdemu sercu, jak Częstochowa, a właściwie klasztor jasnogórski.

Władysław Jagiełło, wyruszając na Krzyżaków, modlił się w Częstochowie i błagał pomocy i opieki Maryi. Syn Jagiełły, Kazimierz kilkakrotnie, nawet jako starzec w gronie licznej rodziny, odwiedzał klasztor. Piotr Skarga, znakomity kaznodzieja za Zygmunta III-go Wazy, gorąco nieraz w kaplicy jasnogórskiej prosił Boga o natchnienie i wielu innych znakomitych mężów, wielu mocarzy przed obrazem Maryi klęczało.

Za panowania Zygmunta III-go przebudowano i rozszerzono klasztor, a z rozkazu Władysława IV-go, otoczono cudowne miejsce murami, zamieniając je w silną warownię.

Chyba przeczucie jakieś kierowało tym czynem króla, bo niedługo potem Częstochowa ważną w dziejach naszych odegrała rolę.

Wojska szwedzkie zalały kraj; jedno miasto po drugiem wpadało w ich ręce, nawet Kraków musiał najezdnikom otworzyć bramy. Przyszła kolej na Częstochowę. W r. 1655 Müller, dowódzca wojsk szwedzkich, na czele licznego wojska zbliżył się do murów klasztoru i żądał, by mu otworzono bramy, a gdy zakonnicy odparli, iż nigdy tego nie uczynią—gradem kul sypać rozkazał.

Zaczęło się oblężenie, któremu podobnego nie było może w historyi świata. Garstka żołnierzy, kilkudziesięciu ubogich mnichów z odwagą stawiało czoło tysiąckroć liczniejszemu nieprzyjacielowi, przed którym drżał kraj cały. Ale nad klasztorem czuwała moc potężniejsza, niż wszystkie ziemskie moce — czuwała opieka Maryi Panny!

Klęska po klęsce spadały na Szwedów. Kule niewprawną ręką szwedzkich puszkarzy kierowane, przelatywały nad klasztorem, nic mu złego nie czyniąc.

Oblężeni raz po raz dniem i nocą robili wycieczki i znienacka, niby grom spadali na Szwedów, kładąc ich trupem wokoło, jak nawałnica gradowa, gdy w pole pszeniczne uderzy.

Żołnierzami w twierdzy jasnogórskiej dowodził Stefan Zamoyski, miecznik sieradzki, ale prawdziwą duszą oblężonych był przeor Paulinów, ks. Augustyn Kordecki, którego pomnik bieleje wśród ogrodu klasztoru.

W sam dzień Bożego Narodzenia, wstydem i hańbą okryci, odstąpili Szwedzi od Częstochowy po pięciotygodniowem oblężeniu, a bohaterska obrona garstki mnichów i żołnierzy taki wzbudziła zapał we wszystkich, tak skrzepiła osłabłe serca, że kraj cały, jak jeden człowiek, dźwignął się do góry. Ręce za oręż schwyciły i niezadługo potem okrutnych najezdników wypędzono z Polski.



Z obrazu Józefa Ryszkiewicza.

Obrona Częstochowy.

Jeszcze raz w r. 1702, za panowania Augusta II-go Sasa, pokusili się Szwedzi o zdobycie cudownego miejsca, ale napróżno, bo nie ludziom mierzyć się z mocą Bożą!

W kaplicy jasnogórskiej odbył się ślub następcy Jana Kazimierza, króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego z Eleonorą, arcyksiężniczką austryacką.

Był to dzień bardzo uroczysty. Tłumy dostojnych gości napełniały mury klasztoru, jaśniały fajerwerki — huczały salwy armatnie.

Jakżeż inaczej wyglądał klasztor w trzy lata później! Wokoło cisza ponura — okna świątyni kirem zakryte, a na katafalku, w żółtawem świetle gromnic, trumna ze zwłokami ks. Augustyna Kordeckiego!



Ks. Kordecki.

Coraz inne, coraz nowe wspomnienia budzi klasztor na Jasnej Górze. W r. 1683 nad Europą zawisła burza. Turcy zwycięsko posuwali się naprzód; wszędzie, gdzie przeszli, potokiem lała się krew; wszędzie kościoły zamieniano na meczety, a złoty półksiężyc, godło wiary muzułmańskiej, zajmował miejsce krzyża świętego. Wreszcie Turcy dotarli do Wiednia.

Wtedy na pomoc zagrożonemu sąsiadowi i na obronę wiary naszej — ruszył Jan III-ci Sobieski na czele wojsk polskich i zatrzymawszy się w Częstochowie, Maryi Pannie oddał się w opiekę. Stąd też odpisywał na listy cesarza Leopolda i słał gońców, prosząc różnych monarchów, by zagrożonej od Turków, Austryi pomogli. Nie odmówiła Święta Pani opieki! Jan III-ci wrócił zwycięzcą, a zdobyte na Turkach buńczuki i chorągwie w Częstochowie i na Wawelu złożył.

Ufność i miłość do Matki Bożej z biegiem lat wzrastały i wzrastają. Jak rok długi, ciągną do Częstochowy tłumy pielgrzymów ze stron najodleglejszych, a najliczniej na dzień 8 września, w święto Narodzenia Maryi Panny, czyli na Matkę Boską Siewną. Czasem i miejsca po hotelach i gospodach zabraknie, więc pątnicy obozują pod gołem niebem.

Obszerne dziedzińce klasztoru, cały skłon góry są usłane wtedy postaciami ludzkiemi, a pobożne pieśni nieraz przez noc całą nie milkną. Wszystkie stany mieszają się tam razem; niema pań i panów, są tylko bracia i siostry, wspólną miłością do Maryi zbliżeni.

Kościół jasnogórki zdumiewa swym ogromem i przepychem. Na ścianach gipsowa mozaika, oddrzwia marmurem wykładane, szeregi kaplic wspaniałych.

Wokoło cisza, przerwana tylko to głosem organów, to śpiewem pobożnym, to szeptem zamodlonych piersi.

Liczne wota i ofiary, przechowane w skarbcu jasnogórskim, świadczą również o czci i miłości dla Bogarodzicy.

A co tam pamiątek historycznych! Buńczuki na Turkach pod Wiedniem zdobyte, krzesło kością słoniową wysadzane, pochodzące od Kazimierza Wielkiego, miecz Batorego, buławy hetmańskie, czekany, łuki i t. d., i t. d.

Są tam również wspaniałe kielichy, monstracye złote; z tych jedna tak ciężka, że trzech kapłanów podczas procesyi nieść ją musi; są bogate ubiory kościelne, między którymi pokazują ornat ze złotej lamy, wyszywany perłami, dar i praca królowej Jadwigi. Do najkosztowniejszych skarbów należą trzy sukienki Matki Boskiej z pereł, rubinów i brylantów zrobione. Zdobią one kolejno w ciągu roku wizerunek Przenajświętszy, umieszczony w oddzielnej kaplicy i boku kościoła. Piękności i majestatu tego przybytku trudno opisać.

Brylanty sypią iskrami, niby deszczem złotym; świecą się srebrne blachy i srebrne posągi na hebanowym ołtarzu zwieńczonym koroną; z mnóstwa lamp—u stropu kaplicy zawieszonych—płynie światło złote i purpurowe; mnóstwo świec płonie...

Ale czemże są te blaski w porównaniu z jasnością oblicza Matki Bożej?

Jasność ta sięga daleko, sięga najtajniejszych głębin serc ludzkich, oświeca je, pociesza, wzmacnia, otuchę i nadzieję w nich budzi.

Gdy najbardziej huczy morze,
Wśród skał skrytych i wśród zgliszczy,
Biała wieża na klasztorze,
Jak latarnia morska błyszczy.
Ilu to już pokoleniom
Jesteś lekiem, rosą, manną!
Ilu smutkom, ilu cieniom
Gwiazdą stajesz się zaranną!

Przez posępny ciąg stuleci
Twój, jak słońce, obraz świeci.
Obciążonaś srebrem, złotem,
Sukienkami perłowemi,
Lecz najdroższym Twym klejnotem:
Miłość całej naszej ziemi,
Co jak wielka i jak długa
Jest poddanka Twa i sługa.

Wiersz *W. Gomulickiego* [1]).

Cudowny widok na uprawne pola, bujne łąki, ogrody, i gaje rozciąga się z jasnogórskiego klasztoru, a oczy biegną het daleko, póki je błękitna smuga lasów nie wstrzyma. Domki drewniane i wysokie murowane kamienice otaczają wiankiem górę i łącząc się gęsto od południowo wschodniej strony, tworzą tak zwaną Starą Częstochowę. Od Nowej dzieli ją plac obszerny i park gęsto zadrzewiony.

---

[1]) Gomulicki, poeta współczesny.

Różnie tłómaczą pochodzenie nazwy Częstochowa. Jedno podanie mówi, że miasto w czasie wojen często chowało żołnierzy przed pościgiem wrogów, inne znowu, że nadchodzącemu wędrowcowi siedem razy, za siedem wzgórz się chowa — najpewniej jednak była to przed wieki osada kmiecia Częstocha[1]), potem wzrosła w miasteczko, i nazwę dawną zatrzymała.

Miasto właściwie składa się z jednej bardzo szerokiej i półtorej wiorsty długiej ulicy, wysadzonej rzędem kasztanów, i akacyi, i oświetlonej elektrycznością. Naturalnie nie brak bocznych uliczek, ale te wobec wspaniałej i głównej alei nie zasługują na wzmiankę. Prócz jasnogórskiego klasztoru miasto ma jeszcze trzy kościoły, z tych jeden w Starej Częstochowie, pod wezwaniem Ś-go Zygmunta, istnieje od niepamiętnych czasów, bo jeszcze na wiele lat przed sprowadzeniem obrazu Bogarodzicy.

Nieprzerwanie, a coraz szybciej miasto rośnie: zakładają szkoły męskie i żeńskie, przybywają fabryki, budują domy głównie z cegieł wapiennych, wypalanych w okolicach Częstochowy; w ostatnich kilku latach powstały ogromne fabryki. Częstochowa w kierunku przemyslowym wzrasta z każdym rokiem i ma wielką przyszłość przed sobą.

Mnóstwo drzew zieloną swą szatą miasto ze wszystkich stron otacza, a z wysokiej opoki spogląda kościół jasnogórski i smukłą wieżą pod niebiosa strzela.

Ślicznemi słowy Franciszek Karpiński, poeta polski z czasów Stanisława Augusta, o Częstochowie się odzywa:

Zdaje się, że na Jasnej górze stói owa
Drabina, o niebiosa wsparta Jakubowa,
Po której aniołowie wstępują i schodzą;
Święte posły człowieka z Bogiem swoim godzą.
Ci zbierają łzy, które niewinność wylewa
Lub komu je wyciśnie nędza nieszczęśliwa.

[1]) Częstochowa, czyli należąca do Częstocha, jak np. «*ojcowa* chałupa.»

Lecą z niemi do góry jednem oka mgnieniem,
Gdzie je Marya litosnem swem suszy wejrzeniem.
Inni z nieba zstępują i czynią ofiarę
Temuż niebu, za miłość nadzieję i wiarę.

Gidle.

Na północ od Częstochowy, w powiecie nowo-radomskim, nad odnogą Warty leży porządnie zabudowana wieś Gidle, cel wielu pobożnych pielgrzymek, i jedna z najdawniejszych parafii w Polsce.

Osobliwością tej wioski jest to, iż posiada aż trzy kościoły, z których dawny parafialny istnieje od pierwszych chwil zaprowadzania wiary chrześcijańskiej w Polsce, czego— dowodem rok 1059 u stropu świątyni wyryty.

Przy wjeździe do wsi widać klasztor ks. Dominikanów— a obok drugi kościół, słynny z cudownego posągu Matki Boskiej, Gidelską zwanej.

Podanie tak opiewa ukazanie się posągu.

W r. 1516, w miejscu, gdzie dziś wznosi się kościół, pewien ubogi kmieć, Jan Czeczek orał rolę, gdy nagle woły klęknęły na ziemi i mimo nawoływań i bicza powstać nie chciały. Zdumiony kmieć schylił się, by zbadać przyczynę i ujrzał na świeżo rozoranych skibach, leżący posążek Maryi Panny, natychmiast więc zaniósł go do domu i po naradzie z żoną, schował na dno skrzyni, w wielkiej tajemnicy przed sąsiadami. Aliści nazajutrz, gdy Czeczkowie do skrzyni otworzyli, patrzą, aż tu święty wizerunek leży na samym wierzchu, schowali go więc znowu po raz drugi, trzeci, lecz zawsze nieznana siła sprzeciwiała się ukryciu.

Tymczasem wielkie nieszczęście spadło na kmiecia i żonę jego. Oboje, bez żadnej wyraźnej przyczyny zaniewidzieli. Wówczas starannie ukrywana tajemnica wyszła na jaw, bo gdy

staruszka, dozorująca ich, otworzyła do skrzyni, jasność napełniła izdebkę, a woń fiołków rozlała się dokoła.

Sprowadzono więc proboszcza, a ten w uroczystej procesyi zaniósł posążek do kościoła, skąd następnego dnia zniknął w niepojęty sposób. Po długich dopiero szukaniach znaleziono go w polu, w tem samem miejscu, gdzie został wyorany. Zrozumieli więc nakoniec ludzie rozkaz Boży i tymczasowo na małym drewnianym słupku umieścili święty wizerunek w pośród pola. Później znacznie współwłaściciel wioski, Marcin Gidelski wybudował kaplicę drewnianą, a Anna Dąbrowska, kasztelanowa wieluńska, murowany kościół, po dziś dzień istniejący i oddała go ks. Dominikanom.



Matka Boska Gidelska.

Cały przebieg tego zdarzenia ze świętym posągiem przedstawiają malowidła, znajdujące się na ścianach kaplicy.

Rzeka Warta przerzyna powiat nowo-radomski, inne rzeczki opływają go dokoła, a dzięki obfitości wód, ten kąt ziemi wcześnie bardzo, bo jeszcze w czasach przedhistorycznych był zaludniony. Grunt wogóle średniej dobroci, zdatny pod żyto i kartofle, tylko w okolicy wiosek Gidle, *Maluszyn*, *Koniecpol* widać margiel i glinę.

Niedaleko *Maluszyna* wznosi się góra dość wyniosła, Chełmową zwana. Lud opowiada, że na jej szczycie zbierają się z różnych stron czarownice (wiły) i wraz z duchami poległych rycerzy wyprawiają harce i biesiady.

W dalszej wędrówce koleją Warszawsko-Wiedeńską do Piotrkowa, zostawiamy po prawej stronie powiatowe miasto *Radomsk*, dziś Nowo-Radomskiem zwane, w błotnistej leżące kotlinie; po lewej zaś miasteczko *Brzeźnicę*, gdzie urodził się znakomity historyk polski, Jan Długosz w r. 1415.

I w tych stronach nie braknie podań i wspomnień.

Na zachód od Brzeźnicy leży starożytna osada Pajęczno, wchodząca niegdyś w skład ziemi wieluńskiej. Lud wyprowadza nazwę miasta od olbrzymiego pająka, którego mieszkańcy długie lata żywić musieli. Wreszcie znalazł się śmiałek jakiś, zabił potwora, a zdartą z niego skórą obił na pamiątkę drzwi parafialnego kościoła. Podanie to przypomina chrobacką baśń o smoku na Wawelu.

W dzisiejszym kościele spoczywały zwłoki dwóch historyków polskich, Marcina i Joachima Bielskich [1]), których rodzinnem miejscem była wieś Biała pod Pajęcznem. Pożar w r. 1830 uszkodził kościół i zniszczył pamiątkowe groby.

Prosto, prawie bez załamów biegnie plant kolei wśród dawnych miasteczek, dzisiaj częścią podupadłych, częścią zamienionych w rozkwitujące osady fabryczne i oto jesteśmy w Piotrkowie.

Piotrków.

Starożytne to miasto, zaliczone dzięki wyniosłemu położeniu do najzdrowotniejszych w naszym kraju, jest punktem środkowym (centrum) dla komunikacyi i administracyi całego obszaru, zajętego przez miasta i osady fabryczne.

I dawniej, dzięki swemu środkowemu położeniu między Wielkopolską i Małopolską, Piotrków wielkiego używał znaczenia, szczególniej od r. 1578, gdy Stefan Batory ustanowił

---

[1]) O historykach Bielskich wspomniano powyżej przy opisie Krakowa.

tam sądy trybunalskie. Sądy te odbywały się w Lublinie dla Małopolski, w Piotrkowie zaś dla Wielkopolski, a odbywały się z wielką uroczystością. Rozpoczynano je nabożeństwem w kościele Farnym, poczem cały trybunał, odśpiewawszy pieśń „Veni Creator“ wracał do ratusza, niosąc obraz Matki Boskiej, który do czasu ukończenia kadencyi, t. j. posiedzeń sądu, pozostawał w kaplicy trybunalskiej. Wszyscy deputaci, prawnicy, członkowie sądu — wojsko, lud cały brał udział w pochodzie.



Piotrków.

Zakończenie posiedzeń również było okazałe. Ostatni sąd zebrał się w r. 1792.

Prócz sądów, odbywały się w Piotrkowie synody, czyli zjazdy duchowne, na których roztrząsano ważne, naszej religii dotyczące się sprawy. Na jednym takim synodzie uchwalono wprowadzenie do Polski mszy rannych, zwanych „roratami,“ a odprawianych w adwencie.

Nie odrazu jednak Piotrków urósł w potęgę. Przed wiekami, gdy puszcze pokrywały cały obszar ziemi piotrkowskiej, był to sobie mały zameczek myśliwski, do którego tylko w pewnych porach roku, zjeżdżali królowie na polowanie. Najstarsze dokumenty o tem mieście sięgają początków XIII-go w.

i dopiero król Kazimierz Wielki opasał miasto murem i wzniósł nad rzeczką Strawą, dopływem Warty, zameczek obronny. Zamek ten był okazałą dwupiętrową budowlą z czterema wyniosłemi basztami, otoczoną ze wszystkich stron głębokim kanałem. Dziś rzeczka wyschła, z baszt i murów nie zostało ani znaku, a po zniesieniu drugiego piętra, w gmachu pomieszczono odwach miejski.

Stary gród trybunalski szczycił się przed laty wieloma świątyniami — teraz zaledwie kilka jeszcze ozdabia miasto,



Siewierz—ruiny zamku (str. 67).

reszta rozpadła się w gruzy lub otrzymała inne przeznaczenie. Najstarożytniejszą ze wszystkich budowli miejskich — jest Fara, pod wezwaniem św. Jakóba i N. Maryi Panny; sądząc ze stylu czyli kształtu, zbudowana około r. 1300, wysoką na 138 stóp ozdobiona jest wieżą.

Piotrków nie jest wcale pięknem miastem, wygląda ubogo, bo do dziś dnia prawie trzecia część domów mieszkalnych kryta jest gontami lub słomą.

Wszelako handel i przemysł z każdym rokiem się zwiększa; mnożą się kominy fabryczne, przybywają wysokie kamienice, ruch się wzmaga i starożytny gród przekształca się powoli na miasto fabryczne.

Łódź.

Północna część gubernii piotrkowskiej między Pilcą z prawej strony, Wartą z lewej, a Bzurą od południa, zajmuje obszar, który słusznie nazwać można królestwem maszyn.



Sulejów. [1])

Stolicą tego królestwa jest Łódź, miasto młode, w historyi wspomniane zaledwie w pierwszej połowie XV-go wieku. Prawdopodobnie była to uboga osada przez jakiegoś Łodzia, Wielkopolanina założona, ale od r. 1825, gdy ją zamieniono na miasto fabryczne, szybko wzrastać poczęła i ciągle wzrasta, zajmując dzisiaj pod względem ludności pierwsze w naszym kraju po Warszawie miejsce.

Ten nagły wzrost miasta zawdzięcza głównie przemysłowi bawełnianemu. Wzmaga się on coraz więcej, dość powiedzieć, że samych fabryk, produkujących wyroby bawełniane, jest w mieście 150, a przynajmniej drugie tyle zajmuje się wyrobami z wełny, lnu i konopi.

---

[1]) Starożytna osada w gub. piotrkowskiej, z dawnem opactwem Cystersów.

Miasto, bez żadnego budowane planu, rozrastało się w miarę potrzeby. Dziś na milę prawie jest długie, tworząc jak gdyby jedną ulicę, która to zwęża się, to rozszerza, rónże przybierając nazwy.

Z obu stron ulicy wznoszą się rzędy kamienic, stawianych to bokiem, to frontem, jak się komu podobało, a między niemi — zamiast drzew — czerwienieją kominy fabryk. I na bocznych ulicach także ich pełno; w którąkolwiek stronę rzucić okiem, sterczą wysokie kolumny, buchające kłębami czarnego dymu.

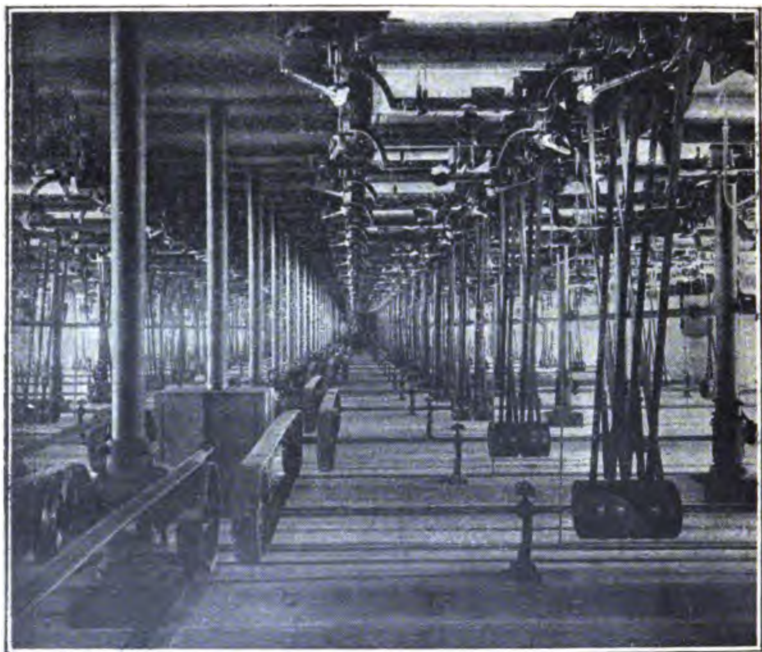


Łódź — widok ogólny.

Ten dym, para i wyziewy z zabrudzonej różnymi odpadkami rzeczki Łódki, to niezwalczeni wrogowie czystego powietrza, którego mieszkańcy Łodzi muszą szukać poza obrębom miasta jak np. na przedmieściu Helenowie, gdzie istnieje rodzaj parku angielskiego ze zwierzyńcem. Park ten jest własnością prywatną, publiczność tylko za opłatą może do ogrodu uczęszczać.

Gorączkowe, czynne życie wre w tem mieście, które porównać można do olbrzymiego warsztatu, przerabiającego setki tysięcy pudów bawełny, na setki tysięcy rubli.

Właściciele fabryk szybko zwykle przychodzą do majątku, ale inaczej rzecz się ma z ludnością pracującą. Robotnik, zepsuty łatwym względnie zarobkiem, bez zastanowienia traci pieniądze na karty, pijatykę i niema pewnie miasta, gdzieby stosunkowo do liczby mieszkańców, było tyle bójek ulicznych, kłótni, napadów, kradzieży i zabójstw nawet, co w Łodzi.



Wnętrze przędzalni w Łodzi.

Ale zwykle tak się dzieje w miejscowościach, gdzie ludność jest napływowa.

Jak promienie od ogniska—ruch fabryczny rozchodzi się od Łodzi, i z północy przez Zgierz, aż do Ozorkowa w gubernii kaliskiej sięga.

Na miejscu wytrzebionych dokoła lasów, wznoszą się kolonie i osady, huczą i terkoczą maszyny, a tam, gdzie mieszkał

tylko zwierz dziki, dziś kłębi się ciżba ludzi w zaciętej o zdobycie fortuny walce.

Przejdźmy teraz do innych wybitniejszych osad fabrycznych.

Zgierz w przedhistorycznych czasach musiał już być miejscowością zaludnioną, bo na wydmach piaszczystych pod miastem i w okopach zwanych „szwedzkimi“ często znajdują różne niezgrabnie wyciosane z krzemienia strzałki, nożyki, toporki. Wzrost miasta datuje się jednak dopiero od r. 1818, gdy sprowadzeni z zagranicy tkacze tam się osiedlili.



Pabianice b. Zamek kapituły Krakowskiej.

W stronie południowo-zachodniej o 14 wiorst od Łodzi leży starożytne miasto *Pabianice*, gdzie corocznie wyrabiają samych materyałów bawełnianyoh za cztery miliony rubli.

Pabianice, to dziecko Łodzi i kto wie, czy w niedalekiej przyszłości nie dorówna ono swej macierzy, bo już teraz farbiarnie pabianickie słyną w całym kraju. Dwie budowle świadczą po dziś dzień o starożytności miasta. Jedną z nich jest kościół parafialny z wieżą i baniastą kopułą, drugą pamiątką zaś były zamek kapituły krakowskiej, którego piękność załączony rysunek wykazuje. Dziś mieści się w nim magistrat miejski.

Drugiem centrum przemysłu gubernii piotrkowskiej, jest jedno z najmłodszych miast w kraju *Tomaszów*, zwany mazowieckim lub fabrycznym, dla odróżnienia od drugiego

Tomaszowa w gub. lubelskiej. Leży on nad rzeką Wolborką, w bardzo malowniczej okolicy. Z Łodzią łączy go przez stacyę Koluszki osobna linia kolei żelaznej.

Prócz licznych fabryk, wyrabiających przeważnie sukna i korty, Tomaszów posiada kopalnie rudy żelaznej, odkryte jeszcze w końcu ubiegłego stulecia, obecnie zaś pozostające w zupełnem zaniedbaniu.



Nowe-Miasto — Zakład leczniczy.

Kto zmęczy się pracą fabryczną, ten dla wypoczynku niech jedzie do Inowłodza, kolonii letniej, o półtorej godziny od Tomaszowa, a znajdzie tam orzeźwiającą kąpiel w Pilicy, i odetchnie wonią sosnowych lasów.

Drogi wodne, blizkość lasów, żyzność gruntów, są to warunki cechujące miejsca, gdzie najdawniej osiedlali się lu-

dzie, a że te warunki posiada opisywany właśnie kątek guberni piotrkowskiej, więc też spotykamy na lewym, wyniosłym brzegu Pilicy cały szereg osad, z których wiele jeszcze może Lecha i Piasta czasy pamięta. Między niemi *Nowe-Miasto* powstało znacznie później.

Chorzy, poszukujący świeżego powietrza, spokoju, kąpieli zimnej w Pilicy, śpieszą tutaj zewsząd, bo Nowe Miasto należy do bardzo zdrowych i pięknych miejscowości w kraju. Od r. 1873 otworzono tam zakład wodoleczniczy, który coraz pomyślniej się rozwija.

Rawa.

Miasto powiatowe Rawa, podobnie jak Piotrków i Radomsk umieściło się w zagłębieniu wśród rozległej wyżyny. Rawa wielokrotnie wspomniana jest w historyi, jako stolica książąt mazowieckich i miejsce, gdzie zatrzymywali się królowie polscy w swych wędrówkach po kraju. Z tych czasów pozostały ruiny zamku, słynące z rozgłośnego wśród podwórz zamkowych echa. Długo opierał się zamek niszczącemu żywiołowi czasu, dopiero Prusacy na początku bieżącego stulecia rozebrać go kazali.

Według podań miejscowych olbrzymie skarby mają być przechowane w lochach pod zamkiem; skarbów tych jednak żadna siła ludzka dostać nie może.

Góra pod Rawą.

Niegdyś, bardzo dawno temu, na górze pod Rawą wznosił się zamek warowny, a w zamku, gdy już Piastów nie stało, gnieździł się dyabłu oddany zbójca z gromadą łotrów, z którymi łupił naokoło kościoły, dwory i chaty, napadał po drogach podróżnych i niesłychane wyprawiał gwałty. Kiedy już nareszcie ludzie dłużej wytrzymać nie mogli i przebrała się

miarka Bożej cierpliwości, przyszedł na zbrodniarzy dzień kary. W noc straszliwą, w pośród grzmiącej burzy, piorun spadł z nieba, spalił zamek i zamienił go w zwaliska; zbójców zaś widocznie dyabli do piekła porwali.

Gdy się wieść o tem rozeszła po kraju, znaleźli się tacy, co pamiętając o skarbach niezmiernych, przez zbójców w lochach zamku nagromadzonych, zapragnęli je wynaleźć; ale czart, który teraz zamieszkał sobie w gruzach ogorzałych, tak ich przepłoszył, że niejeden życiem przypłacił śmiałość swoją. Odtąd nikt już tam chodzić się nie odważył, a dyabli około góry wyprawiali co noc harce, zwodząc i strasząc nieświadomych przechodniów.

Minęło tak może lat sto, może dwieście, kiedy jednego razu zjawił się, nie wiedzieć skąd, pustelnik. Był to staruszek siwy, jak gołąb, z brodą srebrną do pasa, a w oczach jego — choć wiekiem przygasłych — gorzał jakiś ogień świętego zapału i miłości Bożej. Ulepił on sobie mieszkanie pomiędzy szczątkami murów i osiadł w niem stale. Od tej pory ustały około góry wszelkie strachy, zapewne pokonane gorącemi modły pustelnika, a lud z okolic, posłyszawszy o bogobojnym starcu, począł się schodzić do niego w utrapieniach swoich. On chorych leczył, smutnych pocieszał, a nieszczęśliwych i ubogich hojną wspierał jałmużną. Nie wiedząc imienia starca, wszyscy go aniołem, a górę Anielską zwali.

Ale po pewnym czasie pustelnik zniknął naraz bez śladu. Znowu natenczas niektórzy okoliczni mieszkańcy zapragnęli bogactw zbójeckich, o których wspomnienie trwało; ale choć teraz nieczysta siła nie przeszkadzała widocznie, naprózno się mozolili, rozwalając twarde mury i kopiąc w gruzach: nie znaleźli ani złamanego szeląga. Przestali więc ludzie zgoła myśleć o wydobyciu skarbów owych, zabrali się do pracy gorliwszej około roli i wnet się przekonali, że lemieszem a broną skarby prawdziwe co rok z ziemi dobyć można, byle tylko człek potu swego przy onej robocie nie żałował.

„Złe jednak nie śpi — ale kusi,“ stare to już lecz dobre i mądre przysłowie. Czartowi nie podobała się ta praca okolicznych mieszkańców Rawy i postanowił im nową spłatać psotę...

Niebawem przywędrował do Rawy jakiś podróżny w trójgraniastym kapeluszu, w pluderkach, w pończoszkach, w trzewikach, a chudy — jak szczapa, istny cudak... Zaczął on po gospodach opowiadać, że umie ukryte skarby wynajdywać, i że jest ich bez liku na Anielskiej górze.

Aby przekonać o swojej mocy niedowierzających, puścił pod górę złocistą kulę, która się sama z siebie na wierzchołek zatoczyła i legła pośrodku gruzów.

Pewien mieszczanin rawski, człek okrutnie chciwy, dał się skusić namowom nieznajomego i począł z nim radzić, jakby się do skarbów dostać. Nie była to rzecz łatwa; podług zdania czarta (bo to on był tak po niemiecku przebrany) do wydobycia skarbów trzeba było koniecznie szczerozłotej motyki i takiegoż rydla — na to zaś cały majątek mieszczanina nie starczył.

Wkrótce jednak znalazło się do spółki kilku głupich, a chciwych także sąsiadów. Rozumni i pobożni przyjaciele poczęli odradzać im gorliwie, aby nie dowierzali przybłędzie, któremu kaducznie coś źle z oczu patrzyło, ale zaślepieni chciwcy ani słuchać nie chcieli! Uważając się za mędrszych, szydzili z życzliwych przyjaciół i robili swoje. Gdy nie starczył grosz zaoszczędzony na owe kosztowne narzędzia, zadłużyli się po uszy, pozastawiali u żydów gospodarstwa, aż wreszcie były gotowe: złoty rydel i takaż motyka!

Ze swoim doradzcą poszli na górę.

Począwszy od porannej zorzy, kopali w piasku przez dzień cały. O północku dokopali się ogromnego kamienia, pod którym miał się skarb znajdować.

Mieszczanie jeden po drugim probowali, ale żaden ciężkiego nie mógł dźwinąć głazu. Wtedy sam przewódzca spuścił się w dół wraz ze złotemi narzędziami.

W tej chwili z wieży rawskiego kościoła wybiła dwunasta godzina... Góra zaczęła drzeć i grzmieć straszliwie w swej głębi, płomień siarczysty z dymem buchnął dokoła, a przestraszeni mieszczanie usłyszeli śmiech piekielny.

Po chwili wszystko ucichło, uspokoiło się wnętrze góry, ziemia się zrównała, z wykopanego dołu nie było i śladu, a on cudak w pluderkach do kolan, przepadł bez wieści wraz ze złotą motyką i ze złotym szpadlem.

. . . .

Ofiary czartowskiego wybiegu, dobroduszni mieszczanie srogo ukarani zostali za swoją chciwość. Przywiedzeni do ostatniej nędzy, jedni z żalu poumierali, inni poszli żebrać po świecie...

Jeden z nich jeszcze przed niedawnymi czasy bywał podobno na odpustach w Miedniewicach [1]) i do zgromadzonych kmieci mawiał:

„Synkowie najmilsi, szukajcie skarbów w ziemi, ale niezbyt głęboko, ino tak, jak radło zabierze; skarb, ze znojem ręką waszą wyorany, najpewniejszy."

. . . .

A owa góra pod Rawą od tego nieszczęśliwego wypadku góry Dyabelskiej dostała nazwisko.

Gubernia piotrkowska w dzisiejszych swych granicach obejmuje północną część dawnego województwa krakowskiego, oraz część Mazowsza i Wielkopolski. Obszar ten książęta piastowscy uważali za bezużyteczny, z powodu braku większych rzek i nieurodzajnego gruntu, a chcąc go zaludnić sprowadzili przeważnie z Niemiec osadników. Z tego powodu namnożyły się w tej części naszego kraju przeróżne zwyczaje, pieśni i powstała wielka pstrokacizna ubiorów i języka. W pół-

---

[1]) *Miedniewice* wieś w gubernii warszawskiej o trzy mile od *Łowicza* odległą, słynna odpustami i obrazem Boga Rodzicy.

nocnej części gubernii przeważa żywioł mazurski, w południowej małopolski, wszędzie zaś wobecnej chwili zapanował żywioł niemiecki, a częściowo żydowski.

W dorzeczu Warty.

Jeziora.

Dzisiejsza gubernia kaliska, skraw dawnej Wielkopolski, położeniem gruntu i innymi warunkami przypomina sąsiednią gubernię piotrkowską.

Na południu wzniesiona, ku północy zniża się stopniowo i kończy gromadą jezior, smugami błotnistych obszarów, bagnami i moczarami. Takie miejsca przez samą naturę bronione i niedostępne napadom nieprzyjaciół, ludzie w czasach przedhistorycznych obierali na mieszkanie, dlatego też, położone w nizkich dolinach, trzy miasta gubernii kaliskiej: Kalisz, Sieradz i Łęczyca do najdawniejszych w kraju należą,

Jeziora zajmują północno-zachodni cypel gubernii kaliskiej. Do największych liczą: Powidzkie, Budzisławskie, Gopło, na granicy pruskiej, Ślesińskie i Gosławickie wewnątrz gubernii.

Prawie każde z tych jezior z jakąś poetyczną legendą, jest związane.

Zacznijmy od Powidzkiego: na wysokim brzegu przed setkami lat wznosił się chram, czyli świątynia słowiańskiego bożka Powidza, który przez usta swych kapłanów przepowiadał przyszłość i wywoływał duchy zmarłych ludzi. Ale skoro duchowni chrześcijańscy zaczęli nauczać lud prawdziwej wiary, świątynia opustoszała i rozsypała się w gruzy, a posąg Powidza powędrował na dno jeziora. Leży on tam zapomniany i tylko raz do roku, w pogodne noce majowe, w orszaku córek swych i kapłanów na powierzchnię fal wypływa.

Nad brzegami Slesińskiego jeziora wznosi się szereg wzgórz piaszczystych, okalających jezioro Slesińskie i zwa-

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

[illegible]

Mieszkali oni każdy w osobnej chatce, żywili się tylko surowymi korzonkami, jagodami i cudowną rybą, której głowę wrzucano codziennie do studni, a ryba odrastała na nowo.

Sława pobożności sześciu braci rozchodziła się po całym kraju, aż wreszcie dobiegła uszu królewskich. Wybrał się Bolesław Chrobry w odwiedziny i szczodrze pustelników złotem i klejnotami obdarzył.

Lecz Bóg nie pobłogosławił darom, bo gdy najstarszy z braci, Barnaba, chcąc przygotować obiad, zanurzył wędkę w studni, to zamiast całej jak zwykle ryby, wydobył tylko jej głowę. Widząc tę jawną oznakę gniewu Bożego, bracia zrozumieli, że zgrzeszyli przeciw ślubowi ubóstwa i Barnaba natychmiast wyruszył w drogę do Gniezna, by oddać królowi jego dary. Ale tymczasem kilku dworzan, wiedząc o bogactwach zostawionych pustelnikom, wróciło, by je odebrać. Próżno przysięgali biedacy, że nic nie mają; nędznicy, zamordowawszy ich okrutnie, podpalili domki, by ukryć zbrodnię. Lecz nie ukryła się ona, bo mordercy utraciwszy rozum, zamiast uciekać, biegali wokoło płonących pustelni. Tak zastali ich, wysłani od króla żołnierze.

Zapadł wyrok śmierci na zbójców, lecz Barnaba błaga króla o litość: „Niech żyją, by mogli odpokutować swe winy“—prosił. I stał się cud, kajdany opadły z rąk i nóg winowajców. Obdarowani życiem, udali się oni wraz z Barnabą na puszczę i poczęli wieść żywot pustelniczy.

Na pamiątkę męczeństwa pięciu braci, do dziś dnia istnieją w Kazimierzu kapliczki, a w miejscu, gdzie była owa studnia z cudownie odrastającą rybą, tryska źródło czystej wody, którą lud okoliczny czerpie i używa jako lekarstwo w chorobach oczu.

Kalisz.

W najniższym punkcie gubernii kaliskiej, w dolinie kilkakrotnie oblanej skrętami i odnogami rzeki Pros-

ny [1]) powstała w XIII-ym wieku, najpierw ubożuchna osada potem miasto Kalisz.

Różne klęski, jak: wojny, pożary, morowa zaraza, nie oszczędzały miasta; jednakże za czasów piastowskich i pierwszych Jagiellonów, podniosło się bardzo, do czego niemało przyczyniło się skierowanie na Kalisz handlowego traktu z Torunia do Wrocławia.



Kościół Panny Maryi w Kaliszu.

Dobre czasy skończyły się w XVI-ym wieku, Kalisz zaczął upadać, a po przejściu pod rząd pruski, w początkach bieżącego stulecia, prawdziwa powódź Prusaków zalała miasto i jego okolice. Napływ niemczyzny do Królestwa, chociaż mniejszy niż dawniej, trwa jednak ciagle. Fabrykanci niemieccy sprowadzają z Prus setki rodaków, a ci bez żalu opuszczają swoją ojczyznę, bo wiedzą, że u nas nie zbraknie im chleba i że prędko przyjdą do majątku. Szturmują więc koloniści pruscy białymi talarami do kieszeni naszych wieśniaków, ofiarując im za ziemię nieraz bardzo wysoką cenę. Ale rzadko który wieśniak da się namówić do sprzedaży, pamięta on, że talar okrągły łatwo się z palcy wyślizgnie, a ziemię, raz straconą,

[1]) Prosna tworzy zachodnią granicę guberni kaliskiej i pod Pyzdrami z lewej strony wpada do Warty.

odzyskać trudno, pamięta i o tem, że na tej ziemi pracowali ich ojcowie i dziadowie, i że ją synom swym w całości zwrócić powinien.

Śliczna piosenka poetki naszej współczesnej, Maryi Konopnickiej, tak o tych pruskich namowach do sprzedaży ziemi opowiada:



Kościół po-Bernadyński w Kaliszu.

Chodziły tu Niemce,
Chodziły odmieńce:
„Sprzedaj chłopie rolę,
Będziesz miał czerwieńce!
Zapłacimy chatę,
Zapłacimy pole:
Będziesz miał talarów
Na calutkim stole.“

„A mój Niemcze miły,
Idźże, kiedy raczysz,
Ale mojej roli
Równo nie obaczysz.
Schowaj *se* czerwieńce
I białe talary,
Kto sprzedaje ziemię,
Nie naszej jest wiary!

Bogatyś ty, Niemcze,
I trzos twój chędogi,
Ale na tę ziemię
Jeszcześ za ubogi!

I broniąc się od sprzedaży, kmiotek prawi:

„A kto mi zapłaci za dzwon, co wzywa rankiem na pacierze, za wiosenny klekot bociana, za wiatr— co wieje, za fujarki granie, za cmentarz, gdzie leżą ojcowie i dziady... Poczem tak kończy swą odmowę:

I mnie na cmentarzu
Gospody potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła,
„Chodź chłopie do nieba“
A toćby mi dzieci
Po nocach tęskniły,
Nie wiedząc, gdzie szukać
Ojcowej mogiły!
Nie sprzedam ci roli!
Weź, Niemcze, talary...
Kto sprzedaje ziemię,
Ten nie naszej wiary.“

Rozmaicie tłómaczą pochodzenie nazwy Kalisz. Najpewniej wzięła ona początek od kałów czyli bagnisk, wśród których założono osadę.

Gdyby nie kilka świątyń i szczątki Kazimierzowego muru, nie posiadałby Kalisz zgoła żadnych zabytków przeszłości.

Między świątyniami pierwsze miejsce trzyma kościół Ś-go Mikołaja, wzniesiony w początku XIII-go wieku, za panowania Leszka Białego w Polsce. Zniszczona i skutkiem pożaru w r. 1706 zupełnie ogołocona z ozdób świątynia, posiada w wielkim ołtarzu cudny obraz, przedstawiający Zdjęcie z Krzyża. Jest to kopia słynnego obrazu Rembrandta, malarza holenderskiego [1]).

Z wieży kościoła Ś-go Józefa, tak jak z wieży Maryackiej w Krakowie, dwa razy dziennie odzywają się hejnały.

---

[1]) Rembrand ur. 1606, zm. 1669.

Rano rozbrzmiewa pieśń: „Kiedy ranne wstają zorze“ — wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy.“

Prosna i jej odnogi kilkakrotnie przerzynają miasto, a wszystkie niemal ulice biegną ku rzece albo ciągną się wzdłuż jej wybrzeży.

Ogrodów nie brak w Kaliszu. Nad Prosną leży obszerny, starannie urządzony park, a owocowych sadów jest w mieście mnóstwo.

Tuż pod Kaliszem znajduje się osada Opatówek, ze słynnemi i największemi w kraju fabrykami sukna.

Łęczyca.

Błota i rozległe torfiaste obszary, zielone jak aksamit, gęste łąki, leniwie płynąca rzeka Bzura, a nad jej brzegami ciche, wpół uśpione miasto, to obraz i ramy dzisiejszej Łęczycy. Miała ona jednak chwile swej świetności, dawno, dawno temu, gdy w jej murach odbywały się zjazdy duchowne i świeckie.

Pierwszy zjazd zwołał do Łęczycy król Kazimierz Sprawiedliwy w r. 1180 i uzyskał od zebranych panów przyrzeczenie, iż następcą po nim wybiorą syna jego Leszka Białego, w zamian za liczne przywileje, jakimi ich obdarzył. Z biegiem czasu, gdy ognisko ruchu przeniesiono z Wielkopolski do Krakowa, gdy zjazdów zaprzestano, Łęczyca podupadła.

Obecnie z wiekowego uśpienia budzi miasto ruch przemysłowy, od Łodzi sięgający aż tutaj. Handel jednakże do tej pory jest przeważnie w ręku żydów.

Okolice Łęczycy swem nizkiem położeniem, obfitością pokładów torfu przypominają Podlasie, a rozwojem przemysłowym sąsiednią gubernię piotrkowską, chociaż naturalnie w bardzo słabem przybliżeniu.

Jakkolwiek Łęczyca należy do osad starożytnych, sięgających nawet przedhistorycznych czasów, pamiątek przeszło-

[illegible] posiada prawie. Kościół parafialny S-go Andrzeja pochodzi z XV-go wieku. Zabudowania poklasztorne przy drugim niegdyś bernardyńskim kościele służą za koszary. Z obronnego zamku, zbudowanego na kępie, oblanego niegdyś wodą, zostały tylko gruzy. Zamek [illegible] się przez czas długi, w końcu chciwy [illegible] na materyał budowlany, kazał mury stare rozbierać. O tym zamku taka historya krąży między ludem miejscowym.

Podanie o dyable Borucie.

Boruta, to nazwa dawnego dyabła, który dotąd siedzi pod gruzami zamku łęczyckiego i pilnuje złożonych tam skarbów. Cztery wieki leży [illegible] pono, więc też ustatkował się [illegible] i zgoła nie przypomina się ludziom. W młodości był jednak całkiem inaczej.

Stare podanie mówi, że Boruta, znudzony długiem pilnowaniem skarbów, wyszedł na świat zabawić się nieco i trafił na gody weselne w domu pewnego szlachcica. Gospodarz przyjął grzecznie nieproszonego gościa, napoił miodem, ale gdy podochmielony Boruta zbyt natarczywie zapraszał pannę młodą do tańca, pan młody wyzwał go na szable. Zaczęła się rąbanina i choć dyabeł bronił się dobrze, szlachcic obciął mu dwa palce. Od tej pory Boruta nie opuszcza lochów łęczyckiego zamku, lecz spoczywając na pustej beczce od wina, liże zakrwawioną łapę i o swem nieszczęściu rozmyśla.

Drugie podanie jest takie:

W pobliżu zamku łęczyckiego, mieszkał szlachcic niewiadomego nazwiska i herbu, rosły i silny. Nikt z nim nie mógł się mierzyć na szable, bo za pierwszem złożeniem, przeciwnikowi wytrącał oręż z ręki, stąd też szlachcic dostał przydomek Boruty. Mówiono nawet, że musiał mu dyabeł Boruta pomagać, a że nosił siwą kapotę, dla odróżnienia od prawdziwego dyabła, nazywano go siwym Borutą.

Nikt nie zaczepił, każdy ustępował z drogi siwemu Borucie, a skoro czasem rozochocona szlachta porwała się do korda, na sam głos siwego Boruty wychodziła do sieni, albo na podwórze, i tam dopiero karbowała sobie dymiące łysiny.

To uszanowanie, a raczej bojaźń sąsiadów tak wbiła Borutę w dumę, że nieraz odgrażał się, iż jak złapie prawdziwego Borutę, to mu karku nakręci; a skarby, których pilnuje, zabierze.

Siwy Boruta miał dużo pieniędzy, lecz je wkrótce w hulance roztrwonił; postanowił przeto dostać się do skarbów, i wziąć z parę mieszków złota od swego miłego pana brata, jak nazywał dyabła Borutę.

O samej północy, zapaliwszy latarnię, zuchwały szlachcic, ufając swojej sile i szabli, poszedł do lochów. Ze dwie godziny chodził po zakrętach, nareszcie wybiwszy jedne drzwi, ukryte w murze, ujrzał owe skarby. W kącie, na bryle złota siedział sam Boruta, w postaci sowy, z iskrzącemi oczyma.

Zbladł śmiałek i zadrżał na ten widok, ale po chwili przyszedłszy do siebie, wyrzekł zcicha, kłaniając się pokornie.

— Czołem, czołem, mnie wielce miłościwemu bratu!

Sowa kiwnęła głową, co rozweseliło nieco siwego Borutę. Ukłoniwszy się raz jeszcze, zaczął wypełniać złotem i srebrem kieszenie siwej kapoty i tak je obładował, że zaledwie mógł się obrócić.

Już świtać zaczęło, gdy szlachcic wyszedł z lochu. Zaledwie stanął na progu, kiedy drzwi same zatrzasnęły się i ucięły mu całą piętę. Kulejąc, a krwią znacząc ślady kroków swoich, siwy Boruta ledwo doszedł do domostwa.

Odtąd miał dużo pieniędzy, ale stracił siłę i zdrowie, i gdy w kłótni o miedzę, wyzwał sąsiada na szable, wówczas ten, którego dawniej siwy Boruta byłby jednym palcem obalił, teraz pokonał bogacza i zabił.

Domostwo zabitego pustkami stało, nikt nie chciał w niem zamieszkiwać, tylko dyabeł Boruta odwiedzał często izbę i alkierz, pozostałe skarby przenosząc napowrót do zamku łęczyckiego.

Powiat sieradzki.

Ziemia sieradzka stanowiła dawniej ogniwo łączące Wielkopolskę, Małopolskę i mazowiecką Łęczycę. Granicą jej od wschodu była Pilica, z zachodu zaś, aż po za lewy brzeg Wisły sięgała.

Dzisiejszy powiat sieradzki opiera się z północy o powiaty łęczycki i turecki (od miasta *Turek*), z południa o wieluński. Niezła gleba, a zwłaszcza starannie bardzo prowadzona gospodarka, przyczyniają się do dobrobytu okolicy. Lud tam barczysty i kształtny, pracowity i wesoły. Kłótni, procesów, mniej tutaj niż w innych stronach naszego kraju, a chociaż i przytnie jeden drugiemu uszczypliwemi słowy, chociaż powie o złośliwym, że „tnie jak osa“, o wścibskim, iż „potrzebny jak dyabeł w Częstochowie,“ o niespokojnym, że „kręci się jak Marek po piekle,“ jednakże więcej z tych przezwisk śmiechu, niż obrazy.

Szczera pobożność cechuje lud w powiecie sieradzkim, wszystkie przepisy religijne spełniane są z wielką gorliwością, szczególniej posty w wigilię świąt Matki Boskiej, bo

Kto kocha Maryję,
Nie dba o wiliję,

co znaczy, że nie dba, choć i dzień cały spędzi o suchym chlebie i wodzie.

Mnóstwo przepisów, odnoszących się do rolnictwa lub pogody, wiążą tamtejsi włościanie z różnemi świętami w roku.

I tak: w dzień św. Marka, dnia 28 kwietnia, procesye wychodzą z kościołów parafialnych na pole do krzyżów lub kapliczek, prosząc Stwórcy, przez wstawiennictwo św. Marka o urodzaje i pogodne żniwa. Z procesyi tych urosło przysłowie:

Święty Marek wszedł na folwarek
Zobaczyć żytko czyli zeszło wszytko (wszystko).

Za nadejściem św. Jadwigi (15 października) tylko kapusta, rzepa i brukiew na polu jeszcze znajdować się mogą według starego przysłowia:

Czego po polu szukasz? Pyta św. Łukasz (18 paździer.).
„Szukam rzepy“ odpowiada św. Jadwiga.

O dniu św. Barbary (4 grudnia), mówi znowu:

Gdy na św. Barbarę mróz
Sanie, chłopie, na górę włóż,
A szykuj dobry wóz,

to znaczy, że zima nie będzie śnieżna lecz mroźna.

„Na św. Toma — gody doma,“ powtarza lud wiejski, bo zbliża się dzień 21 grudnia, termin, w którym czeladź odbiera zasługi lub nowe umowy zawiera.

Każde uroczyste święto w roku, połączone jest z dawnymi zwyczajami i obchodami. W dzień Bożego Narodzenia, chłopcy wiejscy, według powszechnego u nas zwyczaju, chodzą z kolędą, t. j. z wielką gwiazdą, umieszczoną na drążku i otoczoną świecami zapalonemi. Obchód ten w powiecie sieradzkim tem się różni, iż chłopcy przebierają się za zwierzęta. Jeden okryty czarnym kożuchem udaje niedźwiedzia, drugi—białym, kozę. Główną jednak rolę odgrywa chłopiec przebrany za tura i prowadzony na łańcuchu, co wskazuje, że obrzęd ten pochodzi jeszcze z czasów, gdy tur był dość pospolitem zwierzęciem w naszym kraju, a kolędnicy ze złapanym żywym turem obchodzili chaty, dwory i miasta, śpiewając różne pieśni.

Oto jedna z mało znanych kolęd w gubernii kaliskiej śpiewana:

W dzień Bożego Narodzenia
Ptaki do szopy zlatują,
Radość wszystkiego stworzenia
Jezusowi wyśpiewują:
Słowik zaczyna dyszkantem,
Szczygieł mu dobiera altem,
Szpak tenorem krzyknie czasem,
A gołąbek gruchnie basem.
Wróbel, ptaszek nieboraczek
Uziąbłszy, śpiewa jak żaczek:
„Dziw, dziw, dziw, dziw nad dziwy,
Narodził się Bóg prawdziwy.“
A mazurek (świerszcz) ze swym synem,
Tak świergocze za kominem:
„Cierp, cierp, cierp, cierp, miły Panie,
Póki ten mróz nie ustanie.“
Kur na grzędzie — krzyczy wszędzie:
„Wstańcie ludzie, bo dzień będzie,
Do Betlejem pośpieszajcie,
Boga w ciele powitajcie.“

Nie brak i przesądów. W wigilię uroczystości Trzech Króli, wieśniacy gaszą doszczętnie wszelkie ognie w domu i dopiero po nabożeńswie w samo święto odbyte, zapalają w kościele kawał powroza, śpieszą z nim do chaty i ogień na nowo rozniecają.

Zwyczaj obchodzenia dawnych Sobótek, czyli skakania przez ogień, z tańcami, dawno już w tych stronach jest zaniechany, ale za to w sam dzień św. Jana, przed wschodem słońca, biegną ludzie do rzeki, do strugi lub stawu, by się wykąpać, co przynajmniej przez jeden rok powinno chronić kąpiącego od wrzodów lub wyrzutów skórnych.

W niektórych okolicach obchodzą jeszcze uroczystość gaiku lub maiku, o której wspominaliśmy, mówiąc o Śląsku austryackim.

Sieradz.

Sieradz, stolica dawnego księstwa, jeden z najstarszych grodów wielkopolskich, dobre i złe przechodził czasy. W końcu XIII-go wieku łupili go Tatarzy i Czesi, a w lat kilkadziesiąt później wyrodny Wincenty z Szamotuł sprowadził Krzyżaków, którzy miasto prawie z ziemią zrównali. Lecz dobry król Kazimierz otoczył gród stary swą ojcowską opieką i dźwignął z upadku, potem zaś liczne zjazdy i sejmiki za czasów bezkrólewia po Ludwiku wprowadziły do miasta ruch i życie.



Gaik w kaliskiem.

Obecnie Sieradz jest małą powiatową mieściną, nie liczącą nawet 6,000 mieszkańców. Kilka zakładów przemysłowych i bardzo uczęszczane jarmarki nieco ożywiają miasto.

O czternaście wiorst od Sieradza, leży *Zduńska Wola*, z osady niedawno do godności miasta podniesiona. Ludność stanowią głównie tkacze niemieccy. Prócz trzech parowych fabryk, blizko 10,000 domowych warsztatów furczy po całych

dniach w Zduńskiej Woli i otaczających ją osadach i wyrabia tkaniny wełniane, bawełniane i półjedwabne.

Podania ludowe w powiecie wieluńskim.

O dziesięć mil od Kalisza, dziewięć od Częstochowy, a trzydzieści jeden od Warszawy, leży miasto *Wieluń*, niegdyś stolica ziemi wieluńskiej, w żyznej, obfitującej w źródła, dolinie, na pokładach kamienia wapiennego.

Nazwa miasta ginie w odległej przeszłości. Jedni wywodzą ją od wielu źródeł, co nawet według Długosza, miało być przyczyną, iż w połowie XII-go wieku przeniesiono osadę z odległej o trzy wiorsty, bezwodnej, kamienistej Rudy do obfitej w źródła, umajonej pięknemi łąkami doliny.

Fantazya ludu inaczej jednak powstanie Wielunia objaśnia.

Wnuk Mieczysława Starego, Władysław Odonicz, Plwaczem zwany, polował po raz pierwszy w tutejszych kniejach w uroczyste święto Matki Boskiej, w porze przeznaczonej na nabożeństwo.

Szczęście nie dopisywało myśliwcom, ogromny jeleń umykał przed nim z gęstwiny w gęstwinę, aż w końcu znikł zupełnie. W tejże chwili książę podniósłszy oczy ku niebu, ujrzał na czystym błękicie kielich, opromieniony jasnością, a pod nim baranka z chorągiewką i krzyżem. Zrozumiał myśliwy, że dano mu przestrogę, zaprzestał łowów, a na przebłaganie Boga za lekkomyślność, wystawił w miejscu, gdzie miał owo widzenie, kaplicę, poświęconą czci Najświętszej Maryi Panny, później zaś nieco kościół pod wezwaniem Bożego Ciała i klasztor ks. Augustyanów.

Tym sposobem powstało miasto, zwane początkowo Jeleń, potem zaś Wieluń, chociaż do dziś dnia wieśniacy okoliczni, pierwszej trzymają się nazwy.

Stąd też pochodzi herb ziemi wieluńskiej, przedstawiający kielich z barankiem. Opowiadają też również, że w rynku jedna z kamienic stoi w miejscu, gdzie znikł ów jeleń tajemniczy.

Pewniejsza historya i wzrost Wielunia zaczyna się dopiero od Kazimierza Wielkiego, tego niezrównanego gospodarza, który Polskę odebrał drewnianą, a zostawił murowaną. Wzniósł on tutaj zamek warowny, miasto otoczył murem dla obrony od napadów Czechów i książąt śląskich.

Zamek wieluński zbudowany z kamienia wapiennego, stał na niewielkiem wzgórzu, otoczony był kanałem, który zasilały źródła, sączące się pod samym zamkiem. Za rządów pruskich zaczęto rozbierać starożytną budowlę, a dziś na fundamentach dawnego zamku wznosi się dom okazały — własność prywatna. Z murów, niegdyś okalających miasto, pozostały tylko ślady. Przechowała się również brama Krakowską zwana, z wysoką wieżą, do której obecnie ratusz przybudowano.

O trzy wiorsty od Wielunia, leży wspomniana wyżej wieś *Ruda*, dawniejsza od miasta, ze ztarożytnym kościołem, wzniesionym pod wezwaniem Ś-go Wojciecha, w miejscu gdzie św. biskup miewał kazania i mszę św. odprawiał.

Wiele podań istnieje z czasów pielgrzymek św. Wojciecha, a wszystkie dowodzą nadzwyczajnych trudów i starań podjętych dla ustalenia wiary chrześcijańskiej.

Jest i podanie o amonitach [1]) spotykanych często w okolicach Wielunia. Obecność ich lud tamtejszy tak sobie tłómaczy.

Gdy św. Wojciech w pielgrzymce swej zaszedł tutaj, zmęczony siadł odpocząć i zasnął; wtem z pod kamienia wypełzło mnóstwo wężów, sykaniem budząc śpiącego. Rozgnie-

[1]) Amonity—szczątki skamieniałych mięczaków.

wany biskup uderzył pastorałem w ziemię, a gady natychmiast skamieniały.

Odtąd cała okolica wolną jest od wężów, a te, które przeklął biskup, zamienione w kamień znaleźć nieraz można w blizkich kopalniach wapna.

W wiosce Wideradzu pod Wieluniem, wśród bagien i błot przebywał dyabeł psotnik, zwany Wideradzki lub Rokita i używał równej sławy, jak Boruta, strzegący skarbów w Łęczycy. Rokita przybierał różne postacie, a najczęściej konia skrzydlatego, straszył też ludzi po nocy, czyli według tamtejszego wyrażenia, tumanił.

Dokuczał jednak Rokita zawsze tylko takim, którzy na dokuczanie zasługiwali, a szczególniej pijakom, zarozumialcom, tchórzom, udającym śmiałków i t. p.

Pewien bogaty szlachcic, tytułujący się panem na Wideradzu, Olewinie, Rudzie etc., słynący z pychy i samolubstwa, został przez Rokitę srodze poturbowany.

O tym szlachcicu taka istnieje piosenka:

Pan Marek na Wideradzu,
Był kasztelanem w Sieradzu.
A że nie opłacał sługi,
Dyabeł go porwał za długi.
Hej, czemprędzej dajcie wina.
Póki staje Olewina.
Niech dyabeł porwie mą duszę,
Jeśli garnca nie wysuszę.

Wracał sobie jednego wieczora ów panek do domu, gdy usłyszał głos:

Także to pan z Olewina,
Wysuszył dziś garniec wina?

Za to na wieki z hołotą
Żłopać odtąd będzie błoto!

Grom piorunu nie byłby straszniejszym dla szlachcica nad owe słowa, włosy najeżyły mu się na głowie, język dębem stanął. Chciał zawrócić konia i uciekać, ale daremne życzenia! Przy świetle oślepiającej błyskawicy ujrzał dwu strasznych murzynów, którzy go z konia ściągnęli i podrzucając do góry, z całą siłą zanurzyli w błocie aż po uszy, a trzeci murzyn tymczasem tak samo uczęstował jego konia.

W pół żywy, omazany błotem, potłuczony, wrócił pan Olewiński do domu pieszo, nie mogąc złapać przerażonego wierzchowca.

Od tej pory w czasie suplikacyi śpiewanych w kościele dodawano: „Od powietrza, głodu, ognia, wojny i od Wideradza, zachowaj nas Panie.“

Na południe od Wielunia leży miasteczko *Działoszyn*. Po lasach i polach przyległych znajdują się ślady okopów, zwanych mylnie przez lud szwedzkimi. Było to zapewne cmentarzysko słowiańskie, bo i teraz jeszcze wieśniacy wyorują tam czasami starożytne urny i popielnice.

Strony Wielunia piaszczyste i ubogie. Tu i owdzie rozrzucone są wielkie głazy, niby rozbryzgi Karpat, które lud dyabelskimi nazywa, utrzymując, że na rozkaz Twardowskiego zostały z Krakowa pod Wieluń przeniesione. Jeszcze niżej, niedaleko Śląska, górnicze miasteczko *Praszka*, zupełnie już prawie zniemczałe i grupa nędznych wiosek zamyka południową kończynę gubernii kaliskiej.

Mimo dość ubogiej gleby, rolnictwo wysoko tam stoi, bo staranna od kilku wieków uprawa poprawiła ziemię, to też miejscami, szczególniej w powiecie kolskim pszenica dobrze się rodzi, a około Łęczycy w powiecie tureckim i kaliskim są nawet plantacye buraków, które jak wiadomo dobrego wyma-

gają gruntu. Po łąkach trawy w bród, inwentarz śliczny, więc też gospodarstwo mleczne ciągle się wzmaga. Brak lasów nagradzają obfite pokłady torfu, używanego nietylko na opał, lecz także na nawóz.

Wogóle gubernia kaliska ruchliwą jest bardzo. Przemysł na tym zdawien dawna zaludnionym obszarze, wzmógłby się jeszcze, gdyby komunikacya była łatwiejszą. Niestety gubernia kaliska dróg żelaznych nie posiada do tej pory wcale.

Od południa ku północy przecina ją Warta, a na granicy pruskiej płynie Prosna, obydwie rzeki skutkiem płytkiego i nieregularnego koryta, są mało zdatne do żeglugi, pozostają więc tylko drogi bite. Ten stan rzeczy zmieni się jednak wkrótce, bo przeprowadzenie drogi żelaznej przez gubernię kaliską jest już postanowione.

Polska Szwajcarya.

Na północ Galicyi zachodniej — oddzielona od Wisły — leży gubernia kielecka. Dawniej południowa część tej gubernii należała do ziemi krakowskiej, która opierała się południową granicą o Tatry i Karpaty, na zachód miała Śląsk, z północy Sieradzkie, od wschodu zaś graniczyła z ziemią sandomierską i Rusią Czerwoną, dzisiaj Galicyą wschodnią.

Krakowskie wraz z Sandomierskiem i Lubelskiem, stanowiło właściwą Małopolskę.

Cała ta ziemia—jak to już było wspomniane, przy opisie Krakowa i jego okolic, odznacza się bardzo malowniczem położeniem, a do najpiękniejszych należy dolina Prądnika.

Gdy ci obce kraje znane,
Wstydem lica twe zarumień,
Jeśliś widział Tyber [1]), Sekwanę [2]),
A Prądnikaś minął strumień.

---

1) Rzeka we Włoszech. 2) Rzeka we Francyi.

Poco szukać obcych krajów,
Alp odwiedzać grzbiet wysoki?
Wśród Ojcowa skał i gajów
Równie szczytne masz widoki.

Tak mówi poeta polski, Franciszek Salezy Dmochowski [1]) i rzeczywiście trudno znaleźć ustroń piękniejszą i cichszą nad ojcowską dolinę.

Podróżny, jadąc kamienistą drogą od *Olkusza*, znużony jednostajnym widokiem równiny, przerzynanej tylko łanami zbóż, smugami lasów i gdzieniegdzie grupą chat wieśniaczych, nagle zaczyna spuszczać się w dolinę. Spadek jest tak gwałtowny, że na koła zakładają hamulce, a konie dla zachowania równowagi, prawie przysiadają na tylnych nogach. Nieprzyzwyczajonego do podobnej karkołomnej drogi, strach ogarnąć może, ale o strachu zapomina się wnet, patrząc na cuda natury, leżące dokoła.

Jar coraz głębszy, droga coraz spadzistsza, a miejscami tak wązka, że dwa wózki góralskie minąć się nie mogą, chłód i półcień zwiększają się i oto jesteśmy już — w tym uroczym zakątku, słusznie polską Szwajcaryą nazwanym.

Długa na dwie mile, zygzakowato biegnąca dolina, to zwęża się, to rozszerza, to łączy z innemi dolinami. Wszystkie strome, przepaściste skały piętrzą się dokoła. Trudno opisać dziwaczność ich kształtów. Jedne przypominają ruiny zamków, inne wieżyce kościelne. Tu roztwiera się wspaniała brama, tam sterczy baszta—owdzie zbite w jeden szereg skały, tworzą niby mur, opasujący gród obronny — a gdzieniegdzie jeszcze zdaje się, że to leży lub stoi jakiś zadumany olbrzym z hełmem na głowie i z pod spuszczonej przyłbicy na świat spogląda.

Najpiękniejszą jest dolina ojcowska o wschodzie i o zachodzie słońca. W różowych i złotawych łunach— skały na-

[1]) Dmochowski um. r. 1871 w Warszawie.

bierają życia, zdają się drgać, poruszać, zbliżać i nachylać ku sobie.

Wyobrażenia ludu różne, nieraz bardzo trafne ponadawały tym skałom nazwy. Jest więc między niemi „Klasztorna góra,“ „Iglica,“ oryginalny odłam z okrągłym otworem u podstawy, niby uszko igły. „Rękawica“ zupełnie przypominająca kształtem jakąś potwornie wielką rękę z rozpostartymi palcami, „Skała Twardowskiego,“ „Krakowska Brama“ i wiele innych jeszcze.

Niektóre skały, zbliżając się ku sobie, zamykają niewielką przestrzeń i tworzą — niby studnię, zwaną przez lud ogrodzieńcem lub ogrójcem. Do takiego ogrójca dostęp jest niemożliwy, bo na śpiczasty, jak igła ostry szczyt nawetby koza się nie wdarła, a przez wązkie szczeliny między skałami, zaledwie wąż przesunąć się może. Węże też tylko, oraz ciekawe pewnie i rzadkie gatunki roślin, są jedynymi mieszkańcami ogrójców.

Najwyższa z gór ojcowskich — Chełm, wznosi się z prawej strony tuż obok prześlicznej doliny Sąspowskiej. Jodły, sosny, buki, podszyte całym lasem dzikich malin, pokrywają zbocza góry, a ze szczytu jej w dni pogodne dojrzeć można smukłą wieżę Maryackiego kościoła, mnóstwo innych wieżyczek i zarys posępnego zamku na Wawelu.

Na wierzchołku góry krzyż żelazny, w olbrzymi kamienny głaz utkwiony—wyciąga swe ramiona i błogosławiąc leżącej u stóp swych dolinie, błogosławi łanom i wioskom, rozsypanym dokoła.

Liczne groty i jaskinie kryją się między skałami, a z każdą prawie jakaś ciekawa łączy się legenda. Niedaleko góry Chełmowej znajduje się grota króla Łokietka, inaczej królewską zwana. Prowadzi do niej otwór ziejący chłodem i wilgocią. Nigdyś zdobiła go korona ze stalaktytów [1]), ale wszyst-

[1]) *Stalaktyty* czyli *soplence*, utwory kamienne, w postaci sopli, po-

kie poodłamywali podróżnicy i zachowali na tak zwaną pamiątkę, którą najczęściej w kąt się rzuca.

Wązki korytarz prowadzi wewnątrz groty do istnego labiryntu większych i mniejszych pieczar—to też bez przewodnika niebezpiecznie byłoby po raz pierwszy tam się zapuszszczać. Po krótkiej wędrówce podróżny przychodzi nad brzeg jakiejś przepaści, wstępuje w głąb jej po bardzo niewygodnej



Ojców — Dolina Prądnika.

drabinie i znajduje się w obszernej sali -- właściwej kryjówce Łokietka.

---

wstałe wskutek przeciekania wody źródlanej przez wapień i krzemionkę, utwory takie są pospolite w wielu pieczarach i mają często dziwaczne kształty. Woda ściekająca na dno pieczar, przesiąknięta wapienem, tworzy tam *stalagmity*, które się z czasem łączą ze stalaktytami i wytwarzają kolumny.

Istny to grób — ciemny i duszny — a jednak tam właśnie król tułacz spędził długie dni i noce, prześladowany przez Wacława, króla czeskiego, który około r. 1300 nietylko Łokietkowi tron odebrał, ale jeszcze, jak dzikie zwierzę, po lasach i górach tropić go rozkazał. Przewodnicy do dziś dnia pokazują wilgotną framugę w skale, niby łoże króla Łokietka i pleśnią pokryty kamień, przy którym spożywał skromny posiłek, dostarczany przez wiernych i kochających monarchę wieśniaków.



Pieskowa skała str. 121.

Z drugiej strony doliny, wązka, prawie prostopadła ścieżka prowadzi do groty, zwanej Ciemną lub Ojcowską. Pierwsza nazwa jest zupełnie niesłuszna, bo właśnie przez szczelinę w skale wpada do groty nieco światła. Jest to olbrzymia sala, wsparta w pośrodku na odłamie skały, niby na filarze.

Wiele innych jeszcze jaskiń czeka w Ojcowie na podróżnika, jak: dwie jaskinie Sąspowskie, Jerzmanowska i Więckowska. Ta ostatnia leży o kilka wiorst dalej — jest bardzo

obszerna i ozdobiona mnóstwem śnieżnej białości stalaktytów, dzięki temu, iż je zwiedzają przy latarniach, a nie przy świetle smolnych pochodni, z których kopeć pokrył jaskinie ojcowskie grubą i lepką warstwą sadzy.

Wszystkie te wyżłobienia skalne były od tysięcy lat, bo jeszcze w czasach przedhistorycznych zamieszkałe. Uczeni, badając troskliwie wnętrze pieczar ojcowskich znaleźli głęboko zagrzebane w mule i w ziemi, niezgrabne kamienne siekierki, igły i szydła z kości zrobione, skorupy naczyń glinianych i różne wyroby nieudolnych jeszcze rąk ludzkich.

Znaleziono również kości zwierzęce, rogi turów, kły niedźwiedzi, zęby, a nawet całe szczątki olbrzymich przed potopem żyjących stworzeń.

Mocno przetrzebione lasy jodeł, sosen i buków szumią na wierzchołkach i stokach gór ponad doliną — środkiem której „z tysiącem pstrągów dzwoniących u pasa Prądnik, jak rzeźki krakowiaczek — hasa.“

Nietylko hasa, lecz i pracuje. Ludzie zużytkowali siłę wartkiego strumienia i kazali mu poruszać piły tartaków, obracać koła młynów, gęsto po całej rozrzuconych dolinie. Ludzie zrobili więcej jeszcze — przekonawszy się o zdrowotności Ojcowa, otworzyli tam zakład leczniczy, pobudowali domy, postawili odpowiednio urządzone łazienki, by osłabieni i chorzy mogli wzmacniać się zimnemi kąpielami w Prądniku.

Z obu stron strumienia to niżej, to wyżej rozsiadły się piękne wille, dwa hotele i kilkanaście chat wieśniaczych. Od chat ku Prądnikowi biegną wysokie zagony żyta, kartofli, kapusty, a śliczne, wprost kipiące kwieciem ogródki, każdą piędź wolnego miejsca przy chatach zajmują.

Osłoniona skałami od wiatrów, zroszona wodą obficie, dolina ojcowska niby jeden wielki ogród wygląda, bo wszędzie, gdzie niema skały, grunt jest żyzny i urodzajny. Dzięki tym warunkom spotykamy tutaj różne rzadkie okazy roślin, któ-

rych w najbliższem sąsiedztwie. w wioskach położonych wyżej. niema wcale.

Niedaleko początku doliny, na skalistym tarasie wznoszą się ruiny zamku starodawnego.

Jeszcze w r. 1811 był on w dobrym stanie, bo Niemcewicz [1]), zwiedzając w lecie ziemię krakowską, tak o nim pisze: „Na potężnej skale stoi ogromny zamek ojcowski, most śmiało na górę rzucony, prowadzi do niego," ale w niespełna trzynaście lat późniaj, Klementyna Tańska [2]) będąc w Ojcowie, jedynie wieżę zastała w całości. Obecnie wszystko prawie



Zamek w Ojcowie.

poszło w rozsypkę, tylko brama wjazdowa dość wązka w ostrołuk u góry ścięta, krzepko się jeszcze trzyma—a reszta proch i gruzy.

Góra wraz z ruinami panuje nad całą doliną Prądnika; las tarniny, jałowcu, dzikiego bzu i głogu obrasta jej wierzchołek, niżej kołyszą się czuby grabów, klonów i ciemną szatą okrytych, jodeł.

---

[1]) Niemcewicz, poeta, powieściopisarz i historyk, ur. r. 1758 na Litwie zm. 1841 w Paryżu.

[2]) Klementyna Tańska, autorka polska; ur. r. 1798, zm. 1845.

Starożytna legenda opowiada, że zamek ojcowski istniał już i należał do Skarbimira, wojewody krakowskiego, w początkach XII-go wieku, gdy w Polsce panował Bolesław Krzywousty.

Siostra wyjewody umierając, oddała mu w opiekę jedyną swą córkę, młodziuchną Witysławę, zaręczoną z Piotrem Szczebrzycem. Skarbimir przysiągł opiekę nad sierotą, lecz przysięgę złamał, bo zachwycony urodą Witysławy, sam zapragnął jej ręki, a gdy mu odmówiła, porwał dziewczynę,



Brama krakowska w Ojcowie.

i uwiózł do Ojcowa — Szczebrzyca zaś skutego w kajdany wtrącił do lochu.

Ale kara Boża wisiała już nad przestępcą.

Bolesław Krzywousty, gniewny na Skarbimira, za ciągły opór władzy królewskiej, osaczył butnego wojewodę, uwięził i według okrutnego naówczas zwyczaju, kazał mu oczy wyłupić.

Uwolniony Piotr Szczebrzyc poślubił Witysławę, a król zamek po Skarbimirze, jako wiano jej darował. Legenda ta żadnym jednak dowodem nie jest poparta. Najprawdopodob-

niej zamek wystawił Kazimierz Wielki i nazwał całą miejscowość Ociec—co później na Ojców przerobiono.

Idąc z biegiem Prądnika ku Pieskowej Skale, przez gęste jak aksamit łąki i doliny — spotykamy w połowie drogi wieś, leżąca na wyniosłości.

To Grodzisko. Nazwę tę dawano przed laty miejscom,



Kaplica św. Salomei w Grodzisku.

otoczonym wałami, gdzie lud z okolicy chronił się przed napadami nieprzyjaciela. W tym więc grodzie Henryk Brodaty, książę śląski, wzniósł zamek obronny, a Bolesław V Wstydliwy przerobił warownię na klasztor i osadził zakonnice reguły św. Franciszka, zwane Klaryskami, które później przeniosły się do Krakowa. Siostra Bolesława, św. Salomea, była ksienią tego zakonu. Po za skromnym kościołem, podróżny oglądać może szereg ubożuchnych kapliczek, upiększonych stalaktytami, a nieco niżej, na stoku góry niewielką

grotę, w której mieszkała i zmarła św. Salomea. Kamienne łoże, łacińskie napisy na ścianach, ołtarz w głębi, to pamiątki, jakie po niej zostały. Grodzisk jest obecnie letnią rezydencyą biskupa kieleckiego i ulubionem miejscem wycieczek gości, przebywających w Ojcowie.

W pobliżu wznosi się małe miasteczko, zwane „Skała,“ tem szczególne, że żydzi wcale w niem nie mieszkają—ponieważ zakonnice Klaryski, których Skała była własnością, jesz-



Pieskowa Skała (Maczuga Herkulesa, Sokola skała).

cze w dawnych latach uzyskały od królów polskich przywilej, iż tylko chrześcijanie zamieszkiwać tam mogą.

Drogą, idącą równolegle z biegiem Prądnika, dochodzi się do *Pieskowej Skały*. Jest to dość rozległa dolina, ujęta w ramy wzgórz, zarosłych bukowym lasem. Zaraz u wstępu ciska się w oczy przechodnia dziwnych kształtów skała, niby maczuga, cieńszym końcem utkwiona w ziemi. Grubość jej u dołu wynosi zaledwie cztery łokcie, w górze zaś trzydziestu dochodzi.

Stoi skała samotnie, od siostrzyc swoich odcięta, cała biała i naga, wierzchołek jej tylko stroi kształt jałowcu i wieńczą, stada kawek i kruków. Lud mówi, że niegdyś gnieździły się tam sokoły i zowie głaz „Sokolą skałą". Druga nazwa „Pałka Herkulesa," jest nieodpowiednią i zapewne przez podróżnych nadaną.

Z Pieskową Skałą związane jest podanie o znanym czarnoksiężniku, Twardowskim, który żył przy końcu XVI-go wieku, za panowania Zygmunta Augusta i był po prostu sprytnym i dość uczonym kuglarzem.

Oto jest owe podanie:

Twardowski chciał przewyższyć rozumem innych ludzi i znaleźć na śmierć lekarstwo, skoro więc wyczytał w starej księdze, jak dyabła przywołać można, udał się na Podgórze o północy i wymówił tajemnicze zaklęcie. Bies stanął na wezwanie i wnet umowę zawarto, a Twardowski własną krwią podpisał cyrograf i duszę swą dyabłu zaprzedał. Między wielu warunkami był jednakże i ten, że dyabeł dopóty do Twardowskiego nie będzie miał żadnego prawa, dopóki czarnoksiężnika w Rzymie nie uchwyci. Korzystając z drogo nabytej władzy, Twardowski rozkazał dyabłu, by srebro z całej Polski zniósł w jedno miejsce i piaskiem dobrze przysypał. Tem miejscem był Olkusz. Posłuszny sługa spełnił rozkaz otrzymany i z tego początek wzięły sławne kopalnie srebra w Olkuszu.

Innym razem żądał Twardowski, by dyabeł przyniósł do Pieskowej Skały głaz wysoki, przewrócił na dół cieńszym końcem i tak ustawił, by mocno trwał na wieki. I to żądanie spełnionem zostało. Skała Sokola po dziś dzień stoi. Wszystko, czego zapragnął Twardowski, miał na zawołanie, jeździł na malowanym koniu, latał w powietrzu bez skrzydeł, a złota miał zawsze, by piasku.

Sprzykrzyła się wreszcie złemu duchowi uciążliwa służba, umyślił więc zażyć fortelu i przybrawszy postać dworzanina, prosił Twardowskiego, jako biegłego lekarza, do swojego chorego pana.



Twardowski.

Uwierzył Twardowski posłańcowi, udał się wraz z nim do poblizkiej wioski, nie wiedząc, że gospoda w niej, Rzym się nazywa. Ale zaledwie próg przestąpił, mnóstwo kruków, sów, puszczyków obsiadło dach gospody, kracząc i hukając przeraźliwie. Twardowski odrazu poznał, co się święci, a że ucieczka była niemożliwą, obejrzał się, czy niema gdzie środka ratunku.

W tem dojrzał w kołysce śpiące dziecię, przed godziną zaledwie ochrzczone — schwycił je więc na ręce i do piersi przytulił. Aż tu dyabeł wpadł do izby:

A Twardowski, witam bracie!
To mówiąc bieży obcasem,
Cóż to, czyliż mnie nie znacie?
Jestem Mefistofelesem!

Wszak ze mnąś na Łysej górze
Robił o duszę zapisy,
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty, i biesy.
Miały słuchać twego rymu:
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.
Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy,
Ty czarami dręczysz piekło,
Ani myślisz o podróży.
Ale zemsta choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci,
Ta karczma, Rzym się nazywa;
Kładę areszt na waszeci.

I już miał porwać Twardowskiego, gdy spostrzegł dziecię na ręku, do którego nie miał prawa. Stropił się dyabeł ogromnie, i gdy

Twardowski ku drzwiom się kwapił,
Na takie *dictum acerbum*:
Dyabeł za kołnierz ułapił,
A gdzież jest *nobile verbum?* [1])

Ha, trudna rada, Twardowski nie mógł złamać szlacheckiego słowa, złożył więc w kołyskę dziecię i wraz z dyabłem wyleciał kominem. Lecą wyżej, coraz wyżej; wtem Twardowski przypomniał sobie kantyczki, w młodości śpiewane na cześć Maryi Panny. Żal ścisnął mu serce i zanucił pieśń pobożną— aliści, gdy ją skończył, czuje, że zawisł w miejscu, że

[1]) Ustępy z Ballady Mickiewicza «Pani Twardowska.» Adam Mickiewicz ur. r. 1798, zm. r. 1855.

nie leci w górę—patrzy—czarny towarzysz zniknął bez śladu, głos jeno mocny nad sobą słyszy:

„Zostaniesz tak do dnia sądnego zawieszony.“

Stąd powstało u ludu przysłowie: „Ratuj się, jak Twardowski kantyczką.“

Zamek w Pieskowej Skale położony jest na wysokiem bardzo, zadrzewionem i tylko z jednej strony dostępnem wzgórzu, okala go Prądnik i dwa przecięte groblą stawy, tworzące obraz pełen poezyi.

Pierwotnie zamek w Pieskowej Skale był własnością niemiecką i nosił nazwę Plekenstein, spolszczoną następnie.Dopiero za Ludwika, króla węgierskiego i polskiego, został własnością prywatną rodziny Szafrańców. Zamek jest budowlą śmiałą i bardzo obszerną, która niegdyś dzieliła się na dwie części. W pierwszej było podobno sto pokojów i krużganków, na wzór istniejących w zamku Wawelskim. Podziemia, w skale wykute, mieściły skarbce, stajnie i wozownie.

Sześć wieków opierał się gmach czasowi, troskliwie utrzymywany przez wszystkich posiadaczy, umiejących cenić pamiątki ojczyste i jest nadzieja, że jeszcze długie wieki trwać będzie.

Pieskowa Skała, ze względu na śliczne położenie i zdrowe powietrze, jest od lat paru miejscem, do którego goście nawet ze stron odległych na letni pobyt chętnie zjeżdżają.

Opuszczamy teraz wesoły Prądnik. Niestrudzone jego wody biegną dalej i zwalczają wszelkie przeszkody, chociaż:

Z obu stron nagie skały cisną jego łoże,
Lecz pędu zuchwałego nic wstrzymać nie może.
Ni go wdziękiem swym łączka zabawi wesoła,
Ani młynów bezlicznych kręcące się koła;
Leci oślep na prądy, po głazach się wspina
I w nurtach pysznej Wisły bytu zapomina.

Piaski olkuskie.

Powiat olkuski zajmuje najwynioślejszą część wyżyny, na lewym brzegu Wisły leżącej i zwanej olkusko-krakowską.

Wyżyna ma dwa skłony: południowy, po którym spływają ku Wiśle górskie strumienie, żłobiąc głębokie jary i cudnie piękne doliny, jak Ojców, Pieskowa Skała i t. d., oraz północny, gdzie niby w węzeł schodzą się prawie źródła trzech rzek: Pilicy, Warty [1]) i Czarnej Przemszy, biegnących później każda w odmiennym kierunku. Wyżyna nie jest równą wszędzie, tu strzelają w górę pojedyncze wyniosłości, tam niby schody, olbrzymie piętrzą się tarasy.

Na takim bezleśnym, bezwodnym i okolonym lotnymi piaskami tarasie, rozłożył się Olkusz.

Srebrodajny ten niegdyś i liczący kilkanaście tysięcy mieszkańców gród, dziś jest ubogą, jak gdyby uśpioną mieściną.

„Ach! nic tak nie boli,
Jak chwile szczęścia —
Wspomniane w niedoli“

mówi poeta, to samo pewnie powiedzieliby mieszkańcy Olkusza, gdyby chwile dawnej świetności pamiętać mogli.

Całe szczęście, że nie pamiętają, że ze swoją biedą już się zżyli.

A ta bieda niemała. Miastu brak wody, którą dopiero rurami trzeba z poblizkich źródeł sprowadzać, a nieurodzajne grunta leżą wokoło. Gdzie niema skały, tam szary piasek tylko się świeci i pył z łomów wapiennych, białą warstwą na wszystkiem leży.

Sieje wprawdzie Olkuszanin różne zboża, sadzi jarzyny, zakłada ogrody i sady, ale żal się Boże, jakie to liche i nędzne.

---

[1]) Warta — już w gubernii kaliskiej.

Od czegóż jednakże rozum ludzki—umiał on i z lotnych piasków skorzystać. W okolicy zbudowano kilka hut szklanych, a kto nie lęka się pracy, tam po zarobek śpieszy.

Chociaż ta część naszego kraju z pozoru wygląda, jak pustynia, w rzeczywistości jest inaczej.

Ogromne bogactwa w głębi ziemi leżą tam ukryte, bo tam właśnie początek wyżyny śląskiej — tego prawdziwego skarbca.

Niedaleko Olkusza znajdują się łomy czarnego marmuru, niegdyś wywożonego za granicę.

Trochę na północ, we wsi Klucze, wydobywają rudę żelazną, a pod Sławkowem, na granicy gubernii piotrkowskiej, są bogate pokłady galmanu, to jest rudy cynkowej, z której walcownia w Sławkowie wyrabia blachy.

Nie upadł więc przemysł górniczy w olkuskiem, ale porównać go nie można z temi czasy, kiedy do Wiednia, bryłami zwożono polskie srebro, jak świadczy historyk Kromer [1]), a kopalnie olkuskie dostarczały rocznie za 6,000 grzywien [2]) srebra, co obecnie wynosi 5,760,000 rubli.

Początki górnictwa w Polsce sięgają bardzo odległych czasów, podobno na dwieście lat przed przybyciem św. Kunegundy do Polski, istniały już kopalnie w Wieliczce, ale przemysł górniczy rozwinął się dopiero od czasów Kazimierza Wielkiego. Historyk Długosz pisze, iż król widząc zmniejszającą się produkcyę rudy ołowianej w Sławkowie i Bytomiu, kazał szukać kruszcu w pobliżu Olkusza i tym sposobem dał początek miastu. Wzrastało ono szybko, zwłaszcza od chwili, kiedy odkryto, że w ołowiu olkuskim znajduje się znaczny procent srebra.

Obecnie grono zamożnych ludzi, uzyskawszy pozwolenie od rządu, czyli tak zwaną koncesyę, łączy swe kapitały razem

---

[1]) Kromer, historyk polski z XVI-go wieku.
[2]) Grzywna wynosiła 64 dawne złote polskie, czyli 9 rb. 60 kop.

i zakłada towarzystwo, które sprowadza górników, kupuje maszyny, wierci skały, czyli otwiera kopalnie.

Urządzenia górnicze dawniej były zupełnie odmienne niż teraz.

Przed laty zaś, każdy na swoją rękę prowadził roboty, tylko przedtem musiał nabyć od króla, za niewielką opłatą prawo kopania góry, czyli szukania minerałów.

Wnoszona królowi opłata nazywała się „olbova,“ a składano ją na ręce osobnego urzędnika, zwanego „żupnikiem.“ Poczem ławnicy odmierzali nowonabywcy kawał gruntu i zaczynało się poszukiwanie.

Takich posiadaczy maleńkich kopalni nazywano gwarkami, a najwięksi panowie, król sam nawet, zapisywali się na gwarków, by ludność zachęcić do górnictwa. Prócz tego, górnicy byli wolni od służby wojskowej i korzystali z wielu przywilejów.

A każdy, kto tylko zechciał, mógł się na gwarka zapisać: kobieta, szlachcic, chłop, żyd, rzemieślnik, wszyscy równe mieli prawo. Z czasem nawet, by ograniczyć bogatych panów w zakładaniu kopalni, i wyciąganiu zysków, wydano rozporządzenie, że nikt nie może posiadać więcej nad 24 łatrów ziemi, co na naszą miarę wynosi 96 łokci.

Niedługo gwarkowie, poznawszy wszystkie korzysci wspólnej, według rozumnego planu wykonywanej pracy, poczęli zbierać się na narady i trudniejsze roboty przeprowadzać razem. Uchwały zapadłe na tych zebraniach zwano „wilkierzami.“

Główną przyczyną upadku kopalni olkuskich, był wylew rzeczki Baby. Zwykle jest to niepozorny strumień, który o ćwierć mili od miasta ginie w piaskach, pod ziemią dalszą odbywając drogę i tylko raz na rok, podczas roztopów wiosennych wzbiera i na szerzącą zniszczenie, zamienia się rzekę.

Wojny szwedzkie w XVII-ym wieku, za Jana Kazimierza, przyczyniły się także do upadku kopalni olkuskich. Probowano je wprawdzie osuszyć, ale roboty prowadzone były

nieudolnie, mało nakładów, dlatego też rezultat wypadł niepomyślny.

Przy końcu zeszłego stulecia, Stanisław Staszyc wlał nieco życia w opuszczone szyby, odkrywszy, że ongi gwarkowie przy wybieraniu rudy, ołowiu odrzucali rudę cynkową i zapychali nią próżne komory.

Zaczęto więc szukać pogrzebanej rudy — zaczęto osuszać kopalnie — ale mimo wszelkich usiłowań szlachetnego człowieka, mimo, że pracę jego inni zacni ludzie w dalszym ciągu prowadzili — kopalnie olkuskie minionej świetności nie odzyskały.

W ostatnich czasach w r. 1881, z rozporządzenia władzy, podjęto na nowo przerwane nad osuszeniem kopalni roboty.



Św. Jan Kanty.

Jaką będzie przyszłość Olkusza — czy dawne dobre czasy wrócą—niewiadomo— zależy to od rezultatu robót górniczych.

Obecnie, prócz kilku starych domów, jedyną pamiątką przeszłości w Olkuszu, jest kościół Farny, podobno Łokietkowych sięgający czasów.

Świątynia, wystawiona z różnobarwnego ciosu, odznacza się śmiałą i dokładnie wykończoną budową i według opowiadań tamtejszego ludu wspiera się na srebrnym słupie — gdyż królowie surowo wzbraniali dobywać rudę ołowianą, zmieszaną ze srebrem, na całej przestrzeni przez kościół zajętej.

W skarbcu pokazują krzyż z miejscowego srebra, wagi 40 funtów i siedem kielichów srebrnych, jako dary bogatych gwarków olkuskich.

Cenną pamiątką, jest także mała kapliczka za kościołem, wraz z domkiem św. Jana Kantego, który był proboszczem w Olkuszu na początku XV-go wieku.

Legenda miejscowa utrzymuje, że święty kapłan w czasie zarządu parafią, nieraz surowo gromił mieszczan i górników olkuskich, za zbytki i złe obyczaje. Napomnienia jednak-



Rabsztyn [1].

że były bezskuteczne, wówczas św. Jan Kanty, oburzony, rzucił klątwę na grzeszników.

Za klątwą poszło niebłogosławieństwo Boże. Uciekły kruszce w głąb ziemi, a srebrnodajne góry zalała woda i nie ustąpi z nich, dopóki potomkowie grzeszników nie przebłagają gniewu Bożego.

Opuśćmy teraz te wydmy piaszczyste i bezleśne i zwróćmy się na wschód doliny ojcowskiej, w stronę, gdzie żyzne grunta zaczynając się w powiecie miechowskim, wzdłuż brzegów Wisły, het, daleko, aż za Sandomierz sięgają.

[1] Wieś w powiecie olkuskim, ze zwaliskami starożytnego zamku.

Mnóstwo rzek i rzeczek skrapia tę krainę. „Nidzica dolna Nida,“ zakuta w więzy i kamienie „Kamienna“ i wiele innych jeszcze potoków i strumieni.

Wśród łanów pszenicznych.

Na północ puszczy Niepołomickiej, po drugiej stronie Wisły, po obu brzegach rzeczki Szreniawy, leży ziemia proszowska.



Smoleń—ruiny zamku [1]).

Okolica ta oddawna była znana z urodzajnej gleby. Proszowskie — to jeden ze śpichlerzy dawnej Polski; proszowskiem zbożem ładowane galary i dubasy płynęły Wisłą do Gdańska. I po dziś dzień:

„Głośno słyną te pszenice
I za morzem ziemie morskie,
Sandomierskie i kujawskie
I proszowskie okolice.“

---

[1]) Wieś w powiecie olkuskim, z bardzo malowniczemi ruinami zamku.

Mieszkańcy tej żyznej ziemi nie znają biedy, ubierają się dostatnio, a ładny ich strój, podobny jest do krakowskiego. Mężczyźni noszą białe sukmany, które także nazywają kierezyami, a na kamizelkach szerokie pasy z mosiężnemi kółkami i u butów podkówki, któremi krzeszą w podłogę, gdy tańczą dziarskiego proszowiaka, skalmierzaka lub wiśliczaka. Tańce te, żywością ruchów także krakowiaka przypominają, a i piosenki nuci młodzież przy nich podobne, bo lud proszowski, dorodny i wesoły, zawsze ma prawie śpiewkę na ustach.

A ta proszowska śpiewka, jak sam mówi, przypływa z wodą i wiatry ją od Krakowa przynoszą. Niektóre piosenki tchną szczerą wesołością i dowcipem.

Leniwą dziewczynę tak śpiewka ludowa maluje:

Wyleciał gołąbek,
Na wysoki dąbek,
Da przypatrz się, panienko,
Jaki masz porządek.

Łyżeczki pod ławą,
Zarosły murawą,
Talerze pod progiem
Zarosły barłogiem.

Baśnie, powiastki, klechdy, gadki ludu proszowskiego, są obrazem jego wesołego usposobienia i żywej wyobraźni. Posłuchajmy ładnej powiastki o miesiącach:

„Na ziemi od początku nie było zgody; nietylko ludzie wojny prowadzili, ale i miesiące prawowały się z sobą o to, że jeden ma więcej dni, a drugi mniej. Marzec, który jest strasznie chciwy i do którego Luty, największy w świecie hulaka, już i tak przepił dwa dni, chciał tego ostatniego oskubać jeszcze lepiej. Zaprosił go więc na bal do siebie, licząc na to, że jak go spoi, a popsuje drogi, żeby mu nie mógł umknąć, — to zrobi z nim, co tylko sam będzie chciał. Ale Maiczek, który jest najmędrszy ze wszystkich miesięcy, taką dał Lutemu radę: „Kup *se*, powiada mu, sanie, łódź i wóz; będzie woda, to pojedziesz łodzią; będzie śnieg — to pojedziesz saniami; a będzie gruda, to łódź i sanie złożysz na wóz i pojedziesz wozem.“ Luty usłuchał i nie dał się złapać Marcowi, a ten domy-

śliwszy się, że to Maiczek, Lutego rozumu nauczył, ze złości pogroził mu tak:

Poczekaj, Maiczku,
Ja ci zamrożę ziemniaczki w gaiczku.“

I skoro Maj zazielenił świat, Marzec dmuchnął jeszcze z daleka mroźnym wiatrem i śniegiem i zwarzył całą zieloność, a wskutek starego zatargu nieraz i dotąd tak czyni.

. . . .

Ptaki — to najwierniejsi towarzysze rolnika! one jego cieżką pracę rozweselają i same z tej pracy żyją.

To też i o ptakach istnieje wśród Proszowiaków wiele ciekawych i poetycznych gadek:

Oto chłop sieje w polu i pilno mu skończyć siejbę w maju, bo przysłowie wiejskie mówi, że „kto sieje w *cyrwcu*, to zbiera w kierpcu.“ Więc odziawszy się białą płachtą przez plecy, co chwila czerpie z niej ręką i jakby w takt, rozrzuca ziarno po zagonach, a wróbel siedzi na wierzbie i uważnie mu się przygląda. „Filip, Filip! Dziadzia, Dziadzia! tobie ćwierć i mnie ćwierć!“ świerka mu nad uchem, przypominając o swojej odwiecznej z nim spółce.

Jaskółki—wedle ogólnego wierzenia ludu, na zimę chowają się do wody, na wiosnę zaś, jak mniemają Proszowiacy, wychodzą stamtąd młode, a przeszłoroczne matki zamieniają się w żaby.

Niema bogobojniejszego i poczciwszego ptaka, jak skowronek; on wyjął cierń Panu Jezusowi z czoła i dlatego nie wolno go zabijać. Na wiosnę, gdy „św. *Jagnieszka*, wypuści skowronka z mieszka,“ zaledwie świt na niebie, już on gospodarza nawołuje do roboty i lecąc w górę, dzwoni: „Wyjeżdżaj, wyjeżdżaj,“ potem—wzniósłszy się jeszcze wyżej, śpiewa godzinki i modli się za grzechy, a potem nagle przycichnie, bez śpiewu w górę wzlatuje, bo idzie spowiadać się Panu Bogu.

W maju — to już ciągłe śpiewy na świecie: we dnie gra jedna muzyka, a w nocy druga, na odmianę: to słowik zawo-

[illegible]

Człowiek zaś nacieszywszy się piękną przyrodą majową z nową siłą i nowym zapałem zabiera się do twardej letniej pracy i w pocie czoła stara się sobie i innym zdobyć i zapewnić na zimę [illegible] powszedni a wyborny chleb.”

Mówiąc o ludzie proszowskim, dodać jeszcze należy, że Proszowianki słyną z pięknych wyrobów koszykarskich.

Pośrodku ziemi proszowskiej leżą *Prószowice*, pamiętne niegdyś szlacheckimi zjazdami. Dzisiaj jest to dość licha osada.

W blizkich a starożytnych *Koszycach*, dzisiaj nieludno, niegwarno i niebogato! Mieszkańcy, niezamożni mieszczanie trudnią się wyrobem sukna, które tkają na ręcznych warsztatach. Ale dawniej inaczej tu bywało. Miasteczko roiło się często od panów, rycerzy i służby wszelakiej, bo w Koszycach była stacya królów polskich, udających się na łowy za Wisłę, do puszczy Niepołomickiej.

Koszyce były niegdyś miastem znacznem, otoczonem murami. Wiemy, że król Ludwik kazał zamknąć bramy miasta, aby nie wypuścić szlachty, zebranej tu na naradę i dopieo otworzono bramy, gdy królowi ponownie przyrzekli, że po jego śmierci, jedną z córek na tronie polskim posadzą. Zjazd ten pamiętny odbył się r. 1374; na nim nadano też szlachcie rozmaite prawa, które się później przyczyniły do upadku Polski.

Koszyce leżą nad Szreniawą, blizko jej ujścia do Wisły.

Wśród pięknej okolicy, nad rzeką Nidą leży starożytny gród, *Wiślica.*

Dolina Nidy od bardzo dawna była zaludnioną. Kiedy w innych okolicach ziemi polskiej szumiały nieprzebyte puszcze, nad kwiecistymi brzegami Nidy, rozwijało się pasterstwo, czego dowodem są takie nazwy miejscowości, jak Skotniki, Kobylniki, Owczary, Świniary, Koniary, i t. d.

Gród Wiślicki był środowiskiem tego obszaru.

W historyi naszej kilkakrotnie wspomniana jest Wiślica.



Kościół w Wiślicy.

Gdy Władysław Łokietek, po wielu latach tułactwa — powrócił do kraju, pierwsza Wiślica otworzyła mu bramy i przyjęła króla-wygnańca. Podanie miejscowe głosi, że gdy strudzony monarcha zasnął, ukazała mu się Panna Najświętsza, zwiastując koniec cierpień. Łokietek, pełen wdzięczności za tę pociechę, choć we śnie zesłaną, wystawił na tem miejscu kościół. Dokończył tej budowy Kazimierz Wielki; on też umocnił zamek wiślicki, opasał miasto murem, a później w grodzie tym ogłosił zbiór praw, który Statutem Wiślickim nazwany został.

Na frontowej ścianie kościoła wyrzeźbiona jest figurka, przedstawiająca wiszącego człowieka, przepasanego fartuchem. Podanie mówi, że król Kazimierz, rozgniewawszy się na budowniczego kościoła, za niezręczne powiązanie sklepienia, kazał go powiesić. Przyjaciele doradzili skazańcowi, aby na kościele umieścił wyżej opisaną rzeźbę.

W przeddzień egzekucyi doniesiono królowi, że się budowniczy na kościele powiesił. Król oświadczył, że żałuje biedaka, bo chciał mu darować życie; wtenczas wyjawiono monarsze prawdę, a winowajca, za wstawieniem się królowej, uzyskał przebaczenie.

W późniejszych czasach, nad bocznemi drzwiami kościoła umieszczono tablicę kamienną z rzeźbą, wyobrażającą Kazimierza Wielkiego. Król w klęczącej postawie — ofiaruje kościół N. M. Pannie, siedzącej na tronie z Dzieciątkiem.

Kościół cały wystawiony jest z kamienia ciosowego i odznacza sie wysmukłością budowy. Wewnątrz znajduje się na łokieć wysoki podobno z XV-go wieku, posąg Władysława Łokietka, wyrzeźbiony z drzewa, a drugi z kamienia. Pokazują też tam drzwi, na których czarnoksiężnik Twardowski miał odbywać podróż do Rzymu.

Obok kościoła znajduje się starożytna dzwonnica, wystawiona przez historyka, Jana Długosza, który był prałatem w Wiślicy. Zachował się też jeszcze dom Długosza, który dotąd w dobrym stanie, zamieszkiwany jest przez księży.

Z dawnych murów obronnych i zamku niema już obecnie śladu i Wiślica przedstawia dzisiaj obraz nędznego żydowskiego miasteczka. W okolicy są kopalnie siarki i gipsu.

Gubernia kielecka, tak piękna malowniczością swych krajobrazów, owiana świeżem, na pół górskiem powietrzem, posiada i źródła lecznicze, które przynoszą ulgę w rozlicznych cierpieniach. Wspomnieć tu trzeba jedyne w kraju źródło nafty w *Wojczy*, niedaleko Stopnicy, oraz *Busk* i *Solec* ze źródłami siarczano-słonemi.

Busk z każdym rokiem się rozwija, i zakład kąpielowy dobrze jest urządzony, w ładnym parku przygrywa muzyka, a w okolicy można robić przyjemne wycieczki do blizkich



Zakład kąpielowy w Busku.



Sala balowa.

Skorocic, gdzie się znajdują ciekawe groty, do Wiślicy i pięknie położonych Wieniar.

Solec, o dziesięć mil położony od Kielc, jest pomimo swych bardzo skutecznych źródeł, dotąd wioską tylko, nie mogącą się bardzo rozwijać z powodu złej komunikacyi.

Kielce.

O dwadzieścia przeszło mil od Warszawy, na szczycie i stokach wzgórza, wzniesionego na 850 stóp nad poziom morza, leżą Kielce, odwieczna, bo sięgająca XII-go wieku, siedziba i własność biskupów krakowskich. Ciągłe wojny wstrzymywały rozwój miasta, które jeszcze na początku bieżącego stulecia, było cichą mieściną, a wzrost swój datuje dopiero od połączenia gubernii kieleckiej z sandomierską. Podniosły się wtedy Kielce w godności, i z powiatowego—stały się miastem gubernialnem.



Kielce.

Zaraz też zabrano się do zmian i porządkowania: pozasypywano przerzynające miasto wąwozy, wzniesiono wzgórki, sprostowano i wybrukowano ulice. Stare domki drewniane ustąpiły miejsca murowanym kamienicom. Ruch i handel ożywił się, przysłowiowa bieda, o której po dziś dzień śpiewają piosenkę, zaczęła się zmniejszać.

Śpi bieda, śpi bieda,
Niedola ją budzi:
„Wstawajże, biedusiu,
Pójdziewa do ludzi.

Pójdziewa do ludzi
Ucyć ich rozumu
Jak ich *naucywa*,
Wróciwa do domu."

Gubernia kielecka jest bardzo nieurodzajna, lud więc boryka się wciąż z biedą i szuka rozmaitego zarobku. Jedni pracują w fabrykach, drudzy zajmują się drobnym przemysłem drzewnym, to jest wyrobem gontów, kobiałek, lasek, trepów z drewnianemi podeszwami, ogólnie używanych z powodu kamienistości gruntu, a inni jeszcze wydobywają i obrabiają łomy marmurowe.

Pamiątek przeszłości niewiele jest w Kielcach, ale za to doskonale zachowane. Do najpiękniejszych należy dotąd za-



Klasztor w Karczówce.

mek biskupi, początkowo drewniany, który kolejno przerabiano i upiększano, drzewo zastępując cegłą. Oryginalny to gmach, prawie tak szeroki, jak długi, z czterema basztami, podobnemi do wieżyc kościelnych. Do niedawna stały na murach dobrze zachowane posągi, dziś niema z nich śladu, tylko nad drzwiami widnieją jeszcze herby kapituły [1] krakowskiej. Wewnątrz zamku mieszczą się ogromne sale, ozdobione malowanymi na murze portretami biskupów krakowskich i wiele ciekawych obrazów, przedstawiających różne zdarzenia wojenne. Kryte ganki

[1]) Kapituła—zgromadzenie Kanoników, zobowiązanych bronić owych praw, przywilejów i czuwać nad spełnianiem obowiązków wszystkich duchownych, należących do tej kapituły.

łączyły dawniej zamek z katedrą. Obecnie w gmachu znajduje się biuro rządu gubernialnego.

Drugim starożytnym zabytkiem w Kielcach, jest kościół kolegiacki, na najwyższym punkcie miasta, podobno jeszcze w XII-ym wieku wzniesiony. Szkoda jednak, że ciągłe przeróbki i upiększenia zmieniły pierwotny charakter budowli.

O ćwierć mili od Kielc wznosi się wysoka, zadrzewiona góra zwana Karczówką, z kościołem i klasztorem pobernadyńskim. Szeroka aleja, topolami włoskiemi wysadzona, łączy górę z miastem, służąc za ulubione miejsce przechadzek.

Już to na brak świeżego powietrza nie mogą się Kielczanie uskarżać, dostarcza go obszerny park miejski, pełen olbrzymich lipi kasztanów; dostarczają prywatne sady i ogrody, ale najobficiej dostarcza wieniec lasów, otaczających Kielce.

Koło Kielc i blizkich Chęcin, o których poniżej będzie mowa, istniały kopalnie rud miedzi i ołowiu. Nadały one nazwę niektórym miejscowościom np. Miedziana góra. Kopalnie te obecnie w zaniedbaniu, odkryte zostały dopiero w XVI wieku, w XVII-ym zaś już roboty zawieszono; podjęto je wprawdzie na nowo w pierwszej połowie bieżącego stulecia, lecz woda przeszkodziła pracy.

Miedź dobywana pod Kielcami, służyła do bicia monety, a za Zygmunta I-go, ładowne polską miedzią okręty, płynęły z Gdańska do Anglii.

Chęciny.

W malowniczem położeniu, otoczone zielenią dziewięciu wzgórz, leży miasteczko Chęciny. Choć dzisiaj podupadłe, przypomina jednak starożytne swe pochodzenie. Na górze zwanej marmurową, wznoszą się ruiny dawnego zamku, dotychczas największa Chęcin ozdoba. Zamek ten był tak warowny, bezpieczny i uważany prawie za niezdobyty, że w nim chowano skarby królewskie. Służył on także za czasowe mieszkanie królom.

Najdłużej gościła w zamku chęcińskim, Elżbieta, matka Ludwika, gdy w jego imieniu sprawowała rządy w Polsce. Za czasów wojny szwedzkiej r. 1707, zamek został zniszczony i odtąd popadał w coraz większą ruinę.

Rynek miasteczka otaczają murowane kamienice; w niektórych ścianach frontowych znajdują się płyty marmurowe, wskazujące mieszkania rzeźbiarzy i handlarzy marmuru.



Chęciny.

W chęcińskich górach istnieją bowiem bogate kopalnie marmuru, oddawna znane. Miały one czasy swej świetności, gdy z nich oprócz marmuru, wydobywano malachit, lazur, srebro, miedź, ołów. Marmur chęciński jest barwy popielatej, brunatnej, kawowej, różowo-popielatej z różnokolorowanemi żyłkami i cętkami. Jedynie w Miedzianie, w pobliżu Chęcin znajduje się marmur jasny, białawy, jest on prześliczny, ale wydobywają go tylko w małych kawałkach.

Przy dawnym trakcie z Kielc do Krakowa, leży starożytne miasto *Miechów*, niegdyś należące do rodziny Gryfów. Jeden z członków tego rodu sprowadził w XII-ym wieku zakonników reguły św. Augustyna, wystawił im klasztor i kościół, a oni od miana osady, zaczęli się zwać „Miechowitami.“ Istniejący dotąd ów kościół poklasztorny, jest największą ozdobą miasta i zabytkiem przeszłości.

Pod Miechowem na drodze Iwangrodzko-Dąbrowskiej,



Klasztor Cysternów w Jędrzejowie [1]).

znajduje się jedyny w naszym kraju tunel na 381 sążni długi po za nim rozpoczynają się malownicze strony, o których tak mówi wspomniany już poeta, Franciszek Wężyk.

Wszak i dla nas natura nie była macochą;
A jeśli w obcej ziemi piękna okolica
Czaruje wdziękiem oczy i umysł zachwyca;

---

[1]) Osada w kieleckiem. W klasztorze Cystersów umarł kronikarz polski z XII-go wieku bł. Wincenty Kadłubek.

Jeśli skał lodowatych nęci obraz dziki,
Jeśli bory posępne, wesołe gaiki,
Jeśli mają zaletę zdroje przezroczyste;
Dla mnie te najpiekniejsze, które są ojczyste.

Łysogóry.

«W góry, w góry miły bracie,
Tam swoboda czeka na cię.»

Wyżyna sandomierska, o której już wspominaliśmy, wznosi się pomiędzy Pilicą, Wisłą i Nidą. Grzbiet tej wyżyny ciągnie się półkolem, z głównem pasmem wzgórz, zowiących się górami Świętokrzyskiemi lub Łysogórami.



Od Skalbmierza i Działoszyc.

Góry to nie wysokie! Najwyższe ich wierzchołki wznoszą się zaledwie na 1000 stóp po nad poziom morza, a jednak jakże odmienną jest okolica w porównaniu z innemi stronami naszego kraju. Tutaj dziwny urok otacza każde miasteczko, każdą prawie wioskę! Najuboższe chaty, tulące się do stóp jakiegoś wzgórza, otoczone bujną zielenią, nęcą swem malowniczem położeniem oko podróżnego. Po niższych stokach ciągną się pola i łąki, a wyżej gęste lasy szumią i gwarzą wesoło; strumyki szemrzą, płyną po kamieniach, a z pośród zieleni wyłaniają się skalne głazy, nagie, łyse, tak gęsto rozrzucone, że aż te łysiny posłużyły do nadania nazwy całym górom. Powietrze — choć dosyć ostre, ale czyste,

orzeźwiające, wonne od kwiecia w dolinach i żywicznych drzew iglastych.

Pasmo Łysogór ciągnie się od Kielc ku Opatowu. Najwyższe w nich wierzchołki, to Łysica, albo góra św. Katarzyny, wznosząca się pod Bodzentynem i Święty Krzyż, czyli góra Łysa, niedaleko Słupi Nowej.

Od tego głównego pasma rozchodzi się kilka ramion bocznych: góry Kraińskie, Bodzentyńskie, Kieleckie i Chęcińskie z górą Zamkową. Ciąg dalszy pasm tych, doszedłszy do Wisły, ciągnie się wzdłuż jej lewego brzegu i między Sandomierzem i Zawichostem zowią się górami Pieprzowemi, o których już wspominaliśmy, mówiąc o Wiśle.

Łysogóry pokryte bujnymi lasami, o bogatem pysznem podszyciu, złożonem z paproci, traw i ziół rozlicznych, są także bardzo cenne dla górnictwa krajowego, gdyż różne minerały mieszczą w swem łonie. Wykopują w nich głównie: marmur, wapień, piaskowiec, glinę ogniotrwałą, rudę miedzianą, ołowianą i żelazną.

Bogactwa w ziemi naszej są wielkie, ale niestety górnictwo w Łysogórach nie jest dostatecznie rozwinięte i zbyt mało korzystamy z tych skarbów nagromadzonych, a ukrytych przed naszemi oczami.

Na początku tego stulecia górnictwo u nas zaczęło wchodzić na lepszą drogę, dzięki usiłowaniom wielkiej pracowitości i nauki męża, Stanisława Staszyca, o którego zasługach już wspominaliśmy i jeszcze niejednokrotnie zdarzy nam się sposobność pomówić. Staszyc postarał się o to u najwyższej władzy, że w r. 1816, zaprowadzoną została dyrekcya górnicza, a w Kielcach otworzono szkołę górniczą, mającą na celu przysposobienie krajowi zdolnyóh górników, znających doskonale swój zawód.

W późniejszych czasach zaczęło znowu górnictwo w tamtych stronach upadać, a i dziś nie odpowiada ani potrzebom kraju, ani bogactwu ziemi.

. . . .

A teraz wejdźmy na najwyższy szczyt Łysogór, na górę Łysą, czyli Świętokrzyską!

Wychodzimy z *Nowej Słupi* i idziemy drogą tak zwaną królewską. Pogoda sprzyja naszej wycieczce. Nad głowami najczystszy mamy błękit, a po bokach ściany z ciemnych jodeł, wśród których sterczą nizkie głazy, niby kamienny wał. Słońce — dajmy na to czerwcowe lub lipcowe — sieje rzęsiście swe złote promienie, które drgają wśród gałęzi drzew i przesuwają się po kamiennych, najdziwaczniejszych nieraz kształtów rumowiskach. Powietrze czyste, wonne, przesycone zapachem sączącej się z drzew smółki, wpływa szeroką falą do piersi. Cisza taka głęboka, taka wielka i uroczysta dokoła, że cię ogarnia całego swym majestatem. Pniesz się w górę, stąpasz po ostrych kamieniach, lecz nie czujesz zbyt wielkiego znużenia. W piersiach ci błogo, w duszy wesoło, a w sercu szczęsno, słodko. Otaczająca cię piękna natura dziwnie cię jakoś ożywia! Jesteś zadowolony, że żyjesz, i uczuwasz wielką wdzięczność dla Boga, że stworzył i ciebie i ten świat piękny.

Przejęty takiemi uczuciami, stajesz nareszcie u szczytu. Dokoła rozciąga się piękny i rozległy widok. Można rozróżnić w dali Kielce, Chęciny, Busk, a nawet dalej w błękitnawej mgle Kazimierz nad Wisłą. Od południa sinieje ciemny pas karpackiego Podgórza. U stóp lasy prześliczne, a w nizinach — umalowane pola różnobarwnem zbożem, łąki puszyste traw zielenią i wioski porozrzucane a świecące białemi chat ścianami.

Potem — napatrzywszy się już do syta — spuszczasz się z głównego szczytu i idziesz zwiedzić klasztor Świętokrzyski.

Dawne, dawne jego dzieje. Za czasów pogańskich na górze Łysej była świątynia bóstw: Łady, Boda i Leli, którym ludzie pierwszego maja przychodzili składać ofiary. Dąbrówka, żona Mieczysława I, kazała świątynię zburzyć, a na jej miejsce wystawiła kościół pod wezwaniem św. Trójcy. Kościół ten zasłynął później relikwią świętego Krzyża, darowaną Bo-

lesławowi Chrobremu przez króla Węgier, św. Stefana. Pieczę nad kościołem i relikwią powierzył Bolesław zakonowi Benedyktynów, których sprowadził do Polski w zamiarze, aby uczeni ci i pobożni mnisi światło wiary i oświatę szerzyli.

I kilka wieków przeszło ponad Polską, kościołem i klasztorem na Łysej górze, a Benedyktyni strzegli relikwi, utrzymywali szkołę i starali się o podniesienie rolnictwa, zupełnie tak samo, jak za czasów Chrobrego, z tą różnicą, że późniejsi zakonnicy nie byli cudzoziemcami, lecz Polakami.



Klasztor Świętokrzyski.

W czasie bezkrólewia, po Kazimierzu Wielkim zdarzył się na Łysogórze następujący wypadek: Litwini napadli na Polskę, a wracając z wycieczki pod Wiślicę, wdarli się na Łysą górę, złupili klasztor, zabrali wszystkie drogocenne sprzęty, a pomiędzy innymi skarbami i relikwię św. Krzyża. Jednakże, gdy już z granic Polski mieli wyjeżdżać, wóz, na którym wieziono drzewo Krzyża św., stanął, a konie z miejsca ruszyć nie chciały. Strwożeni Litwini zawołali szlachcica polskiego, Chrobatę, którego mieli w niewoli i obdarzywszy go swobodą,

kazali relikwię odwieźć do klasztoru. Odtąd sława kościoła na Łysej górze szeroko po kraju wzrosła, a pobożni wzbogacili go licznemi darowiznami.

Dzisiejszy kościół Świętokrzyski jest budową piękną i poważną; wzniesiony on został r. 1806. Fundacya Dąbrówki uległa kilkakrotnie pożarom, z których najstraszniejszy r. 1777 zniszczył prawie do szczętu kościół i klasztor – i dopiero w blizko trzydzieści lat potem odbudowano świątynię. Benedyktyni byli tu prawie do połowy bieżącego stulecia.

Kościół słynie dotychczas świętą relikwią i sprowadza rok rocznie liczne zastępy pobożnych.

Ale Łysa góra nietylko klasztorem słynie! I w najdalszych zakątkach kraju rozpowszechnione jest między ludem mniemanie, że jest ona także siedliskiem dyabłów i czarownic!!! Zachodnie stoki Łysej góry ogołocone są z lasu, a pokryte głazami. Takie łysiny w gwarze ludowej nazywają się „gołoborzami“ i tamto z całego kraju zgromadzają się co sobotę czarownice i wyprawiają przez noc różne harce z biesami.

Czarownica siada na miotłę, albo na łopatę i mówiąc:

„Płot — nie płot!
Wieś — nie wieś,
Biesie, nieś!“

leci na Łysą górę.

Kobiety, chcąc się zapoznać ze sztuką czarowania, powinny się zaznajomić z czarownicami gór Łysych, nauczyć się od nich rzucać na kogo urok, zbierać cudowne zioła, jak czyściczkę, mającą moc otwierania zamków, lubystek, nasieźrał i inne. Oprócz roślin, używają także czarownice do swoich praktyk frendzli od chorągwi kościelnych, stuł, ręczników

z ołtarzy, kawałków świec z kościoła, oraz widełek nietoperza, którego trzeba o północy zanieść do lasu, włożyć w mrowisko, a na drugi dzień z pozostałego szkieletu wydobyć widełka, zwane u ludu „carowidełkami,“ jak okazuje Krakowiak:

„Nie caruj mię, moja — tem carowidełkiem
Bo cię będę bijał — z konika siodełkiem.“

Lud ze stron świętokrzyskich utrzymuje, że czarownice gusłami mogą tak woźnicę i konie omamić, że pod wpływem czarów nie potrafią przebyć jakiejkolwiek drogi, czego dowodem piosenka:

„Cy ja carowany, cy koniki moje,
Nie mogę przyjechać bez łagowskie pole.
Cy ja carowany, cy wy cary macie,
Nie mogę przejechać, wy mnie wyganiacie.“

Niedorzeczna ta wiara w czary i czarownice pod wpływem kapłanów powoli słabnie. Trzeba mieć nadzieję, że gdy się oświata rozszerzy między ludem, to znikną owe gusła i zabobony, które częstokroć smutne mają następstwa. Lud uwierzy, że niema czarownic ani na Łysej górze, ani na innych gołoborzach, ani pomiędzy kobietami wiejskiemi i że nikt niema oczu urocznych, nie umie zadać choroby, ani jej odczynić i że lepiej po pomoc w słabości udać się do lekarza, niż do guślarzy, wróżów i czarownic.

. . . .

O czternaście wiorst od Łysej góry, leży Łysica z klasztorem Ś-ej Katarzyny, od którego i góra bierze swoje nazwisko.

Wierzchołek tej góry jest dla okolicznych mieszkańców wskazówką zmiany powietrza. Jeżeli Łysica w czepiec z mgieł się ustroi, to można spodziewać się deszczu, jeżeli zaś wierzchołek widać wyraźnie zdaleka, to znak, że będzie stała pogoda.

Klimat wyżyny sandomierskiej jest trochę chłodniejszy w okolicach płaskich; uczuwać się to głównie daje w wiosennym rozwoju roślinności. Żniwa przypadają też tam trochę później i kiedy Mazur zaczyna już zwozić zboże do stodoły, Sandomierzanin dopiero bierze się do kosy.

Sosny, jodły i modrzewie, zarastając *zbocza gór*, są zbiorowiskami wilgoci, co łącznie z wyniosłem położeniem sprawia, iż północna część gubernii kieleckiej i południowa radomskiej tworzy jakby olbrzymi zbiornik, z którego wypływa mnóstwo rzek, potoków, strumieni, dążąc ku północy i zachodowi do Pilicy, a ku wschodowi do Wisły.



Klasztor Ś-ej Katarzyny u stóp Łysicy.

Prawie wszystkie te wody mają górski charakter, są zimne, wartkie, czyste i stanowią siłę, którą ludzie do pracy zaprzęgli, każąc jej poruszać koła licznych fabryk i tartaków.

Poczynając od powiatu opoczyńskiego, kopalnie i fabryki ciągną się długim, nieprzerwanym prawie łańcuchem i aż za Opatów sięgają. Głównemi ogniskami przemysłu górniczego są osady i miasta: Końskie, Ruda Maleniecka, Bliżyn i Bzin. Niema tam wprawdzie olbrzymich zakładów, jak w Łodzi, Tomaszowie, ale mnóstwo drobnych fabryk, zatrudniających tysiące ludzi.

Rudę żelazną wydobywają w piętnastu miejscowościach, a przerabiają w pięćdziesięciu sześciu fabrykach. Bogate łomy

wapienia i glinki ogniotrwałej, gęsto są po całej południowej części gubernii radomskiej rozsiane, a w okolicach Ćmielowa wydobywają cenną glinę fajansową.

Ćmielów, w błotnistej leżący dolinie, oddawna słynął wyrobami garncarskimi, bo już przy końcu XVIII-go w. August II-gi Sas osobnym przywilejem pozwolił garncarzom ćmielowskim prowadzić handel po całym kraju bez żadnej opłaty dla skarbu.

Bogactwa mineralne wywołały nietylko powstanie kopalni i fabryk, ale skutkiem wzrostu i potrzeb ludności przyczyniły się do rozwoju przeróżnych gałęzi przemysłu.

Tu przetapiają rudę na surowiec, tam z bezkształtnych brył surowca wyrabiają narzędzia rolnicze i górnicze, łóżka, garnki, blachy; owdzie kopią glinę, a obok w wysokich piecach wyrabiają ozdobne wazony, zręczne kominki, różnobarwne płyty na posadzkę, miski, kubki, filiżanki.

Z fabrykami, przerabiającemi bogactwo mineralne, sąsiadują inne, przerabiające płody ziemi, jak: gorzelnie, browary, dystylarnie, fabryki świec, mydła, papieru. Ruch i życie wre, a ziemia za ubóstwo gleby płaci w trójnasób skarbami swych głębin.

Nie brak pięknych i malowniczych krajobrazów na stokach i w dolinach gór świętokrzyskich.

Niedaleko plantu drogi żelaznej, o cztery wiorsty od stacyi kolejowej *Nickłań*, nad górskim, zimnym jak lód strumieniem leży śliczny zakątek, zwany *Czarniecka Góra*, ukryty w rozległych na parę tysięcy włók lasach iglastych. Od lat przeszło dziesięciu istnieje tam zakład leczenia zimną wodą i przedziwnie czystem górskiem powietrzem, wzniesienie bowiem gubernii radomskiej do 1400 stóp w Czarnieckiej Górze dochodzi.

Inna miejscowość, swem wdzięcznem położeniem przyciągająca gości nawet z Warszawy na letnie mieszkanie—to *Suchedniów*, wieś i osada górnicza w powiecie kielickim. Położony w szerokiej, lesistej dolinie, zraszanej wodami rzeczki

Łęczny i dużego stawu, Suchedniów dopiero w XVI-ym wieku zasłynął rozwijającym się przemysłem górniczym. Najpomyślniejszą chwilą rozwoju Suchedniowa był początek bieżącego stulecia, gdy zakłady przeszły pod opiekę Staszyca. Jako jedną z pamiątek po tym szlachetnym człowieku, pokazują w Suchedniowie dzwony kościelne z odpowiednim napisem.

Powiat sandomierski.

Cud pszeniczka! ej bieluchna
Jak na gody strojna druchna,
  Sandomierka to prawdziwa!
  Lud się krząta koło żniwa,
Zlewa potem ziemię czarną
Co mu złote rodzi ziarno
  I plon niesie, plon
  Z sandomierskich stron. *S. Duchińska.*

Jadąc dalej lewym brzegiem Wisły, wchodzimy w gubernię radomską do żyznej ziemi sandomierskiej. Okolice te oddawna były zamieszkałe. Twierdzą o tem liczne wykopaliska, sięgające jeszcze czasów pogańskich, jak: urny czyli popielnice, w których nasi praojcowie chowali popioły zmarłych po spaleniu ciała na stosie, oraz toporki, krzemienie, igły kościane i t. d.

Zupełny prawie brak lasów, bujność pszenicznych łanów, poprzerzynanych malowniczymi parowami—oto główne cechy ziemi sandomierskiej. Czarnoziem sandomierski, zwany przez ludność miejscową „popielatką,“ jest jeszcze urodzajniejszy od proszowskiej gleby. Pozbawiony kamieni i żwiru, łatwo daje się żłobić; to też w czasie roztopów wiosennych woda wydrąża sobie koryta, które — po opadnięciu wód — pokrywają się bujną roślinnością. Parowy te stanowią dobre pastwiska i dodają wiele uroku okolicy. W wielu miejscach znowu wytworzyły wyniosłości najdziwaczniejszych nieraz

kształtów, w których można dopatrzyć podobieństwa do ołtarzów, piramid, kopców, rozwalonych murów i t. d.

Oprócz Wisły, grunt użyzniają jej dopływy: Czarna, Łukawa i Kamionna, a kraj przedstawia płaszczyznę wysoką, pagórkowatą, która ku północo-zachodowi coraz bardziej się wznosi.

Ludność ziemi sandomierskiej, pracowita i dosyć zamożna, mieszka w chatach z drzewa, starannie i czysto utrzymywanych.

Mężczyźni noszą sukmany bure lub granatowe z czerwonymi wyłogami, zwanymi „ozydlem,“ a na głowie wielką czapkę, zwaną „zawściekła.“ Kobiety—koszulę z kolorowem wyszyciem, spódnicę wełnianą z czarnych owiec i na święto kolorowy gorset.



Z okolic Sandomierza.

Oprócz rolnictwa, wieśniacy trudnią się uprawą jarzyn, zakładają i pielęgnują duże sady owocowe. Pszczelnictwo i rybołóstwo u Sandomierzan dotąd zaniedbane.

Sandomierz.

Sandomierz, prastare miasto ziemi sandomierskiej, rozrzucony na pagórkach i otoczony zewsząd bogatą drzew zie-



Zamek w Sandomierzu.



Kościół katedralny.

lenią, pięknie się przedstawia zdaleka. Na wzgórzu nad Wisłą wznoszą się resztki zamku, który wysadzony został w powietrze przez Szwedów, za czasów Jana Kazimierza.

Najokazalej wygląda serce miasta —katedra sandomierska! U jej podnóża ścielą się ogrody, a niżej jeszcze Wisła wartkim biegiem płynie i mieni się wstęgą srebrzysto-błękitną.

W katedrze pochowany jest błogosławiony Wincenty Kadłubek, który spisywał dzieje Polski za czasów Kazimierza Sprawiedliwego. W skarbcu między innemi pamiątkami przechowują także rękawiczkę królowej Jadwigi, z czasów, gdy świątobliwa ta pani odbyła pielgrzymkę do Sandomierza, aby sobie u Boga uprosić potomstwo.

Oprócz katedry, istnieje jeszcze dzisiaj pięć innych kościołów, bo w Sandomierzu, napadanym tyle razy i rabowanym przez Turków, rozwinęło się bardzo życie religijne. Ludzie u stóp ołtarzy szukali pociechy po srogich ciosach i bolesnych stratach.

Do starych bardzo świątyń należy kościół Ś-go Jakóba, ufundowany przez Adelajdę, córkę Kazimierza Sprawiedliwego, której zwłoki spoczywają w tymże kościele, pod nagrobkiem cennym, jako najdawniejszy w kraju zabytek rzeźby. Ratusz w Sandomierzu przypomina nieco Sukiennice krakowskie.

Sandomierz już z położenia samego był dogodnem miejscem obronnem; to też Kazimierz Wielki opasał miasto murem, odbudował zamek, dawną siedzibę Leszka Białego, i urządził w mieście wielki skład soli. Choć napadane, często rabowane i palone, miasto podnosiło się szybko z gruzów, a na dobre upadać zaczęło od chwili, gdy stolicę Polski przeniesiono do Warszawy. Dzisiaj Sandomierz jest to miasto powiatowe. Ludność jego, w znacznej części żydowska, prowadzi niezbyt ożywiony handel z Galicyą. Statki parowe odchodzą co drugi dzień do Nowej Aleksandryi, a berlinki i galary przewożą nietylko zboże, lecz i owoce, gdyż sadownictwo,

dzięki dobrej glebie i korzystnemu położeniu, bardzo pomyślnie tam się rozwija.

Przeciwległy brzeg Wisły przedstawia obszerną nizinę. Jestto dolina Sanu, łączącego się z Wisłą o dwanaście wiorst za Sandomierzem.



Ruiny zamku w Ossolinie.

Zawichost, leżący bardziej na północ, pamiętny zwycięstwem Leszka Białego nad Romanem ks. Halickim, ma także bardzo piękne okolice. Ku Wiśle opadają urwiska najdziwaczniejszych kształtów, a z prawego brzegu rzeki rozciągają się przepyszne łąk kobierce i uprawne pola, zamknięte siwą przepaską lasów.



Kaplica Ossolińskich.

Na wiosnę, z odpłynięciem lodów, zaczyna wrzeć życie w Zawichoście, bo tutaj jest główny skład zboża, spławianego Wisłą; podobno samej pszenicy „Sandomierki“ odpływa rok rocznie 80,000 korcy.

Do Radomia przywiązanych jest wiele historycznych wspomnień. Wymieńmy z nich choć niektóre. Na zjeździe r. 1383, po śmierci Ludwika, wybrano tu Jadwigę, jego młodszą córkę na królowę Polski, a usunięto Maryę i jej męża Zygmunta. Zofia, czwarta żona Władysława Jagiełły, lubiła w Radomiu przemieszkiwać; tu rad przebywał także Kazimierz Jagiellończyk i tu jego najstarszemu synowi, Władysławowi, stany czeskie ofiarowały koronę. Tu wreszcie odbył się pamiętny sejm r. 1505, na którym jeszcze bardziej ograniczono władzę królewską, a szlachcie z krzywdą mieszczan i wieśniaków nadano ogromne przywileje. Radom ulegał kilkakrotnym pożarom, oraz zniszczeniu w czasie wojen, zwłaszcza ze Szwedami.

Obecnie, jako miasto gubernialne, dosyć się podnosi i należy do głównych miast Królestwa Polskiego.

Ze starego zamku zachował się długi dom, w którym mieszczą się władze miejscowe, a z innych dawnych budowli— kościół parafialny i po-bernardyński.

Miasto jest porządnie zabudowane; ratusz, gmach rządu gubernialnego, szpital, teatr, gmach Towarzystwa kredytowego, oraz ładny ogród publiczny, stanowią ozdobę Radomia.

O pięć mil od Radomia, jest miasteczko Kozienice, pamiętne urodzeniem Zygmunta I-go. Ku uczczeniu tego zdarzenia wzniesiono przed kościołem kolumnę.

Pod Kozienicami odniósł Czarniecki za Jana Kazimierza nad Szwedami zwycięstwo.

W okolicy były dawniej wielkie, nieprzebyte knieje, pełne grubego zwierza. W puszczy kozienickiej często królowie polscy zabawiali się łowami. Dzisiaj już tam lasów niema. Gdzie żyły niedźwiedzie, wilki, lisy, teraz co najwyżej przemyka się płochliwa sarna lub chybki zając, a zamiast licznego ptactwa, gnieżdżącego się w leśnych ostępach, skowronek w powietrzu dzwoni i przepiórka swem kwileniem nawołuje rolnika do żniwa.

Na zachód od Radomia leży miasteczko *Opoczno*, a o dwie mile od niego, nad rzeką Pilicą, wieś Studzianna, z pięknym kościołem po-filipińskim, słynnym cudowną Matką Boską.

Cudowny obraz w Studziannie przedstawia Przenajświętszą Rodzinę przy stole, zastawionym różnemi potrawami i owocami. Najświętsza Panna podaje Dzieciątku gruszkę, a św. Józef kielich z napojem. Obraz ten podobno przywiozła ze sobą do Polski arcyksiężniczka austryacka, Cecylia Renata, pierwsza żona Władysława IV-go Wazy. Po śmierci królowej obraz stał się własnością dziedziców Studzianny, a gdy niebawem zaczął słynąć cudami, Jan Zbąski, ówczesny dziedzic Studzianny, zbudował tam kościół, przeniósł do niego obraz i oddał go pod opiekę zakonnikom Filipinom. Współczesny tym wypadkom poeta i historyk, Wespazyan Kozłowski [1]), tak o tem pisze: „Matka Boska widząc, jak otomańskie wrzawy walą się na Polskę, tu się zjawiła."



Cudowny obraz Matki Boskiej w Studziannie.

Gniazdo poety.

Każdy słyszał niewątpliwie śpiewaną w kościele pieśń: „Kto się w opiekę podda Panu swemu," ale nie każdy wie, że pieśń tę ułożył największy poeta XVI-go wieku, Jan Kochanowski, który żył za czasów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego.

---

[1]) Ur. się między 1630 a 1633 r., zm. r. 1699.

Kochanowski, ukończywszy świetnie nauki, przebywał czas jakiś na dworze królewskim; prędko mu się jednak życie dworskie uprzykrzyło, porzucił Kraków i przeniósł się na wieś, w swoje rodzinne strony. A ojcowizna Kochanowskiego — to okolice Radomia. O kilka mil od tego miasta, na wschód, bliżej Wisły, jest Sycyna, miejsce urodzenia wielkiego poety,



Obraz Jana Matejki.

Jan Kochanowski nad zwłokami Urszulki.

dalej trochę *Czarnolas*, gdzie stale mieszkał, a wreszcie *Zwoleń*, gdzie został pochowany.

Zwoleń był niegdyś miastem królewskiem, posiadającem liczne przywileje, jeszcze od Jagiełły mu nadane. Jakoż i rynek nader rozłożysty wskazuje, iż przy jego zakładaniu liczono na rozrost miasta w przyszłości. Widocznie nie było mu to przeznaczone i dziś, oprócz owego rynku, zabudowanego

murowanemi kamienicami, składa się Zwoleń z drewnianych lichych domków. Kościół parafialny, choć sięga XVI-go wieku, także jest biedny i pusty; jedynie dwie kaplice, przybudowane z boku, nadają kościołowi pamiątkową wartość. Jedna z nich nazywa się kaplicą Kochanowskich i w niej mieści się grobowiec poety, oraz jego popiersie z marmuru.

Ze Zwolenia do Czarnolasu, odległego o kilka wiorst, jedzie się najprzód jakby wąwozem, lecz niezadługo rozwija się rozległy krajobraz; z poza wzgórz falistych wychylają się wioski i łany zboża, bo lasy, od których Czarnolas otrzymał nazwisko, dawno już wytrzebiono.

Dziedzictwo Kochanowskiego należy dzisiaj do księżny Jabłonowskiej. Niewiele tam po poecie zachowało się pamiątek.

Owej wspaniałej lipy, pod którą pisał swe wiersze, już niema i śladu, lecz na jej miejscu postawiono słup z popiersiem poety, a na słupie wyryto najpiękniejszy z Trenów, czyli żałobnych pieśni, które Kochanowski, po stracie najukochańszej i najmłodszej córeczki, Urszulki, napisał ku uczczeniu jej pamięci.

Niedaleko od wnijścia do obszernego starego ogrodu, widnieje kaplica, a przy północnej ścianie kaplicy pokazują resztki muru, wzniesionego na dwie stopy nad poziom i zabezpieczonego od uszkodzenia kratą drewnianą. Mur ten ma być szczątkami domu Kochanowskiego. W mieszkaniu księżnej Jabłonowskiej przechowują drzwi żelazne, zachowane z domu poety, krzesło z poręczami, na którem siadywał, a nad frontowem wejściem do pałacu umieszczona jest tablica taka sama, jaka się znajdowała nade drzwiami dworu czarnoleskiego, siedziby poety.

Kochanowski taki napis nad drzwiami swego domu umieścił:

„Inni niechaj pałace murowane mają,
I szczerym złotogłowiem ściany obijają.

Ja, Panie, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem,
A Ty mnie zdrowiem opatrz i sumieniem czystem,
Pożywieniem uczciwem, ludzką życzliwością,
Obyczajmi dobrymi, nie przykrą starością."

W wierszu tym odbija się cała dusza Kochanowskiego. Nie pragnął on bogactw ani zaszczytów, zadawalał się miernością, bo wiedział, że nie dostatek, ale sumienie czyste, łaska Boska i miłość ludzka, stanowią szczęście człowieka.

Janowiec.

Niedaleko Czarnolasu, u stóp wyniosłego wzgórza, tuż nad brzegiem Wisły, leży osada Janowiec. Szczyt wzgórza wieńczą ruiny wspaniałego zamku.

Była to potężna warownia, zbudowana w pierwszej połowie XVI-go wieku przez Piotra Firleja i uważana jak gdyby za stolicę na kilka mil wokoło rozległych włości.

Niejednego monarchę gościł Janowiec w swych murach: Zygmunt Waza, Michał Korybut Wiśniowiecki, August II-gi, dłuższe spędzali tam chwile. Gwarno tam było i huczno, muzyka przygrywała w olbrzymiej sali, na wiwat z moździerzy strzelano. Wszystko to minęło szybko.

Przy końcu zeszłego stulecia zamek przeszedł w posiadanie rodziny Piaskowskich. Nowi właściciele nie mieli dostatecznego funduszu na podtrzymanie murów i konieczne reperacye; ruina więc poczęła grozić staremu gmachowi. Wreszcie opuszczono zamek, poświęcając go dobrowolnie na pastwę zniszczeniu. Odtąd do zniszczenia przyczyniała się nieraz barbarzyńska ręka ludzka, zabierając wszystko, co się zabrać dało: do najmniejszego kawałka drzewa i żelaza. Dziś pozostały tylko gruzy i kamienie. Lecz i te zwaliska ogromem swoim mówią nam, jakim był zamek przed laty.

Kształt miał czworoboku; obszernymi dziedzińcami i okrągłemi basztami na rogach przypominał zamek królewski



Ruiny zamku w Janowcu.

na Wawelu, z którego wzór wielokrotnie czerpano. Prócz siedmiu czy ośmiu sal olbrzymich, około stu komnat mieściło się w tym ogromnym gmachu. Nie brakło tam marmurów, złoceń i malowideł; po dziś dzień widnieją tego ślady.



Ruiny zamku w Janowcu.

W jednem miejscu istnieje jeszcze dawna studnia; niesłychanie głęboka, choć ją od dziesiątków lat zasypują, bo każdy ze zwiedzających uwa-

ża sobie za obowiązek rzucić w nią choć jeden kamień lub odłam muru. Niedaleko studni jest ślad dawnej kuchni. Olbrzymie ognisko, w któremby całego wołu na rożnie upiec można, świadczy o gościnności dawnych panów zamku.

Widok z góry jest prześliczny. U samych stóp miasteczko Janowiec ze starożytnym kościołem, naprzeciw *Kazimierz*, dalej nieco *Nowo - Aleksandrya* dzisiejsza, a między niemi wodny trakt, dalej zaś pasma wzgórz różnego kształtu i wielkości.

Z tamtej strony Wisły.

Przepłyńmy w Janowcu Wisłę. Na jej prawym brzegu, od Zawichostu do Iwangrodu, dawniejszego *Dęblina*, ciągnie się gubernia lubelska, od północy granicząca z siedlecką, od południa z Galicyą, a na wschodzie z gubernią wołyńską.

Obszerna to równina, użyzniona wodą Wieprza i jej dopływami, miejscami tylko pasmami wzgórz jest pofalowana. Wzgórza takie wznoszą się na wybrzeżu Wisły, zwłaszcza około Kazimierza, oraz w południowej części gubernii w okolicy Tomaszowa. Jest to Karpat daleka odnoga. We wzgórzach tych napotyka się kamień młyński, w niewielkiej ilości rudę żelazną, a w znacznej części wyniosłości te założone są warstwami kamienia wapiennego, pokryte gliną i dziwacznych kształtów głazami.

Gubernia lubelska obejmuje część dawnego województwa lubelskiego i część ziemi Chełmskiej. (Całe województwo lubelskie rozciągało się aż za San ku Krasnu i Dukli w ziemi sanockiej w Galicyi).

Lubelskie — to ziemia w znacznej części urodzajna. Obok ornej, kłosodajnej niwy, nie brak tam łąk i lasów. Na wybornych pastwiskach wypasa się bydło, a lemiesz kraje żyzną rolę, by wydać mogła bujne plony. To też mieszkańcy przeważnie tam rolnicy. Przywiązani do swojej gleby, rzucają ziarno w uprawioną ziemię, a praca ta rzadko ich zawo-

dzi. Włościanin lubelski sieje jednak zwykle tylko żyto i to w czasie dobrze suchym, bo pamiętne mu przysłowie: „kiedy się za broną kurzy, to się żyto burzy," czyli faluje, bo jest gęste i obfite. Pszenicę uprawiają głównie w większych gospodarstwach, a mianowicie w powiatach chełmskim i hrubieszowskim, gdzie grunt bardzo urodzajny, tak zwany czarnoziem. Lecz i tam pszenica udaje się rozmaicie, a z tego powodu lud gwarzy:

Pszenica w bławacie — gospodarz w szkarłacie;
Pszenica w maku — gospodarz w kubraku;
Pszenica w rumianku — bywaj zdrów, kochanku!

Oprócz zboża, uprawiają w gubernii lubelskiej len, konopie, a w niektórych okolicach buraki cukrowe.

Przemysł niezbyt rozwinięty dla braku odpowiednich dróg komunikacyjnych. Pograniczne części gubernii mają wprawdzie drogi wodne, ale te oddają usługi w niektórych jedynie miesiącach. Linia kolei nadwiślańskiej przerzyna północno-wschodnią, uboczną część gubernii, ale dla braku dróg bocznych nie może należycie obsługiwać południowych i środkowych powiatów. Brak kamienia utrudnia budowę dróg bitych. Oprócz gorzelni, browarów i cukrowni, zaznaczyć można kilka fabryk narzędzi rolniczych, mebli giętych w Wojciechowie i posadzek w Zwierzyńcu. Za to szkół w gubernii lubelskiej jest stosunkowo najwięcej, powinnaby więc przodować innym w oświacie.

. . . .

Dużo wspomnień historycznych, podań i legend cudownych łączy się z ziemią lubelską, skrapianą krwią chrześcijańską i pogańską.

W *Krasnymstawie* hetman Jan Zamoyski trzymał arcyksięcia austryackiego Maksymiliana w niewoli, gdy ten po śmierci Stefana Batorego, na tron polski chciał się wedrzeć. Miasteczko *Żółkiewka* — to gniazdo Żółkiewskich; z rodziny tej pochodził ów waleczny hetman, Stanisław Żół-

kiewski, który zginął w bitwie z Turkami pod Cecorą, r. 1620. *Sobieska Wola* — to dawna własność Sobieskich. W pobliżu jest szereg mogił, podobno jeszcze z czasów walki z Jadźwingami. W *Zawieprzycach* zamek zbudowany był przez jeńców tureckich, zabranych do niewoli przez Jana Sobieskiego. Miasto *Rejowiec* założone zostało przez Mikołaja Reja, owego wesołego poetę z XVI-go wieku.

We wsi *Gardzienicach* nad rzeką Giełczwią są zwaliska domu Stefana Czarnieckiego, który bił Szwedów za Jana Kazimierza.

Wieś *Czarnięcin* posiada duży usypany kopiec. Lud twierdzi, że niegdyś jakiś waleczny dowódzca poległ w bitwie, na tem polu stoczonej. Jego wierni druchowie położyli ciało w bróździe i każdy przyniósł po czapce ziemi, a że tysiąc ludzi chciało mu ostatnią oddać przysługę i cześć okazać, więc z wyrzuconej z czapek ziemi taka mogiła urosła.

W *Radecznicy*, wsi, należącej do ordynacyi Zamoyskich, jest klasztor Bernardynów, a w nim św. Antoni, słynny cudami. Klasztor okala lasek, złożony z samych krzywych sosen, które się pochyliły przed św. Antonim, gdy się tam objawił i nazawsze już tak zgięte zostały. Święty Antoni ukazać się miał jakiemuś ubogiemu tkaczowi i przyrzekł uzdrawiać chorych i kaleki. Zbudowano tam kościół, a nieopodal stoi kapliczka św. Antoniego; u jej stóp płynie zdrój, będący lekarstwem na wszystkie niemoce. Pod wizerunkiem świętego patrona lud z nabożeństwem czyta napis: „Kto tę wodę pije, taki długo żyje,“ czerpie ze źródełka cudowny napój i zabiera go w naczyniach do domu.

W *Krasnobrodzie*, niedaleko źródeł Wieprza, jest studzienka z cudowną wodą Matki Boskiej Krasnobrodzkiej, mającą takie same własności.

A ileż pięknych miejscowości jest w gubernii lubelskiej, ileż malowniczych zwalisk dawnych obronnych zamków, jak: w Kazimierzu, Janowcu, Krupem. Jest co zwiedzać i czemu się napatrzeć.

Najwięcej urocze miejscowości leżą nad brzegiem Wisły. Przypatrzmy im się bliżej.

Nowa-Aleksandrya.

‹Trzebaby piórko ze skrzydełek motyli
W bławatach tęczy umoczyć,
By, gdzie się sztuka z przyrodzeniem sili,
To wiernie skreślić i w niczem nie zboczyć.»

Taką pochwałę wygłosił ongi Niemcewicz [1]) o ślicznej miejscowości, dzisiaj Nowo-Aleksandryą, dawniej Puławami zwanej.



Zamek w Krupem.

Na pozór nic osobliwego niema w tej osadzie, około 4,000 mieszkańców liczącej.

Drewniane, staroświeckie dworki sąsiadują z murowanemi kamienicami, na każdym kroku czystość graniczy z brudem i opuszczeniem.

Ale na te sprzeczności wobec pięknej natury nie zwraca się zgoła uwagi. Szeroka wstęga Wisły, wieżykowate wzgórza, gaje i kępy bujnej, soczystej zieleni, przykuwają tak oczy, że zapomina się o wszystkiem, co nie jest piękne i jasne.

Nie osadę jednak miał na myśli Niemcewicz, gdy mówił, że dla jej opisu „pióro w bławatach tęczy trzeba umoczyć,“ lecz wspaniałą, wielkopańską rezydencyę, leżącą nieco opodal na drodze do miasteczka Kazimierza.

---

[1]) Niemcewicz, poeta polski z końca XVIII i początku XIX wieku.

Odległe pamięta ona czasy. W XVII-ym wieku wojska Karola XII-go, króla szwedzkiego, spaliły pałac, należący wówczas do rodziny Sieniawskich. Odbudowała go ostatnia z tego rodu Zofia Denhoffowa, wojewodzina płocka, później małżonka księcia Augusta Czartoryskiego, wojewody ruskiego.

Ale miejscowość zasłynęła dopiero później, gdy w niej zamieszkał syn Zofii i Augusta, książę Adam Czartoryski.

Żona księcia Adama, Izabella, kobieta wielkiego serca, wielkiego rozumu i wielkiego poczucia piękna, przyczyniła się bardzo do podniesienia swej rezydencyi.



Instytut w Nowej-Aleksandryi.

Z jej rozkazu rozszerzono pałac przez dobudowanie oficyn, nasadzono w parku drzew przeróżnych, wykopano sadzawki, powznoszono urocze domki, pałacyki, kapliczki, które stały się później, jakby archiwum przeróżnych pamiątek. Księżna Izabella bowiem szanowała zabytki przeszłości; starała się je od zagłady i zniszczenia zachować.

Szeroka aleja odwiecznych, cienistych lip, prowadzi do pałacu, wzniesionego na wzgórzu nad Wisłą.

Obszerny, prostokątny dziedziniec, zamknięty bramą żelazną, leży przed gmachem. W pośrodku dziedzińca basen murowany, po bokach klomby kwiatów i gaiki drzew wspaniałych.

Pałac składa się z głównej dwupiętrowej fasady i dwu bocznych skrzydeł. Obecnie mieści się w nim Instytut Agronomiczny.

W ustronnej części parku wznosi się niewielki, w formie rotundy, budynek, przypominający grecką świątynię i zwany „Świątynią Sybilli“ [1]). Było to właśnie owo archiwum ks. Izabelli.

Jan Paweł Woronicz [2]) całym poematem uczcił rezydencyę ks. Czartoryskich, a o świątyni Sybilli mówi:

Słodki przybytek cnoty, światła, odetchnienia,
Zdrój pociech i czarnych trosków zapomnienia,
Gdzie wędrowiec dziwu zachwytem przejęty,
Znajduje wszystkich krajów rozkoszne ponęty.
Gdzie droższego nad życie wychowu nakładem
I starożytnych wzorów obecnym przykładem i t. d.

W niższej części parku, ponad łachą wiślaną, kazała ks. Izabella wznieść uroczy pałacyk i przeznaczyła go na mieszkanie swej córki Maryi, żony Ludwika ks. Wirtemberskiego. Pałacyk ten, zwany „Marynki,“ zniszczony już bardzo przez czas, na murach jednak widnieje jeszcze napis po łacinie, który przetłómaczony brzmi: „Ten zakątek ziemi najlepiej się do mnie uśmiecha.“

Śliczny jest także tak zwany gotycki domek, z wysmukłą kolumnadą— niegdyś mieszkanie znakomitych gości.

W układzie parku rozmaitość wielka. Tu wspaniałe szerokie aleje odwiecznych lip i dębów, których korony, schodząc się w górze, tworzą ruchome, nie przepuszczające promieni słońca sklepienia, tam sztuczne groty wykute w piaskowcu, owdzie na skraju wzgórza porozrzucane łomy kamienne, omszałe ze starości.

---

[1]) Sybilla, kapłanka pogańska, obdarzona jakoby darem prorokowania.

[2]) Jan Paweł Woronicz, poeta polski, ur. r. 1757.

Tam to księżna Izabella spędzała nieraz długie godziny w zadumie „szeroką Wisłę przerzynając okiem“ [1]). Ale dumania nie wyłączały czynów.

Oboje księstwo otaczali serdeczną opieką lud wiejski, zajmowali się literaturą, sztuką, szkolnictwem. W dawnych Puławach ułożono i wydano we własnej drukarni pierwszą historyę Polski dla ludu, pod tytułem „Pielgrzym z Dobromila,“ napisaną przez ks. Czartoryską i jej córkę Maryę. Tam Niemcewicz ułożył plan swej znakomitej powieści „Jan z Tęczyna,“ tam mieszkał przez długie lata przyboczny sekretarz księcia, poeta, Franciszek Dyonizy Kniaźnin, tam gościł Franciszek Karpiński, którego dwie pieśni: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“ i „Kiedy ranne wstają zorze,“ największą uzyskały sławę, bo po kościołach są śpiewane, i tam przebywało wielu innych znakomitych ludzi, gdyż wszyscy ówcześni uczeni, poeci odwiedzali gościnne progi domu księstwa Czartoryskich.



Świątynia Sybilli w Nowej Aleksandryi.

Było dawnym zwyczajem w Polsce, iż młodzież dla dokończenia nauk, a głównie dla zapoznania jej z obowiązkami

1) Słowa Woronicza.

obywatela kraju i ruchem społecznym, wysyłano na dwór jakiego znakomitego męża, biorącego czynny udział w sprawach narodu. Księstwo rozumieli korzyści płynące z tego, i nietylko otworzyli na rozścież drzwi swego domu dla młodzieży, ale jeszcze założyli rodzaj szkoły męskiej i pensyonatu dla ubogich panien.

W r. 1869 założono w Nowej-Aleksandryi (Puławach) po dziś dzień istniejący Instytut Rolniczo-leśny.

Tysiące wspomnień łączy się z tą śliczną i uroczą miejscowością kraju. Naturalnie nie obeszło się też bez podań. Jedno z nich mówi, że od kaplicy wzniesionej opodal pałacu na skraju wzgórza, idzie pod Wisłą, aż do zamku Janowca, leżącego na przeciwległym brzegu, tunel podziemny, miejsce schronienia i ucieczki w razie napadu nieprzyjaciela.



Park w Nowej Aleksandryi.

Z okien pałacu, z wynioślejszych miejsc parku, tarasami spadającego ku Wiśle, cudny roztacza się widok. Oko biegnie daleko poza brzeg przeciwny, ku łąkom i polom, a wokół szumią drzewa...

Szelestem powiewnym odzowne
Młodniejące starością, siwym mchem ozdobne,
Sadził je własną ręką dla swojego syna
Nestor nasz, późne plemię rodu Gedymina [1]).

[1]) Rodzina książąt Czartoryskich ma według podania pochodzić z rodu Gedymina. Wiersze Woronicza.

Kolej żelazna, zwana Nadwiślańską, łączy obecnie Nowo-Aleksandryę z Lublinem i Warszawą, a kto amator wodnej żeglugi, tego statki pasażerskie przewiozą do wszystkich miejsc nad brzegiem Wisły leżących.

Kazimierz.

Dwie drogi prowadzą z Nowej - Aleksandryi do położo-



Kazimierz nad Wisłą.

nego w górze Wisły Kazimierza; jedna — wodą, druga — doskonale utrzymanym traktem. Ta ostatnia, choć nieco dłuższa, znacznie jest piękniejsza.

Całe pasmo nieregularnych wzgórz opuszcza się stromo ku Wiśle na tym skraju wyżyny lubelskiej, osłaniając od zimnych wichrów z północy i wschodu licznie rozsiane wioski i zagrody. Dlatego też wszystko tam bujne, rozrosłe i świeże. Ogrody kipią od owoców, łąki jak szmaragd zielone.

Głębokie jary, zarosłe dziką czereśnią i berberysem, obszerne wąwozy, wartkie strumienie nadają okolicy górski charakter.

A co tam za moc zieleni! Dęby, jodły, leszczyna, dzika tarń, tak gęsto ścisnęły się po wierzchołkach i stokach pagórków, że są miejsca, gdzie prawie przedrzeć się nie można. Istna puszcza, istny las dziewiczy!

A wśród tych piękności droga wije się kręto, to zniża ku Wiśle, to przerzyna malowniczo rozrzucone wioski.

Jedną z piękniejszych jest wieś Bochotnica, w obszernej rozłożona dolinie. Lesiste wzgórza zewsząd ją otaczają, a na najwynioślejszem z nich, zwanem „górą zamkową,“ widać ruiny zamku, wystawionego pono przez owego wielmożę — rozbójnika z XIV-go wieku, Maćka Borkowicza, wojewodę poznańskiego. Tam też podobno miała mieszkać żydówka Esterka, którą tak bardzo polubił Kazimierz Wielki.

Czternaście wiorst, dzielących Nową-Aleksandryę od Kazimierza, przebywa się szybko i oto już, jak pstra chusta, leży przed nami uboga osada — miasto przeszłości — Kazimierz, założony w XIV-ym wieku, przez króla polskiego Kazimierza, zwanego Wielkim.

Brudne to, obszarpane, stare, niemal pleśnią narosłe, a takie śliczne i miłe.

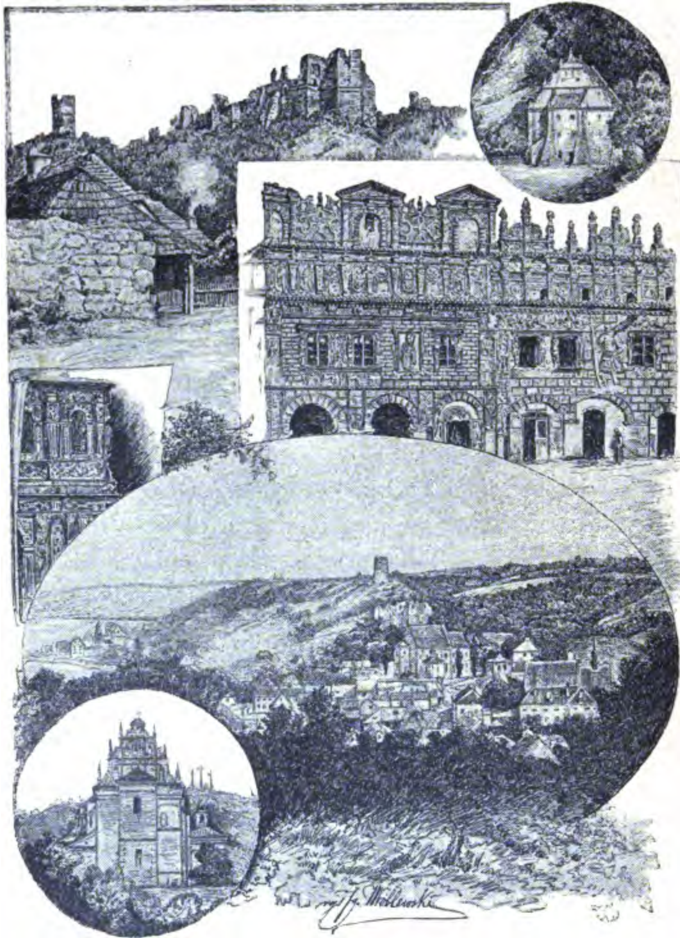
Cztery ciekawe pamiątki godne są obejrzenia w Kazimierzu: kościoły, ruiny (zamku i baszty), śpichlerz i kamienice.

Kościoły stoją w trzech punktach miasteczka. Farny, czyli parafialny od strony Nowej-Aleksandyi, po-reformacki na przeciwległym krańcu i stary, drewniany, prawie w ziemię wrosły kościół Ś-ej Anny na drodze, do Lublina wiodącej.

Po-reformacka świątynia cicha jest i ponura, na cmentarzu stacye Męki Pańskiej, w korytarzach poczerniałe obrazy, zresztą nic osobliwego. Ale prawda, osobliwemi są podziemia klasztoru tak suche i zimne, że ciała zmarłych zakonników, które bez trumien spoczywają tam jedne obok drugich, zupeł-

nie są nienaruszone, chociaż już dziesiątki lat przepłynęły nad niemi.

Kościół farny, jest obszerną z kamienia wapiennego



Kazimierz nad Wisłą.

wzniesioną świątynią. Uwagę zwiedzających zwracają nagrobki rajców i mieszczan kazimierskich, oraz szczególny u stropu zawieszony świecznik w kształcie jeleniej głowy.

Za kościołem cmentarz, rozrzucony po skalistych i stromych wzgórzach, za cmentarzem wązka, wśród skał wapiennych deszczami pewnie wyżłobiona droga, prowadzi do ruin zamku, dawnej siedziby Kazimierza Wielkiego.

Ale napróżno szukalibyśmy po nim pamiątek. Czas zniszczył wszystko prawie, a pomogła mu głupota ludzka, powiadano nam bowiem, że uboższi mieszkańcy do budowy własnych domów nie wahali się brać cegły ze starych zwalisk i własnoręcznie niszczyli drogocenną pamiątkę.



Baszta w Kazimierzu.

Z pozostałych szczątków niepodobna jest obecnie mieć pojęcie o pierwotnym kształcie i rozmiarach zamku. Zdaje się jednak, że musiał być nieforemny, zastosowany do skały, na której go wzniesiono i że część mieszkalna zwrócona była ku miastu. Przypuszczają również, że izb było osiem: cztery na dole i cztery na górze. Zameczek, okolony murem, nie lękał się oblężenia i z powodu prostopadłej niemal spadzistości skały, rozpoczynającej się tuż za murami, uchodził za niezdobyty.

Do czasów pierwszej wojny ze Szwedami, t. j. do drugiej połowy XVII-go wieku, starożytny gród zachował się w do-

brym stanie, lecz spalony wraz z miastem najpierw w r. 1656, potem przez wojska Karola XII-go, już się nie dźwignął z upadku i w gruzy rozpadać zaczął.



Z obrazu Jana Matejki.

Wykonanie wyroku na Maćku Borkowiczu.

O kilkaset kroków za ruinami zamku, na najwyższem wzgórzu, widnieje zdala doskonale jeszcze zachowana wysoka

baszta i otworami swych strzelnic, bezładnie na całej wysokości rozrzuconych, niby mnóstwem oczu patrzy na całą okolicę.

Przeznaczenie tej baszty nietrudno było odgadnąć. Była ona w dzień strażnicą, skąd dostrzegano zbliżającego się wroga, w nocy zaś, gdy na jej szczycie zapalono światło, latarnią, prowadzącą statki żeglujące po Wiśle. Mury baszty, głęboko zachodząc w ziemię, tworzą loch — przed wieki miejsce kaźni dla zbrodniarzy.

W lochu tym, według podania, miał zginąć śmiercią głodową Maćko Borkowicz z Bochotnicy, słynny z rozbojów i zbrodni. Napomnienia Kazimierza Wielkiego nie skutkowały, Maćko nie zmienił trybu życia, schwytano go więc, osądzono i spuszczono do lochu wraz z dzbanem wody i wiązką siana, poczem otwór zamurowano na wieki. Znakomity malarz polski, Jan Matejko, chwilę tę obrał za treść jednego ze swych obrazów.

Mury baszty pokrywają ze wszystkich stron nazwiska osób, które zwiedziły to miejsce. Zwyczaj to nietylko śmieszny i nierozsądny, ale wprost zły — ponieważ rycie i drapanie murów niszczy je i przyśpiesza ruinę.

Niepodobna opisać cudnego widoku, jaki roztacza się ze szczytu skały. Szeroka srebrzysta wstęga Wisły poprzerzynana złotem ławic piaszczystych, wzgórza, laski, pola, łąki, wioski nadbrzeżne, ruiny zamku Janowca po przeciwległej stronie, wszystko w dzień pogodny jak na dłoni leży. Przez lunetę można nawet dojrzeć majaczejące, jak szary obłok na widnokręgu, góry Świętokrzyskie.

Punktem środkowym Kazimierza jest rynek, a ciekawszymi w nim zabytkami przeszłości prastare kamienice.

Jest ich kilka, a każda warta widzenia. Ściany ich aż po pierwszy gzems zbudowane są z kamienia, grubo wytynkowane i pokryte rozmaitymi rysunkami. Godła, napisy, twarze, a nawet całe figury świętych, tworzą razem całość oryginalnie piękną. Na jednej z kamienic wystawiony jest w ozdobnych ramach św. Mikołaj, na drugiej dość olbrzy

postać św. Krzystofa, przenoszącego przez wodę maleńkie dzieciątko. Wszystkie kamienice są, według dawnego zwyczaju, bardzo wązkie, o głębokich, wspartych na sklepionych arkadach podsieniach.

Szczególnie sumienni musieli być w owych czasach majstrowie mularze, szczególnie dobrą cegła, kiedy budowle przed trzystu z górą laty wzniesione, do dzisiejszego dnia zamieszkane być mogą. Jeszcze starszemi są spichrze — bo zbudowane za Kazimierza Wielkiego, przeszło pięćset lat istnienia sobie liczą.



Stara kamienica w Kazimierzu nad Wisłą.

Uszeregowano je niegdyś tuż nad Wisłą i przeznaczono na pomieszczenie zapasów zboża, by w razie nieurodzaju, klęska głodowa nie groziła krajowi. Takim to zabiegliwym i przezornym gospodarzem był król Kazimierz Wielki.

Ale z czasem Wisła zmieniła koryto i opuściła spichlerze, które obecnie stoją o kilkaset kroków od rzeki. Jedne rozpadły się już w gruzy, inne służą jeszcze do użytku. Obrócono je na garbarnie, stajnie i t. p.

Prawie wszystkie domy miasteczka, czyli raczej osady budowane są z kamienia wapiennego. Stanowi to wielką niedogodność; w czasie deszczów długotrwałych, mury tak nasiąkają, że wilgoć pod dotknięciem ręki się wyczuwa.

Wianek sadów i gajów, drzew owocowych, szczególniej czarnych czereśni, jabłek i śliwek, ze wszystkich stron otacza Kazimierz. Cała okolica to jeden ogród. Stąd też rok rocznie galary ładowne owocem płyną do Warszawy. Dzikich malin, poziomek moc nieprzebrana, a w sierpniu od berberysu aż czerwienieją wzgórza. Prawdziwe tu królestwo owoców.

Cudne położenie, względna taniość produktów, świeże, przesycone zapachem bujnej roślinności powietrze, kąpiele wiślane, ściągają do Kazimierza rok rocznie coraz liczniejsze gromady tak zwanych „letników,“ przybywają porządne domki i gdy samo miasteczko upada, skraje jego rozrastają się coraz dalej.

Lud w okolicach Kazimierza pobożny, wesoły, uczciwy, a ulubiona w całej guberni lubelskiej piosenka z ust mu prawie przy pracy nie schodzi:

„Idzie żołnierz borem, lasem
Przymierając głodu czasem.
Soli, chleba nie żałować,
Trza żołnierza poratować.“

Echo niesie słowa za góry, za lasy, ludzie je powtarzają i piosenka kraj cały obiega.

Cudne jest miejscami nasze Powiśle; cudną jest dolina Ojcowa i różne zakątki guberni kieleckiej, majestatyczne góry Świętokrzyskie, ale czyż wszyscy o tych skarbach wiemy, czy wszyscy je znamy?

O! te skarby, te obrazy
I natury i swobody
Chwytaj, pókiś jeszcze młody,
Póki w sercu jeszcze rano!
Bo nie wrócą ci dwa razy,
A schwytane pozostaną... (*W. Pol*).

Nałęczów.

I znowu jary, skały wapienne, wzgórza, doliny a wśród tego roślinność świeża, bujna, wonna — oto widoki przesuwające się naprzemian oczom podróżnika, jadącego z Kazimierza do Nałęczowa! A jeżeli odbywa swą podróż na wiosnę, gdy dzikie czerechy i głogi obsypane są kwieciem, a podszycie liściastych lasów mieni szmaragdową iście zielenią, to się chce aż piersiom oddychać, a oczom patrzeć i patrzeć. Tutaj z pod malin, jeżyn i głogu wysuwa się głaz wapienny, jak



Kurhaus w Nałęczowie.

gdyby chciał się oswobodzić z oplatających go uścisków gałęzi i łodyg, tam znowu powojniki pną się po rozmajonym dębie, owdzie w jarze bieli się kwiecie czereśni i wonie rozsiewa. Nierówności powierzchni, liczne jej wypukłości i zagłębienia dodają okolicy uroku, a wśród wzgórz i dolin liczne strumyki szemrzą i wiją się malowniczo srebrzystemi wstęgami, użyzniając ziemię i przyczyniając się wielce, że zakątek ten wygląda, jak istny zielnik Boży.

W tem otoczeniu pełnem uroku, owiany balsamicznem powietrzem podróżny czuje, że to miejsce zdrowe i rzeczywi-

ście po zdrowie ludzie do Nałęczowa jeżdżą i często ten najdrogocenniejszy skarb tam odnajdują. A do pokrzepienia sił licznych gości nałęczowskich przyczynia się nietylko świeże powietrze, ale i woda mineralna z dwóch zdrojów, odkrytych w bieżącem stuleciu. Przed dwudziestu laty kilku lekarzy nabyło dawny pałac, park i otaczające go kawałki gruntu i założyli zakład leczniczy, w którym leczą zimną wodą. Pałac ten jest ozdobą Nałęczowa. Wzniesiony on został przez możną rodzinę Małachowskich, którzy miejscowość nazwali od swego herbu „Nałęcz.“ Widać, że pochodzi on z dawnych czasów



Część parku w Nałęczowie.

lecz odświeżony i utrzymany starannie, nie chyli się bynajmniej ku upadkowi. Park, otaczający pałac, jest pięknie zadrzewiony i rozciąga się w kotlinie pomiędzy wzgórzami.

W najbliższem sąsiedztwie Nałęczowa leży Wojciechów z starodawną wieżą aryańską [1]).

Ze stacyi „Nałęczów,“ położonej o pół mili od zakładu, pojechać można koleją Nadwiślańską do Lublina.

---

[1]) Aryanie byli to heretycy, którzy nie wierzyli w Trójcę Świętą.

Lublin.

Główne to miasto guberni lubelskiej pięknie jest także położone. Od północo-zachodniej strony otacza go dalsze pasmo owych malowniczych wzgórz, a od południa i wschodu rozciągają się bujne łąki, wśród których krętym biegiem snuje się Bystrzyca, biorąca w siebie dwa strumienie: Czechówkę i Czerniejówkę.

Może dla tego pięknego położenia ktoś już bardzo dawno miejsce to „polubił" i na niem osadę założył, dając jej nazwę Lublina. Tak przynajmniej głosi podanie.



Lublin.

Miasto to bardzo, bardzo stare. Już za Mieczysława I-go został tu wzniesiony kościół św. Mikołaja; jest to jedna z pierwszych świątyń chrześcijańskich na ziemi polskiej. Za Bolesława Chrobrego miał już Lublin obronny zamek.

O gród ten dobijali się i książęta haliccy i Jadźwingowie i Litwini, a Mongołowie spustoszyli go razy kilka. Od Władysława Łokietka, należał już Lublin do Polski, a pracę rozpoczętą przez ojca około podniesienia miasta dokończył syn Łokietka, Kazimierz Wielki. Uposażony i obwarowany Lublin, ozdobiony pięknym zamkiem, zaczął należeć odtąd do najpierwszych miast w kraju.

Za Zygmunta Augusta, odbywały się tu sejmy. Tu odbyła się także r. 1569 znana w dziejach Unia Lubelska.

Dzisiaj Lublin jest miastem gubernialnem i należy do najpiękniejszych w Królestwie Polskiem. Od czasu przeprowadzenia kolei Nadwiślańskiej, ruch handlowy bardzo się tam zwiększył i miasto z każdym rokiem coraz bardziej się podnosi. Niektóre ulice są pięknie zabudowane, nowe dzielnice miasta i nowe okazałe domy przybywają, obok których istnieją jeszcze, zwłaszcza na Starem Mieście, dawne kamienice



Zamek w Lublinie.

i gmachy. Brama Krakowska z wieżą na 180 stóp wysoką, jest okazałym budynkiem XIV-go wieku. Piękne są także bramy: Grodzka, Rybna i najwyższa ze wszystkich brama Jezuicka. Wśród rynku stoi dawny ratusz, w którym od Stefana Batorego odbywały się najwyższe sądy, czyli tak zwane trybunały koronne dla Małopolski. Służyła do owych sądów wielka sala (dziś na kilka sal podzielona), ozdobiona herbami województw i portretami królów. O sali tej i odbywających się w niej trybunałach istnieją rozmaite podania (jedno z nich niżej przytaczamy), gdyż niezawsze tu sprawiedliwe wyda-

wano wyroki. Sędziowie stali się przedajni; zamiast rozpatrywać sumiennie jaką sprawę, wyprawiali bankiety i bawili się w najlepsze, a sprawy leżały odłogiem. To też z tej przyczyny powstało nawet przysłowie: „Nierząd — jak w trybunale."

W ratuszu tym zakończył życie wspomniany już poeta Jan Kochanowski r. 1584.



Kościół na zamku w Lublinie.

Kościołów liczył Lublin dawniej trzydzieści; kilka pomiędzy nimi odznacza się piękną budową i wewnątrz bogactwem.

Kościół katedralny, okazały i obszerny, posiada piękną kaplicę ukrzyżowanego Chrystusa. Zakrystya w tym kościele na szczególną uwagę zasługuje. Jest ona tak zbudowana, iż słowa, najciszej w jednym kącie wyszeptane, słychać wyraźnie w kącie przeciwległym.

Do najokazalszych miasta budowli należy kościół Dominikański, w którym przechowują przywieziony z Kijowa kawałek drzewa z krzyża Chrystusowego. Istnieje tu podanie podobne do świętokrzyskiego. Za Jagiełły, relikwię tę przewieźć chciano z Kijowa do Krakowa, lecz kiedy konie, wiozące świętość, w Lublinie przed kościołem Dominikanów stanęły i dalej ruszyć nie chciały, złożono ową pamiątkę w tym kościele.

Z ulic Lublina najpiękniejsze Krakowskie Przedmieście, ozdobione wielu pięknymi gmachami.

Miasto posiada duży ogród publiczny, ładne spacery poza obrębem miasta, a na polu za przedmieściem Czwartek, wznosi się dwadzieścia wielkich mogił. Nie wiadomo, kiedy one powstały; prawdopodobnie w czasie wojen szwedzkich.

Pod Lublinem jest wieś Sławinek z kąpielami żelaz-



Brama krakowska w Lublinie.

nemi. Woda ta ma prawie takie same własności, jak źródła nałęczowskie, ale do Sławinka mniej osób jeździ na kuracyę i nie jest on ani tak pięknie położony, ani tak dobrze urządzony, jak Nałęczów.

Trybunał lubelski.

Prawowała się jednego razu uboga wdowa z bogaczem, który jej niesłusznym sposobem wydarł był cały majątek. Że

wdowie stała się krzywda, o tem sędziowie wiedzieli, ale bogacz sypnął złotem i sprawę wygrał. Gdy ten wyrok trybunału publicznie ogłoszono w izbie sądowej, biedna wdowa zrazu nie chciała wierzyć własnym uszom, a gdy jej jeszcze raz powtórzono, że sprawę przegrała, uniesiona gniewem i boleścią, na głos wyrzekła te słowa: „Żeby mnie dyabli byli sądzili, sprawiedliwszy wydaliby byli wyrok.“

Sroga to była dla panów sędziów obraza i według prawa mogli byli biedną kobietę surowo za to ukarać; ale — mając sumienie nieczyste, udali, że nie słyszeli obelgi i czemprędzej odeszli do domów.



Magistrat w Lublinie.

Zostali tylko na miejscu pisarze sądowi.

Wtem na ulicy słychać straszny hałas, zajeżdża mnóstwo karet przed trybunał i wysiadają jacyś panowie dziwnie wystrojeni, bo to niby w paradnych sukniach, jakie były w owych czasach w używaniu, a z rożkami i długimi ogonami, które im wystawały z pod kapeluszy i sukien. A wszyscy walą po schodach na górę, do izby sądowej. Przyszedłszy tam, zajmują sędziowskie krzesła i rozpierają się w nich.

Pisarze potruchleli ze strachu.

Wtem dyabeł, siedzący na pierwszem miejscu, wprowadził sprawę biednej wdowy. Natychmiast wystąpiło dwóch szatanów, nibyto adwokatów; jeden obstawał za biedną wdową, drugi za bogaczem, a wszyscy inni, w krzesłach siedzący,

słuchali z wielką powagą. Skoro obydwaj skończyli, poczęła się reszta między sobą naradzać. Nakoniec prezydujący przywołał jednego z prawdziwych pisarzów, kazał mu usiąść za stołem i wziąć pióro do ręki. Biedny człowieczyna, dygocąc na całem ciele i prawie na pół umarły z bojaźni, ledwo się przywlókł do stołu. Usiadłszy na wskazanem miejscu, zaczął pisać wyrok słowo po słowie, jak mu dyabeł dyktował. I pokazało się z tego wyroku, że nie bogacz, ale pokrzywdzona wdowa miała słuszność.



Katedra w Lublinie.



Kościół Karmelitów w Lublinie.

Wtedy to, wiszący na ścianie ukrzyżowany Pan Jezus, widząc, że czarni okazali się sprawiedliwszymi, niż sędziowie trybunału, ze zgrozy twarz zasmuconą odwrócił.

Gdy wyrok dyabli podpisali, złożyli go na stole sądowym, potem w jednej chwili zniknęli.

Pisarze, którzy na to zdarzenie własnemi oczyma patrzyli, ochłonąwszy nieco z przestrachu, uciekli z sali i po całem mieście opowiadali, co się stało.

Dopiero nazajutrz, gdy sędziowie zebrali się w trybunale,



Kościół na Czwartku w Lublinie.

ujrzeli na stole ów wyrok szatański, oraz na ścianie Chrystusa z odwróconą twarzą.

Krzyż ten do dziś dnia w jednej z sal dawnego trybunału pokazują.

. . . .

Dwie mile za Lublinem leży wieś *Babin*. Dzisiaj niema tam nic w niej szczególnego, tyle — że obszerna i ludna, ale w XVI-ym wieku, kiedy właścicielem jej był Stanisław Pszonka, obywatel bardzo rozumny i dowcipny, wiedziano o Babi-

nie w całej Polsce. Ów pan Pszonka z pomocą swego przyjaciela Piotra Kaszowskiego, człowieka także sprytnego i bardzo wesołego humoru, założył w Babinie rzeczpospolitą, posiadającą króla, senat i wszelkich urzędników. I tak, jeżeli kto był tchórzem, robiono go hetmanem, nieumiejący pisać — pisarzem, pijak — piwniczym; radzący niestowne lekarstwo — doktorem. Jednem słowem, każdy podług znamionującej go wady otrzymywał urząd, a dyplom na to urzędowanie wydawany był na piśmie. Zabawka ta wymyślona została dla wyrugowania złych nałogów; nie była ona zaprawiona złośliwym jadem, ale prawdziwym hu-





Lublinianie.

morem, to też dyplomy babińskie rozchodziły się po całej Polsce i nikt się o nie nie obrażał.

Rzeczpospolita babińska przetrwała do czasów Jana Sobieskiego.



Lublinianie.

Na wyniosłym brzegu Wieprza, przy ujściu Jagielnicy, w powiecie lubartowskim, leży miasto *Łęczna*. Niegdyś było ono sławne jarmarkami na woły, konie i różne towary. Przybywali na te jarmarki i kupcy ze wschodu i targ był tak wielki, że obrót jarmarczny rachowali na 800,000 rubli. Obecnie dwa walne jarmarki odbywają się na Boże Ciało i dnia 2 września, lecz nie mają już one tego charakteru, co dawniej.

Zamość.

Nad Topornicą i Łabuńką, okolony także wiankiem wzgórz zielonych, leży obronny, niegdyś Zamość, którego

świetne czasy należą dzisiaj już do przeszłości. Świetność ta nie trwała długo, bo miasto to nie stare. Dópiero trzysta lat temu zaczął się Zamość wznosić, dzięki staraniom wielkiego kanclerza i hetmana Jana Zamoyskiego. Ów zasłużony doradca Batorego chciał Zamość uczynić główną rodu swego siedzibą; wystawiwszy więc nad Topornicą kościół i zamek, wydał *przywilej lokacyjny*, mocą którego wszyscy mieszkańcy Zamościa przez 25 lat od wszelkich podatków uwolnieni zostali, a wieczyście od wszelkich robocizn miejskich.



Zamość.



Kollegiata w Zamościu.

Takie przyobiecane swobody podobały się ludziom: to też zewsząd przybywali tam osadnicy. W krótkim czasie miasto miało kilka tysięcy ludności i zabudowywało się pięknie. Wspaniałe świątynie Pańskie, ratusz z wieżycą, piętrowe domy, bogate sklepy, proste, szerokie ulice zdobiły Za-

mość, a przedewszystkiem oczy na siebie zwracał piękny zamek założyciela z trzema wieżami, zbudowany w stylu włoskim i otoczony warownym murem, bramami i szańcami.

Zamoyski, człowiek rozumny i wielki miłośnik nauk, chciał, aby miasto stało się także ogniskiem oświaty; ufundował więc w Zamościu r. 1599 akademię czyli uniwersytet, a przy tej najwyższej szkole założył drukarnię dla wytłaczania dzieł ważnych i pożytecznych. Do akademii sprowadził uczonych profesorów; między innymi dwaj poeci polscy: Szymon Szymonowicz i Sebastyan Klonowicz, byli tam nauczycielami. Szymonowicz ma nawet w kościele farnym w Zamościu nagrobek. W tym kościele spoczywają też zwłoki Jana Zamoyskiego, oraz innych członków jego rodu. Groby te znajdują się w podziemiach, ponad któremi jest piękna kaplica „Zamoyskich.“

Rozkwit Zamościa trwał krótko. Różne wojny przyczyniły się do jego upadku. Akademia z końcem zeszłego stulecia zamieniona została na niższą szkołę, a potem całkiem zamknięta.

Dzisiaj miasto nie należy już do rodziny Zamoyskich, jest powiatowem, ma sześć tysięcy ludności, a do niedawnego czasu było twierdzą.

Wesele włościańskie w Zamojszczyźnie.

«Ja jestem chłop ordynacki,
Nie mam chleba, jadam placki»

śpiewają zamożni kmiecie w ordynacyi [1]) Zamoyskich, a ten swój dostatek pokazują najchętniej przy godach weselnych, które się tam obchodzą z całą wystawą.

Gdy sobie już młodzieniec upodoba jaką dzieweczkę, posyła na zwiady swachę, zwaną tam „rajelupą.“ Jeżeli ro-

---

[1]) Ordynacya jest to urządzenie sukcesyi w ten sposób, że tylko jeden z sukcesorów, zwany ordynatem, odziedzicza całe dobra i dzielić ich nie wolno.

dzice panny młodej nie są przeciwni temu związkowi, to wtedy kawaler, wziąwszy butelkę wódki, udaje się sam do nich. Gdy mu panna poda kielich na znak przyjęcia, zwołują sąsiadów i wyprawiają zrękowiny, w przeciwnym razie młodzieniec musi odejść z kwitkiem, to jest z niczem. Po zrękowinach dają na zapowiedzi. W trzecim tygodniu, w sobotę wieczorem, w wilię ślubu, zbierają się druchny w domu oblubienicy, aby uwić „rózgę weselną.“

Zaczynają śpiewać i gałąź śliwową lub gruszkową przybierają w ziele i wstążki. Rózga ta przeznaczona jest dla gospodarza wesela, zwanego „marszałkiem.“

Oprócz marszałka, wybierają jeszcze „starostę wesela,“ oraz „starościny;“ każdej z nich jest obowiązkiem: śpiewać wszelkie obrządowe pieśni i upiec pierog i korowaj weselny. Jest to olbrzymi pszenny bochen chleba, ozdobiony różnymi figlasami z ciasta i umajony rozmarynem i innem zielem.

W dzień ślubu, gdy się już wszyscy zejdą, państwo młodzi klękają przed rodzicami i proszą ich o błogosławieństwo, a marszałek w imieniu państwa młodych przeprasza rodziców w tych słowach: „Mój panie miły ojcze, moja pani miła matko, odpuśćcie mi grzechy moje, winy moje, nieposłuszeństwa moje, bo ja teraz zbieram się do kościoła Bożego, do ślubu wiecznego.“

Potem udają się wszyscy do kościoła. Marszałek z rózgą w ręku, otoczony siedmiu drużbami, konno przewodniczy reszcie drużyny, siedzącej na wozach.

Po ślubie nie jadą do domu, tylko do karczmy. Tam starościny częstują cały orszak weselny przygotowanymi przez siebie pierogami, a karczmarz dostarcza napitku.

Po najedzeniu się starościny pieśnią zachęcają marszałka do tańca:

„Niedbały nasz marszałek, niedbały,
Starościny się za stołem pospały;
A do koła, marszałeńku, do koła,
Niechże będzie drużyneńka wesoła.“

Tym śpiewem zachęcony marszałek zaczyna taniec zwany „Pożonem,“ który każdy przetańczyć musi. Nabawiwszy się w karczmie, jadą do domu i każdy wraca do siebie, a w poniedziałek udają się znowu do rodziców panny młodej i hulają dzień cały. To samo powtarza się we wtorek i inne dni tygodnia; bawią się wesoło cały tydzień i dopiero w sobotę rozchodzą się już na dobre.

Oczepiny panny młodej odbywają się trzeciego dnia po ślubie. Wtedy to, przy odgłosie pieśni, starszy brat ucina jej panieńską kosę, a kobiety kładą na głowę młodej mężatce ogromny czepiec.

Potem następuje „Odbijany.“ Taniec ten musi panna młoda przetańczyć z każdym gościem i każdy po nim według swej możności musi pannę młodą obdarzyć. Nazywa się to „dać na czepek.“

Każdego dnia wieczorem rozkrawają jeden korowaj, czemu towarzyszy śpiew:

„Do naszego korowaja
Trzeba było wody z Dunaja,
Równo, starosto, krajcie,
Żadnego nie omijajcie.“

Dożynki.

Dożynki, zwane inaczej zażynki, wieniec, wieńcowe, okrężne, zachowały się dotąd prawie w całym kraju. Jest to zabawa, należąca się słusznie ludowi za jego pracę około roli, zwłaszcza za jego pot wylany przy żniwach. Dożynki—to więc nagroda za trudy, zabawa, w której nie najweselsi i najpiękniejsi, ale najpilniejsi pierwsze zajmują miejsce.

Kiedy już zboże zostanie zebrane z pola, przodownik i przodownica, t. j. parobek i dziewka, którzy przez całe żniwa szli naprzód na zagonie z sierpem lub kosą, przystrojeni w wieńce z kłosów, jarzębiny, orzechów, z muzyką i śpiew-

kami, w otoczeniu innych dziewcząt i parobków, a nawet starszych kobiet i mężczyzn, idą gromadnie pod dom właściciela sprzątniętego pola. Wieńce te przybrane są wstążeczkami, złotkiem, czyli szychem i mają najczęściej kształt koron piramidalnych.

Przewodnik kładzie swój wieniec na głowę pani, przodownica panu, a po tej ceremonii zaczyna się uczta. Piją wódkę, piwo, miód, które państwo dawać zwykli, jedzą chleb, ser, kiełbasę, jabłka i gruszki. Po poczęstunku zaczynają się tańce na murawie. Skrzypek wiejski raźno zaczyna smyczkiem wywijać, a basista mu odpowiada: du, du, du. Wtedy już radość ogromna wszystkich. Tańczą młodzi, starzy, dzieci — i pan i pani, choćby już i z posiwiałym włosem, muszą przynajmniej jednego oberka z przodownikami wykręcić. Tańce przeplatane są ciągle wesołemi śpiewkami, a w nich przebija nieraz szczera wesołość i dużo dowcipu.

Umieją dociąć żartobliwie i ekonomowi i włodarzowi za napędzanie do pracy; państwo, panienki, panicze zwykle bywają chwaleni i wysławiani.

Każda okolica kraju ma swoje pieśni dożynkowe; posłuchajmy kilku piosenek z gubernii lubelskiej:

Kiedy orszak żeńców pośpiesza ku dworowi, zdala już słychać śpiew:

„Wokoło jeno, wokoło,
Kej było zyto, tam goło.
A pótyśwa się krązyli,
Żeśmy zyta dozęli.
Dozęłać go dziewecka,
Za jasnego słonecka:
Dozął go i młodzieniec
Będziemy wam wić wieniec.“

A potem zbliżywszy się do dworu:

„Myśmy wianek uwili,
Będziemy gorzałkę pili.

Spraw nam, panie, okrężne,
Niesiem dary potężne."

Gdy przodownica wchodzi z wiankiem na ganek, inni śpiewają:

„Otwórzcie nam, otwórzcie dwór,
Wieziewa z pola wszystek zbiór;
Otwórzcie nam ganecek
Wieziewa z pola wianecek."

Po oddaniu wieńca przez przodownicę, gromada śpiewa:

„Wiele na niebie gwiazdecek
Tyla na polu kupecek,
Weźże se, panie, książecki,
Pozapisuj kupecki,
Pozapisuj i kopy
Weźże se je do sopy (szopy).

A oto wesoła piosenka, pełna pochwał, przymówek i docinków:

„A nasz paneńko dobry był,
Zebrał pszeniczkę, nas nie bił.
A pan sąsiedni leniwy,
Stoi pszeniczki dwie niwy.
A nasz ekonom, jak osa,
Wyrznął pszeniczkę do kłosa.
A włodarz stoi w kłopocie,
Zawiesił batog na płocie.
Przede dworem wielka burza,
Nasza pani, gdyby róża.
Przede dworem wielkie błoto,
Nasza pani kieby złoto.
A zarznijcie nam barana,
Bośmy se potłukli kolana.
A zarznijcie nam indyka
I niech nam zagra muzyka...

Tańce na murawie trwają zwykle do północy; na dokończenie zabawy jedzie gromada do karczmy, a na dalszy poczęstunek państwo wręczają przodownikom pieniądze, o czem przypominają w takiej piosneczce:

Chodzi paneńko po sieni,
Nosi rączęta w kieszeni,
Po talareńku wyjmuje
I żniwiareńkom daruje.
Oj! chodzi pani po sieni,
Trzyma już rączki w kieszeni
Oj! i pieniążki rachuje
Nam za wianeczek dziękuje.

Hrubieszowszczyzna.

Z powiatem zamoyskim graniczy powiat hrubieszowski. Błogosławiony to zakątek owa hrubieszowszczyzna! Łany pszeniczne w niej falują, bo czarnoziem tamtejszy to grunt bardzo żyzny.

W promieniu siedmiomilowym około miasta Hrubieszowa niema ani jednego kamienia, stąd na wiosnę i w jesieni błoto nie do przebycia; w upały ściera się ono na pył miałki, unoszący się w powietrzu. W samym Hrubieszowie dla ułatwienia komunikacyi pieszej w czasie roztopów, położono rodzaj chodników drewnianych, a raczej pomostów około domów, ale za to środkiem ulicy można grzęznąć choćby po kolana! Z przyczyny owego błota istnieje w Hrubieszowie gadka, jakoby w rynku miał razu jednego na wiosnę utopić się żyd z koniem i wozem!

Miasto leży w dolinie Huczny [1]). Musiało ono dawniej być zamożne, skoro w r. 1411 odbył się tu zjazd Jagiełły, Witolda i posłów Zygmunta Luksemburskiego. W późniejszych

[1]) Poboczna Buga.

czasach utworzono z dóbr hrubieszowskich starostwo. Przy końcu zeszłego stulecia nabył starostwo to Stanisław Staszyc, który, wiedziony szlachetną myślą uchylenia poddaństwa, całe dobra swoje zapisał na korzyść mieszczan i włościan hrubieszowskich i zawiązał jednocześnie Towarzystwo rolnicze hrubieszowskie, w celu doskonalenia rolnictwa i przemysłu. Instytucya ta jest chlubnem świadectwem rozumu i szlachetnych zamiarów Staszyca.

Grunta, przez włościan posiadane, oddane im były na własność, z niewielką czynszu opłatą, grunta zaś dworskie podzielił na małe kolonie. Dochody z tych kolonii i czynszów składane być miały w kasie Towarzystwa, a z niej czerpano w razie pożaru, choroby, nieszczęścia lub na wyższe kształcenie dzieci osadników, jeżeli się jaki większy talent pojawił. We wszystkich wioskach Hrubieszowszczyzny założył Staszyc szkółki elementarne, a w samym Hrubieszowie wyższą szkołę powiatową. W urządzeniu pięknej tej instytucyi dopomagał Staszycowi przyjaciel jego, Józef Grothus.

Z Hrubieszowa prowadzi w stronie północnej droga bita do Chełma, którego okolice obfitują w kopalnie kredy.

Sitarze w Biłgoraju.

Nietylko w Królestwie Polskiem, ale i w Cesarstwie, a nawet Galicyi i na Węgrzech, słyną wyroby sitarskie mieszkańców Biłgoraja! W miasteczku tem z dawien dawna trudni się ludność tym przemysłem, a chociaż przemysł ten napozór drobny, jednak opłacający się sowicie, czego najlepszym dowodem zamożność sitarzy. Lud ten, na pół mieszczański, na pół wiejski, mieszka porządnie, ubiera się strojnie, a zwłaszcza kobiety, które odznaczają się przytem urodą i pięknym sposobem wyrażania się. Oto dowód poetyczności języka. Zapytana pewna Biłgorajka o powód smutku, odrzekła: „Utraciłam córeczkę w roku trzecim; miała oczka jak dyamenty, usteczka jak róża, ząbki jak perełki, włoski jak jedwab, płeć jak śnieżek, rozum nad wiek.“

Dziewczęta biłgorajskie noszą włosy splecione w warkocz, zakończony wstążką; kobiety zamężne upinają na głowie bardzo misternie dużą jedwabną chustkę w kwiaty, z której nad czołem uwiązują wielką kokardę. Na białą lub kolorową spódnicę, przykrytą prawie całą perkalowym lub muślinowym fartuchem i cienką koszulę z szeroko wywiniętym kołnierzem, wkładają kaftanik błękitny, wyszywany sznurkami i tasiemkami. Kaftan ten, zowiący się, gdy jest dłuższy, algierką, a gdy krótszy — marysieczką, ma kołnierz, klapy i mankiety białe, wyszywane różową włóczką. Sznury korali, oraz złote i srebrne medale dopełniają stroju.



Sitarz Biłgorajski.

Mężczyźni noszą sukienne granatowe kapoty, które opasują żółtym pasem, a gdy się wybierają z sitami w drogę, kładą na to płaszcz z ogromną peleryną, czasami baranami podszyty. Buty mają do kolan. W zimie okrywają głowę czapką barankową, a latem okrągłą, nizką z granatowego sukna, zwaną „furażerką.“

Domy sitarzy z Biłgoraja są zwykle obrócone do ulicy szczytami, to jest ślepą stroną bez okien. Okna są od podwórza wyłożonego płytami kamiennemi. Dach pokryty gontami. Z boku domu jest płot i brama wjazdowa. W domach tych, bardzo czysto utrzymanych, z jednej strony znajduje się pracownia, gdzie kobiety dniami całymi wyrabiają na

warsztacikach tkaninę włosianą, a z drugiej mieszkanie, złożone z świetlicy i alkierza. Obie te izby zastawione są porządnymi, na żółto pomalowanymi sprzętami, a łóżka są bardzo wysoko pościelą zasłane.

Pożywienie sitarzy nie jest wykwintne, ale lepsze niż zazwyczaj małomiasteczkowej lub wiejskiej ludności. Rano jedzą kapuśniak lub mleko zsiadłe z kartoflami, na obiad zupę z mąki, zwaną „kulaszą,“ kapustę, kluski, groch. W niedzielę gotują lub pieką pierogi z serem, jajami, kapustą. Mięso jedzą rzadko, ale nabiał mają obfity i dobry. Niektórzy trzymają po pięć i sześć krów.

Cała prawie ludność Biłgoraja, wynosząca przeszło pięć tysięcy, zajmuje się wyrobem sit. Kobiety tkają włosiane płócienka, a mężczyźni oprawiają je w łuby drewniane i rozwożą po świecie.

Gdy wyjeżdżają sitarze w drogę, krewni i przyjaciele odprowadzają ich za miasteczko pod figurę św. Nepomucena i tam ich żegnają, częstując wódką i arakiem. To się nazywa „Żałosne.“ Gdy wracają, w tem samem miejscu następuje uroczyste powitanie, co nazywają „Radosnem.“

Handel sitami coraz bardziej się wzmaga, a dobrobyt w Biłgoraju wzrasta.

Miasteczko to czyste, porządne, mające ładne położenie. W okolicy pełna uroku jest Solska puszcza z kaplicą Matki Boskiej Różańcowej; o milę od Biłgoraja jest Rożnówka z dawnym pałacem.

Na Podlasiu.

Od *Iwangrodu* (dawnego Dęblina), gdzie Wieprz łączy się z Wisłą, zaczyna się gubernia siedlecka, oddzielona od guberni wołyńskiej, grodzieńskiej i łomżyńskiej Bugiem, szeroką i długą rzeką.

„Wesoły ów żeniec, Bug kłosonośny," jak go nazywa poetka, najwspanialszym jest Wisły dopływem.

Het! tam daleko, w dawnej Rusi Czerwonej, na wschód od Lwowa, stołecznego miasta Galicyi, ma ona swe źródło, a z górą sto mil wartkim przepłynie biegiem, zanim pod Serockiem z Narwią się połączy, a z nią razem do Wisły wleje. Na wiosnę wody jego rosną, huczą, zalewają pobrzeżne pola i łąki, ale zato później, gdy słońce skwarem dopiecze, a lato jest suche, to woda czasem miejscami tak nizka, że jej za mało dla większych statków i żegluga wtedy jest niemożebna. Galary tylko i tratwy, już od granic Galicyi, swobodnie sobie po Bugu płyną, przewożąc płody nadbużańskich okolic.

Od Bugu do Wieprza, aż ku Łęcznie w gubernii lubelskiej, kraina ma charakter bagnisty. Liczne są tam jeziora i trzęsawiska. Nad Liwcem, dopływem Bugu, rozciągają się piękne łąki; zresztą ziemia to płaska, po części piaszczysta, z torfowiskami w kotlinach, mająca jeszcze znaczniejsze obszary lasów. Od tych lasów -- gdy jeszcze ich więcej było — przybrała nawet ziemia ta swą nazwę, bo gubernia siedlecka — to część dawniejszego Podlasia, kraju pokrytego lasami, a skrapianego: Narwią, Biebrzą, Nurcem i Bugiem.

Dawne Podlasie graniczyło z Mazowszem, Litwą i Małopolską, a mianowicie z województwem lubelskiem.

Pierwotnie zamieszkane ono było przez Jadźwingów, plemię, należące do szczepu łotyskiego, pokrewne Litwinom. Jadźwingowie często napadali na Polskę i grabieżą swoją dawali się nieraz we znaki. Po zgnębieniu Jadźwingów--Polacy, Litwini i Krzyżacy rościli sobie do Podlasia pretensyę i stało się ono przyczyną licznych sporów i wojen. Nareszcie r. 1253 papież Inocenty IV-ty przyznał Podlasie (jako ziemię pogańską, którą dowolnie można było rozporządzać) Bolesławowi Wstydliwemu, a ten zaczął tam chrześcijaństwo szerzyć. Później Litwini oderwali część Podlasia i przyłączyli je do księstwa trockiego. Województwo podlaskie ustanowił Zygmunt I-szy Stary.

Dzisiejsi Podlasiane są potomkami dawnych Jadźwingów, oraz Słowian ruskich i Mazurów, osiedlonych na tej ziemi. Lud to ubogi, nieoświecony, mało sprytny i nieprzemyślny. Na piaszczystych gruntach, poprzerzynanych często nieużytkami, prowadzi gospodarkę nieosobliwą; obsiewa pola żytem, gryką i jęczmieniem, a żywi się głównie kartoflami (które zwie bałabony) i kaszą.



Podlasianie.

Ze zwierząt domowych hodowla prostych owiec najwięcej tam rozwinięta. Owca ta odziewa Podlasiaka: dostarcza mu wełny na sukmany i skóry na kożuchy, a że runo jej bure, to też i sukmany Podlasian takiej są barwy. Sukmana ma kołnierz i mankiety czerwone i tego koloru lamowana jest sznurkiem, a krój jej równy dla mężczyzn i kobiet. Sukmany są długie, to też w zimie, gdy baba wdzieje buty, a płótniankę podegnie, zdaleka tylko po chustce na głowie płeć jej rozróżnić można. Chłop nosi latem kapelusz słomiany, od jesieni wdziewa czapkę barankową, z pod której wysuwają się długie, smarowane tłustością włosy. Nad czołem strzygą tak kobiety, jak mężczyźni prostą grzywę. Odzież uzupełnia płótno domowej roboty, z którego mężczyźni no-

szą spodnie i koszulę na wierzchu, przepasaną „skórniakiem,“ a kobiety koszule, spódnicę i płachtę. Fartuch czyli zapaska jest także z płótna, przerabiany bawełną granatową lub bronzową i dlatego zowie się „burek.“ Wieśniaczka zamężna na Podlasiu (powiat łukowski i radzyński), jeżeli chce uchodzić za dobrą gospodynią, musi nawet do świątecznego stroju zarzucić na ramiona płachtę, w którą kładzie zapasy żywności, lub kupione sprawunki. W płachcie tej nosi także niemowlę; w polu przy pracy zawiesza ją na kołkach i robi z niej dla dziecięcia nadpowietrzną kołyskę. A żnąc sierpem marne żyto, grabiąc siano, lub kopiąc kartofle, przyśpiewuje zdaleka synaczkowi ładną kołysankę:

„Oj! kołysz się, kołysz,
Kolebeczko lipowa,
Niech cię, mój Jasieńku,
Pan Jezus uchowa.

Oj! kołysz się, kołysz
Od ściany do ściany,
Oj! uśnijże mi, uśnij,
Mój kwiateczku kochany!“

Młode mężatki i dziewczęta ubierają się jaskrawiej. Zamiast białych płótnianek domowej roboty, noszą spódnice perkalowe „kupcze,“ to znaczy z kupionego materyału i różnej barwy kamlotowe gorsety, a na szyi paciorki i szkaplerze.

Wioski podlaskie niezbyt ponętne: sadów mało, chaty w ziemię zapadłe, słomą kryte; przed chatami gnojówki, kałuże, w których swobodnie gospodaruje nierogacizna, a wewnątrz chaty niewiele ubogich sprzętów. U bogatszych gospodarzy jest już większy dobrobyt, w izbach porządniej, a w ogródkach pomiędzy malwami i georginiami pszczoły brzęczą, bo do pszczelnictwa mają wogóle Podlasianie dużo zamiłowania.

Lud podlaski, jako sąsiadujący z Litwinami, odrębne ma już niektóre zwyczaje, a niejedne jeszcze pogańskich czasów sięgają. I tak w dzień Zaduszny znoszą gospodynie w niektórych okolicach do kościoła na ofiarę: mąkę, krupy, groch, chleb. Zabytek to jeszcze niezawodnie z tych czasów, kiedy nasi pogańscy praojcowie umarłym w pewne dni roku wyprawiali po cmentarzach uczty, nazywane: „Dziadami“. Panna młoda, idąc do ślubu, każdą spotkaną osobę musi podjąć za nogi i prosić o błogosławieńswo. Gdy nieboszczyka wiozą na cmentarz, to na trumnę kładą kawał nowego płótna i bochenek chleba. Są to dary dla organisty i kopacza.

W północnej stronie, za Sterdyniem i Kosowem już ku gubernii łomżyńskiej, istnieje ładna zabawa wiosenna, tak zwany:

Obchód z królewną.

Podczas Zielonych Świątek dziewczęta całej wioski wybierają ze swego grona jedną z młodszych na królewnę, oraz sześć do ośmiu starszych dziewcząt na jej marszałków.

Ubieranie królewny rozpoczynają śpiewem:

„Marszałkowie wstawajcie,
Królewnę ubierajcie.“

Królewnę ubierają w jasną, zwykle różową sukienkę, przepasują wstążką, a na głowę jej kładą koronę z barwinku i ruty; na twarz spuszczają chustkę, aby oblicza królewny nikt nie widział. Dziewczęta, które są marszałkami, przywdziewają białe spódnice, ciemne kapoty i czapki mężczyn, przepasują się czerwonymi pasami, a czapki swoje ubierają we wstążki i rutę. Orszak, złożony z samych dziewcząt, otacza królewnę i obchodzi z nią granice pól wioski.

Podczas tego obchodu śpiewają:

„Gdzie królewna chodzi,
Tam pszeniczka rodzi.“

Do chłopców, podbiegających na drodze, aby zobaczyć królewnę, śpiewają żartobliwie:

„Ja myślałam, żeś ty panicz,
Kazałam ci kura zabić.
A ja widzę, żeś ty rura,
Pożal, Boże, mego kura!“

Chłopcy miejscowi, zebrani wszyscy razem, wziąwszy flaszkę miodu i skrzypce, wychodzą z muzyką na powitanie królewny, aby spotkać jej orszak dziewiczy gdzie na smugu. Tam zwykle następują tańce i zabawa.

Powróciwszy do wioski, cały orszak idzie do którego z bogatych gospodarzy i przed domem śpiewa:

„Hej, z przed sieni, z przed sieni,
Żyteńko się zieleni!
Dać królewnie myto,
Niechaj wyżnie żyto.“

Gospodarz wychodzi powitać orszak królewny i gościnnie zaprasza do stodoły na biesiadę. Tutaj wnoszą stół i na położonej na nim poduszce sadzają królewnę, której dopiero wtedy zdejmują zasłonę.

Gospodarz daje pierwszy poczęstunek; potem chłopcy przynoszą miód we flaszkach, a dziewczęta od matek swoich zakąski. Wesoła uczta i tańce w stodole kończą ten starodawny obchód.

. . . .

Charakterystyczną cechą Podlasia jest jeszcze i to, że niektóre wioski są całe zamieszkane przez zagonową szlachtę. Nie różni się ona ani oświatą, ani ogładą, ani dobrobytem od nieherbowej siermiężnej braci, ale jednak o swem szlachectwie pamięta, związkami małżeńskimi łączy się pomiędzy sobą lub też z rolnymi mieszczanami sąsiednich osad i miaste-

czek, lecz nigdy z kmieciami, nieposiadającymi szlacheckiego klejnotu.

A teraz zapoznajmy się z najważniejszemi miastami gubernii. Większych miast niema w niej zupełne. Gubernialne *Siedlce* należały dawniej do książąt Ogińskich, — w ten dom wniosła je w posagu księżniczka Aleksandra Czartoryska. Zbudowała ona tu kościół, ratusz, wspaniały pałac, który otoczyła pięknymi ogrodami. W pałacu Ogińskich mieści się obecnie gimnazyum; w ogrodzie jest kaplica, w której spoczywają zwłoki księżnej.



Kaplica fundacyi hetmanowej Ogińskiej.

Z Siedlec możemy pojechać koleją warszawsko-terespolską do *Łukowa*. Jest to może najstarsze miasto w tych stronach. Już w XIII-ym wieku był Łuków ważnym punktem na pograniczu Polski, Litwy i kraju Jadźwingów. Pod Łukowem, za Bolesława Wstydliwego, Jadźwingowie zostali ze szczętem pobici i nieomal wytępieni.

W XVIII-ym wieku Łuków słynął szkołą Pijarów; uczniem tej szkoły był uczony naturalista Kluk [1]).

Z Łukowa przyjeżdżamy do *Międzyrzecza*, dawnej osady z pięknym pałacem.

Potem zatrzymujemy się w *Białej*, zwanej dawniej Radziwiłłowską, Książęcą, a po łacinie: „Alba ducalis,“ [2]) położo-

---

[1]) Kluk żył w XVIII-ym wieku. [2]) «Alba» znaczy biała— «ducalis» książęca.

nej nad rzeczką Krzną. Dzisiaj jest to zwyczajne miasteczko powiatowe, ważne tem głównie, że tam jest stacya dla bydła stepowego ukraińskiego, przywożonego z gubernii południowych Cesarstwa do Warszawy.

Ale w zeszłem stuleciu inne w Białej wrzało życie. Za czasów saskich mieszkali tu stale możni Radziwiłłowie, a dwór ich był siedliskiem zabaw i przepychu. Najhuczniej i najludniej było w Białej za życia księcia Radziwiłła, zwanego „Panie Kochanku“ (gdyż on wszystkich tak tytułował). Był to magnat ambitny, lubiący splendor, ale hojny i przystępny dla ubogiej szlachty, która go też tłumnie otaczała. Znani byli w całej Polsce rębacze księcia Radziwiłła; zwano ich Albańczykami [1]), a książę, otoczony licznym dworem i hufcami wojska swego, iście królewskie pędził życie we wspaniałym bialskim zamku, wystawionym jeszcze w XVI-ym wieku przez księcia Radziwiłła Sierotkę. Dokoła zamku wznosiły się wyniosłe wały i rowy obronne.



Kościół parafialny w Białej.

---

[1]) Także tak zwani od Alby, letniej rezydencyi ks. Radziwiłła pod Nieświeżem na Litwie.

Świetność Białej przeminęła, jak wszystko na świecie! Jako jedyny pomnik przeszłości wznosi się wieża zamkowa, wysoka na sto stóp, dotąd nienaruszona.

W Białej urodził się historyk polski, Julian Bartoszewicz, a do szkoły uczęszczał powieściopisarz Józef Ignacy Kraszewski.

Nad Bugiem, naprzeciw *Brześcia litewskiego* leży *Terespol,* tak nazwany ku uczczeniu Teresy Słuszkowej, fundatorki miejscowego kościoła.

Od *Terespola*, zmierzając ku zachodowi, końmi możemy dojechać do *Janowa podlaskiego,* dawnej rezydencyi biskupiej. Tu był biskupem, mieszkał, umarł i pochowany został historyk Adam Naruszewicz [1]), człowiek mądry, zacny i bogobojny. Oprócz Historyi Polski, pisał on jeszcze bajki i satyry, w których wykazywał wady społeczeństwa i chciał tym sposobem wpłynąć na jego poprawę.

W północnej stronie gubernii można wymienić *Węgrów*, znany z wyrobów koronczarskich tamtejszych kobiet, oraz *Sokołów,* od którego się zaczyna urodzajniejsza gleba, zdatna pod uprawę buraków cukrowych, to też w okolicy znajduje się cukrownia Elżbietów.

W garwolińskim powiecie, bliżej Wisły, jest wielka huta szklana *Czechy,* własność Hordliczków. Zatrudnia ona przeszło 300 robotników, a produkuje rocznie za 140,000 rubli wyrobów szklanych. Tak więc lotny piasek podlaski został w tej stronie dobrze zużytkowany, a wyroby hordliczkowskie doszły do takiej doskonałości, że w niczem nie ustępują wyrobom najpierwszych fabryk zagranicznych.

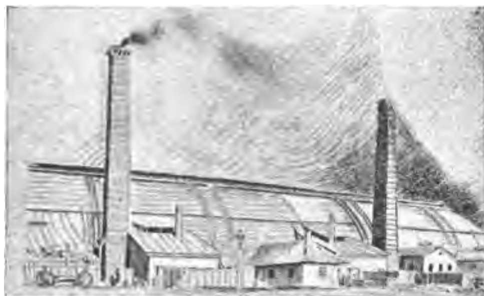
Robotnicy huty mają zabezpieczony byt w razie choroby lub innego nieszczęścia, i organizacya ta robotnicza jest tak wzorową, że zwróciła w Paryżu uwagę Akademii rolniczo-rękodzielniczo-handlowej, która braci Hordliczków mianowała swymi honorowymi członkami.

---

[1]) Żył w końcu XVIII-go stulecia.

W lasach, należących do fabryki, zaprowadzono tak wyborne gospodarstwo leśne, że na długi czas zapewniona jest hucie potrzebna ilość paliwa.

Niedaleko od Czech, bardziej ku południowi, spotykamy osadę *Maciejowice*. Lud okoliczny trudni się tam drobnym przemysłem, wyrabia różne sprzęty drewniane, plecionki ze słomy, tkaniny lniane i wełniane.



Huta szklana w Czechach.



Wnętrze huty szklanej w Czechach.

Zanim opuścimy gubernię siedlecką, wspomnieć jeszcze trzeba położoną nad Wieprzem osadę *Kock*. Kto dziś spojrzy na tę brudną i nędzną żydowską mieścinę, aniby się domyślił, że Kock miał dawniej różne przywileje czyli wyłączne prawa, że zjeżdżali tam biskupi, a nawet królowie. Początkowo był on własnością biskupów płockich, potem możnych Firlejów, od których nabył go Jan Wielopolski, mający za żonę siostrę królowej Maryi Kazimiery Sobieskiej. Następnie dziedziczką Kocka była Anna z Sapiehów księżna Jabłonowska, pani wielkiego rozumu i wielkiej dobroci. Nadała ona swym poddanym rozmaite ulgi, a w pałacu—dotych-

czas zachowanym — ugaszczała nieraz króla Stanisława Poniatowskiego.

Obecny dziedzic Kocka, korzystając w swych dobrach z licznych stawów, zaprowadził w nich wzorowe gospodarstwo rybne; takież samo zobaczyć można i w innych niezbyt odległych od Kocka większych majątkach, jak: Ryki, Siemień, Przytoczno.

Mazowsze i Mazury.

Piękna nasza ziemia cała,
Piękna, żyzną i niemała
Lecz najmilsze i najzdrowsze
Zawsze człeku jest Mazowsze!

Tak o Mazowszu i Mazurach mówi poeta polski, Wincenty Pol, a treść do tej piosenki wysnuł zapewne z pieśni ludowych, bo każdy Mazur chętnie nuci, czy to przy pracy, czy przy zabawie. Z pieśni tej widzimy, że Mazury są zadowoleni i z siebie i ze swej ziemi, a choć przyznają innym okolicom więcej krasy i więcej bujności, rodzinne Mazowsze kochają nad życie.

Ziemia mazowiecka obejmowała część dzisiejszej gubernii warszawskiej, łomżyńskiej i płockiej. Mazowszem nazywano zatem kraj po obu brzegach Wisły mniej więcej od *Czerska* poniżej Pilicy, aż za Płock, Mławę i Myszeniec. Okolice te nie są ani zbyt piękne, ani zbyt urodzajne. Wszędy równina dość piaszczysta, ale równinę tę szara Wisła skrapia, życie wśród niej krzewiąc i bogactwa przydając.

Mazur jest rosły, krzepki, wesoły i pracowity. Lubi on pieśni wesołe śpiewać i raźne hołubce wybijać w dziarskim tańcu, który stworzył i mianem swem nazwał. Najmilszem jego zajęciem uprawa roli i hodowanie bydła. Nie zadniedbał on jeszcze narodowego swego stroju i od święta przywdziewa

granatową sukmanę z amarantowymi wyłogami, kamizelę z zielonego lub niebieskiego sukna i pas wełniany żółty lub czerwony. Hoża Mazurka stroi się do kościoła w barwną spódnicę, fartuch w paski lub kwiatki, gorset jasny i kaftan granatowy lub zielony.

Mazurzy mówią twardzo; *sz*, *ż*, *cz* wymawiają jak *s*, *z*, *c*, i stąd podobną mowę w całym kraju i poza granicami Mazowsza nazywają „mazurzeniem."



Mazury.

Mazury dawniejszych czasów, chociaż mężni i odważni, do wojny nie garnęli się z ochotą. Woleli oni machać kosą lub cepem, niż orężem władać, a spokojne zatrudnienia gospodarskie przekładali nad ruchliwe życie obozowe. Z tej przyczyny Wielko i Małopolanin drwili sobie zawsze z Mazurów i różne bajki o nich wymyślali. Mówili, że Mazur rodzi się ślepy, jak kot i że dlatego Bożego świata nie ciekawy, a oprócz swoich piasków, niczego więcej nie zna, że skorszy do kija w domu, niż do szabli w bitwie, że woli siedzieć w Czersku [1]) na piwie, w Warce na gorzałce, lub w cha-

[1]) Czersk słynął z wyrobu piwa.

cie kaszę jaglaną zajadać, niż mierzyć się w polu z nieprzyjacielem. Uboga szlachta mazowiecka, siedząca gęsto po zaściankach, odpowiadała śmiałkowi na taką przymówkę kijem i wesołą piosenką, w której chętnie zaznaczała swoje wady i zalety.

I na polu oświaty niejednym się synem Mazowsze poszczycić może. Wszakże to w *Grójcu*, niedaleko Warszawy, przyszedł na świat Piotr Skarga Pawęski [1]), ów mąż świątobliwy i najznakomitszy polski kaznodzieja. Z Mazowsza też pochodził wesoły i dowcipny Pasek, co to za Jana Kazimierza pod Czarnieckim ze Szwedami aż w Danii wojował, a potem powróciwszy z wojenki, zajmujące pamiętniki spisał. Na mazowieckich też piaskach wzrósł ten polskich pieśniarzy skowronek, Teofil Lenartowicz [2]), który poezye swoje układał pod nutę



Mazurzy.

---

[1]) Ur. r. 1536, w Grójcu, um. r. 1612 w Krakowie i tam pochowany w kościele św. Piotra.

[2]) Ur. r. 1822 w Warszawie, um. r. 1894 we Florencyi. Pochowany na Skałce w Krakowie.

pieśni ludowych i nieraz wprost po mazursku przemawiał, jak naprzykład w tym wierszyku:

Mazur ci ja, Mazur,
Z pod Warsiawy rodzic,
Nie żaden pan baran,
Ani wojewodzic.

Capka z fantazyją,
Sukman granatowy,
A w tanecku biją
Iskrami podkowy.

Lenartowicz, jak prawdziwy Mazur, tęsknił serdecznie



Obraz Jana Matejki.

Kazanie Skargi.

do swojej ziemi rodzinnej. Miłość tę do Mazowsza w wielu poezyach wyraził. W jednej z nich mówi:

„Żal mi jeno tej łąki,
Gdzie fijołki i dzwonki,
Żal mi słońca w zachodzie,
Kiedy świeci na wodzie,
I fujarki wierzbowej,
Z nad zielonej dąbrowy.“

A w innej znowu pyta:

„Gdzie mi tak na świecie kto zagra do ucha
Gdzie mi się rozśmieje tak szczerze dziewucha,
Gdzie mi pokażecie naszą chatę lichą,
Taki bór szumiący, taką wodę cichą?
Gdzie tyle dziewanny, tyle w łąkach dzwonków,
Tyle piosenek w polu, w powietrzu skowronków?
Kędy ja usłyszę tyle ptactwa wrzasku,
Skąd mi modrej Wisły i białego piasku?
Oj, cudna to ziemia to nasze Mazowsze!
I czystsza tam woda i powietrze zdrowsze,
I sosny roślejsze i dzieci kraśniejsze
I ludzie mocniejsi i niebo jaśniejsze!“

Lud polski tak wyraża się jędrnie o różnych miejscowościach na Mazowszu. „Czerszczanie pyszni ale rzetelni, Gostynianie gospodarze ale nie żołnierze, Łomżanie przyjaźni ale pijacy, Płocczanie prędzej uderzą niż połają, Rawianie do kufla i do korda, a Warszawianie z sercem otwartem, z otwartemi rękami i kieszeniami.

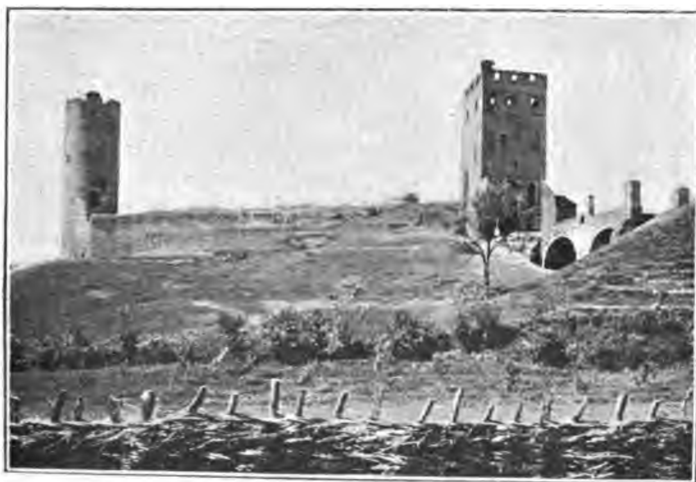
. . . .

Kiedy Bolesław Krzywousty r. 1138 podzielił kraj między swoich synów, Mazowsze dostało się w dziedzictwie Bolesławowi Kędzierzawemu i odtąd stanowiło ono oddzielne księstwo. Po śmierci Leszka, syna Bolesławowego, przeszło pod panowanie Kazimierza Sprawiedliwego, a następnie dostało się młodszemu jego synowi, Konradowi. Odtąd potomkowie Konrada panowali na Mazowszu, które z czasem rozdzieliło się na drobniejsze księstwa, mianowicie: Czerskie, Płockie i Rawskie.

Czersk.

Czersk — dzisiaj uboga osada — jest jednem z najstarożytniejszych miast polskich i dopókąd Warszawa kwitnąć

nie zaczęła, był on siedzibą książąt mazowieckich, którzy się nawet tytułowali „panami Mazowsza i Czerska.“ Założony został podobno przez Bolesława Chrobrego. Z pięknych ruin dawniejszego zamku wnosić można, że musiał on być niegdyś bardzo warownym. Wystawiony na wysokiem wzgórzu, królował całej okolicy w czasie pokoju, a w czasie wojny służył za bezpieczne schronienie dla mieszkańców okolicznych. W zamku tym wspomniany już Konrad, syn Kazimierza Sprawiedliwego, trzymał w więzieniu Henryka Brodatego; bo choć Hen-



Ruiny zamku w Czersku.

ryk był Piastem śląskim, a więc krewnym księcia mazowieckiego, podejrzliwy Konrad nie uważał na związki rodzinne, gdy mu chodziło o przeprowadzenie swoich celów. Ażeby uwolnić Henryka, zjechała do Czerska żona jego, św. Jadwiga, i poważnionych krewnych pogodziła.

Syn Konrada, chcąc uchronić swą rodzinę i skarby od napaści Jadźwingów, przeniósł siedzibę z Płocka do Czerska. Gród wzrastał: stanęły w nim dwa piękne kościoły, dobrobyt się mnożył, a gdy w późniejszych czasach Czersk musiał ustąpić

pierwszeństwa Warszawie, był jednak zawsze siedzibą książąt mazowieckich.

Po wcieleniu Mazowsza do Korony, Czersk dostał się



Wieża zamku w Czersku.

także królowej Bonie, która czas niejaki mieszkała w zamku i przyozdobiła go wspaniale i założyła słynną w swoim czasie winnicę. Czersk budził wówczas podziw u współczesnych; zachwycano się najbardziej pięknymi ogrodami, otaczającymi

zamek. Zwoje złotego winogradu pokrywały całą górę, a na jej wierzchołku widniały zdaleka wspaniałe baszty zamkowe.

Czersk uległ zniszczeniu za czasów wojny szwedzkiej. Gdy Stefan Czarniecki pobił Szwedów pod Warką, zwyciężeni w ucieczce szukali schronienia w Czersku, a opuszczając go, spalili zamek, kościół i część miasta.

Starożytna siedziba książąt mazowieckich nie dźwignęła się już więcej, bujne winnice i piękne ogrody królowej Bony, zniknęły bez śladu, ale zwaliska zamku stoją dotąd puste, ciche i poważne, swym ogromem i trwałością świadcząc o dawnej wielkości i potędze.

Na zrębach baszty chwieją się krzewy jakieś kwieciem osypane, ze szczelin murów zieleń się sypie. Wśród ruin młode życie powstaje. To sprawa wiatru. Naznosił swawolnik przeróżnych nasion, a one pozaczepiały się gdzie mogły, zapuściły korzonki i wyrosły w rośliny i nikłem kwieciem zakwitły.

U stóp wzgórza błyszczy w słońcu tafla jeziora niby olbrzymie zwierciadło, oprawne w aksamit łąk zielonych.

Głęboka toń odbija w sobie poszarpane mury, basztę wyniosłą, gaiki drzew i krzewów, tworząc obraz smutny i posępny. Nazwa tego obrazu „Morituri.“

Prawie trzy wiorsty drogi dzielą Czersk od *Góry Kalwaryi.* Miasteczko to nie ma szczęścia i mimo dość sprzyjających warunków, bardzo pomału wzrasta. W XVII-ym wieku pobudowano tam szereg kaplic, czyli stacyi Męki Pańskiej, naśladując wymiarem i kształtem Kalwaryę jerozolimską. Stąd i nazwa miasta pochodzi. Ale o domach mieszkalnych prawie naówczas nie pamiętano. Słusznie też biskup Krasicki powiedział o Kalwaryi:

Domki szczupłe, tych niewiele
A zaś kościół przy kościele…

Zgoła wszystko niezamożnie,
Pusto, głodno, lecz pobożnie.

Z Góry Kalwaryi statek parowy poniesie nas do Warszawy, dwa razy dziennie bowiem statki, płynące z Sandomierza, przybijają do tutejszej przystani.

Podróż trwa pół dnia — ale nie znudzi i nie zmęczy nikogo. Oczy biegną od jednego brzegu na drugi, a w pamięci budzi się echo piosenki, jak to na Mazurach:

Po szerokiem polu modra Wisła płynie,
Pochylone chaty drzemią na dolinie;
Nad wodą zgarbiony stary dąb żylasty,
Kędy bielą płótno wesołe niewiasty.
Po łące bociany stąpają powolne,
W owsach jednostajnie brzęczą świerszcze polne.
Na wodzie po Wiśle, śród ciszy poranka,
Płynie łódź flisowska, jak szara cyranka,
A za nią ładowne pszenicą galary,
Szum wioseł na falach i śmiechy i gwary.
I gdzie się obrócisz nad Wisłą, nad Bugiem
Szumi śpiewka serdeczna za bydłem, za pługiem,
Po wodzie srebrzystej, po zielonym gaju,
Jakby jedna dusza była w całym kraju.

Lenartowicz.

I tak to wodząc okiem po rozmajonych brzegach Wisły, to słuchając piosenek flisaczych, to wreszcie tonąc w głębokiej zadumie, wędrowiec płynie i płynie. Czasami statek przybije do brzegu, zarzucają kładkę, zabierają podróżnych, koła zapluszczą i znowu prują szybko fale Wisły...

A nasza Wisła tak spokojna, cicha,
Że jej nie słychać, tak lekko oddycha
I jakąś ciszą spokojną okola
Nadbrzeżne wioski, pastwiska i pola.

Czajkowski.

Aż tam w głębi coś majaczyć zaczyna... Wysokie, przeogromne, jasne... Niby z za mgły występują coraz wyraźniej zarysy domów, piętrzących się jedne nad drugimi, i wysmukłych wieżyc złotymi zwieńczonych krzyżami. Na pokładzie ruch, krzątanina. Wszyscy cisną się naprzód... na wszystkich ustach wisi słowo... „Warszawa! Warszawa.“

Warszawa.

Pod wzgórzem, pod szerokiem rzeka szybko bieży,
Na brzegu, na wysokim las się wieżyc jeży,
Las wieżyc, las kamienny czołem chmury bodzie,
A spodem się przygląda w zwierciadlanej wodzie.

Giller.

Tam, gdzie dzisiaj—podług słów poety—„las wieżyc się jeży,“ przed wiekami zieleniły się istotnie lasy odwieczne i nieprzebyte, bo kiedy nad górną i dolną Wisłą, oraz nad Wartą tworzyły się opola, zamieszkałe przez poszczególne szczepy słowiańskie, cały kąt ziemi między Pilicą, środkową Wisłą, Bugiem i Narwią, głuchemi jeszcze puszczami był zarosły. Wśród tych kniei, na wyniosłym brzegu — tam, gdzie dziś wznosi się Warszawa, oddawna już jednak żyli ludzie; dogodne położenie musiało ściągać mieszkańców. W lesie — pełnym zwierza — nad rybną rzeką nie trudno zabezpieczyć się było od głodu, a że już w pogańskich czasach istniały tu osady, świadczą wykopaliska znalezione na Pradze, na Brudnie, w Grochowie i innych poblizkich miejscowościach. Wykopaliska te były to urny z popiołami naszych praojców, a wiadomo, że za czasów pogańskich ciała zmarłych palono, a popioły w garnkach glinianych, zwanych żalnikami lub popielnicami, chowano w ziemi.

Głucho o tem w kronikach, kiedy osada otrzymała nazwę Warszawy. Brak pewnych wiadomości zastępują poda-

nia. Podobno pierwszą chatkę z chróstu na wyniosłym brzegu zbudowała para rybacka: Warsz i Sawa i od imion tych pierwszych mieszkańców nosi nazwę miasto. Lepianka Warsza i Sawy, miała się znajdować na Starem Mieście, przy zbiegu ulic: Piwnej i Dunaju. Stoi tam obecnie dom bardzo stary, z figurą św. Anny; lud utrzymuje, że to nie św. Anna, tylko Sawa; twierdzi on także, że Wisła miała wtedy gdzieindziej koryto i że płynęła tuż około chatki rybaków.

Podług innego podania Warszawa zawdzięcza swój po-



Warszawa od strony Pragi.

czątek Czechom, a mianowicie rodzinie Werszowców, którzy — wypędzeni z Czech — schronili się do Polski, gdzie nosili nazwę Warszów. Jeden z nich, piastujący godność kasztelana krakowskiego, jest prawdopodobnie założycielem miasta, oraz jego przedmieścia. Miasto nazwał od swego imienia Warszawą, a przedmieście — na pamiątkę ojczystego grodu — Pragą. Miało się to stać pod koniec XIII-go wieku.

Pierwsze pewne wiadomości o Warszawie mamy dopiero z r. 1313. Dostała się ona po śmierci Bolesława, księcia ma-

zowieckiego, wraz z Sochaczewem i Ciechanowem jednemu z trzech synów. Pod koniec XIV-go wieku była już Warszawa miejscem obronnem; szczątki tych murów znaleziono niedawno przy kopaniu fundamentów na rogu Podwala i Nowomiejskiej ulicy.

W r. 1381 książę Janusz, przekładając Warszawę nad Czersk, pierwszy w niej zamieszkał, zamek zbudował i kollegiatę czerską przeniósł do nowej stolicy.



Zamek od strony Wisły.

Brat Janusza, Ziemowit, pragnął osiągnąć rękę królowej Jadwigi, a z nią tron krakowski. Nie udało mu się to jednakże; małżeństwo młodziutkiej monarchini z Jagiełłą więcej korzyści Polsce zapewniało. Ziemowita marzenia nie spełniły się, a następni książęta mazowieccy coraz bardziej stawali się zależnymi od Jagiellonów. Nieraz szlachcic mazowiecki jeździł ze skargą do króla przeciw swemu książęciu i sprawę wygrał. Podobno takiem postępowaniem rozżalony książę Konrad, współczesny Jana Olbrachta, umarł ze zgry-

zoty. Synowie jego, Janusz i Stanisław, zeszli z tego świata młodo i bezpotomnie, na nich wygasł ród Piastów na Mazowszu i wtedy dzielnica ta wraz z Warszawą wcielona została do państwa polskiego. Było to r. 1526.

Złączenie Mazowsza z Polską stało się korzystne dla Warszawy. Była ona ulubionem miejscem pobytu Zygmunta Augusta; przemieszkiwała też tu stale za panieńskich czasów Anna Jagiellonka: wzrastało więc miasto i nabywało znaczenia. Wzrost ten szybkim zaczął postępować krokiem, gdy za panowania Zygmunta III-go Wazy została Warszawa stolicą Polski.

Niezmierną klęską dla zbudzonego do życia miasta był najazd Szwedów r. 1655. O tym strasznym napadzie już kilka razy wspominaliśmy; cała prawie Polska od niego ucierpiała, a Warszawa została spalona, wyludniona, zubożona. Morowe powietrze i wylewy Wisły dopełniły niedoli. Pod koniec XVII-go wieku miasto jęło się dźwigać z ruiny, ale druga wojna szwedzka za Augusta II-go Sasa i inne smutne wypadki w XVIII-ym wieku nie mogły wpływać korzystnie na jego rozwój.

Po trzecim rozbiorze kraju Warszawa dostała się w ręce Prusaków; r. 1807 stała się stolicą księstwa Warszawskiego, a po upadku tego księstwa od r. 1815 jest głównem miastem Królestwa Polskiego.

Prawdziwy wzrost miasta począł się dopiero w naszem stuleciu. Położone na lewym brzegu Wisły, rozwija się ku południowo-zachodowi, gdzie też powstają coraz nowe dzielnice. Kolej wiedeńska, otworzona r. 1847, a później inne drogi żelazne, zbudowanie zjazdu ku Wiśle, żelazne mosty na rzece, oświetlenie gazowe, wodociągi i kanalizacya przyczyniły się niezmiernie do rozwoju miasta. Obecnie z każdym rokiem nietylko nowe pałace i domy, ale całe nowe ulice przybywają.

Ludność Warszawy szybko wzrasta. Przy ostatnim obrachunku (r. 1896) liczba mieszkańców wynosiła przeszło sześć-

set tysięcy, obecnie około ośmiuset tysięcy. Przemysł kwitnie; handel coraz bardziej się rozwija, a ruch uliczny w Warszawie — według zdania cudzoziemców — porównać można z ruchem Paryża.

Warszawa jest też ogniskiem sztuki i oświaty; posiada muzea, wystawy obrazów, kilka teatrów, najwyższe w kraju szkoły, liczne drukarnie i księgarnie.

Jak słońce, rzucając swe jasne i ciepłe promienie, ogrzewa ziemię i budzi w niej życie, tak i Warszawa wysyła pro-



Zamek w Warszawie.

mienie światła, wiedzy i nauki w najdalsze zakątki kraju, by tam budzić nowe życie umysłowe.

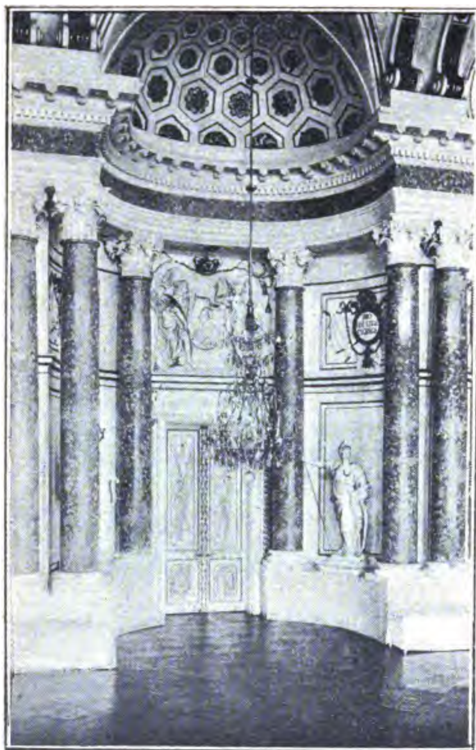
A teraz zapoznajmy się chociaż z najgłówniejszemi ulicami i najokazalszemi świątyniami i gmachami miasta.

Najpiękniej przedstawia się Warszawa od strony Wisły. Idąc mostem żelaznym z przedmieścia Pragi, widzimy po prawej stronie dawny zamek królewski, dziś zamieszkany przez generał-gubernatora.

Za książąt mazowieckich zamek ten był drewniany. Zygmunt III-ci Waza wzniósł na miejscu zabudowań drewnianych siedzibę dla siebie z muru i kamienia ciosowego

i ozdobił ją wieżą. Jarzemski, budowniczy Ujazdowa, taki daje opis zamku w r. 1643:

„Królewski zamek cały murowany. Wokoło dwa rzędy pokojów; na rogach znajdują się wieżyczki małe, w pośrodku duża kamienna wieża z zegarem; wierzch jej miedzią okryty z pozłacaną gałką. Wielkie bogactwo komnat: w jednej z nich wszystkie ściany wysadzane zwierciadłami. W pokoju królewskim jest komin w kształcie fontanny, cały z metalu; inne pokoje ozdobione historycznymi obrazami. Wspaniała sala, gdzie się odprawiają wesela i pyszne teatrum, gdzie komedye i skoki włoskie wyprawiają. Od Wisły nakształt twierdzy podnoszą się mury ku tamowaniu rzeki wyniesione. Ganek do kościoła idzie od starego zamku. Nad kuchnią jest łaźnia; tam do cynowej sadzawki jakoby rurami leje się woda. Za bramą zamku ogród z kwiatami, owocami i krynicą, która wody zamkowi oddaje."



Wejście da sali kolumnowej w zamku.

Ów piękny, bogaty zamek, zrabowany przez Szwedów, został — za czasów Sobieskiego — na nowo wewnątrz przyozdobiony. Za czasów saskich wzniesiono budowle od strony

Wisły, a gdy za Stanisława Augusta uległ zamek zniszczeniu, spowodowanemu przez pożar, został wtedy przebudowany i urządzony podług planu architektów włoskich. Wtedy to powstały wspaniałe sale: tronowa, kolumnowa i rycerska. Tronowa jest największa; okna ma wychodzące na Plac Zamkowy. Kolumnowa — najokazalsza; wokoło są marmurowe kolumny ze złoconymi bronzami, a jej sklepienie ozdobione jest pięknem malowidłem włoskiego malarza, Bacciarellego.

Od strony zamku ku Wiśle urządzono ogród, zawieszony na arkadach.



Krakowskie-Przedmieście.

Bliżej wybrzeży, jednym bokiem stykając się z zamkiem, wznosi się pałac, tak zwany „Pod Blachą.“ Mieszkał w nim niegdyś książę Józef Poniatowski i wtedyto gwarno tam było i wesoło.

. . . .

Weszliśmy do miasta. Na Placu Zamkowym
. . . . „słup kamienny stoi,
Na słupie, na kamiennym król w żelaznej zbroi.
Hej! wziął krzyż w prawą rękę, a mieczem hetmani...!“

Ten król na słupie z marmuru kieleckiego, to Zygmunt III-ci Waza, a pomnik wzniósł mu syn jego, król Władysław IV-ty.

Z Placem Zamkowym łączy się ulica Świętojańska, najstarsza w mieście, a więc i najcharakterystyczniejsza. Domy



Król Zygmunt.

tam stare, szczytami do ulicy zwrócone, służyć mogą za pomniki dawnego budownictwa. Głównie jeszcze tylko w tej dzielnicy miasta możemy się spotkać z dawnymi zabytkami.

Warszawa coraz bardziej charakter swój dawny zatraca. Wązka uliczka Dziekanka, „Domek pod filarkami“, część Pro-

chowni i wiele innych zabytków, należą już dziś do wspomnień tylko.

Przypatrzmy się kościołowi św. Jana, czyli katedrze warszawskiej. Zbudowany w stylu gotyckim i ozdobiony pięciu wieżyczkami, już z zewnątrz zachwyca oko swoją poważną pięknością. Gdy wejdziesz do środka, mrok cię ogarnie i ponura ci się wyda świątynia. Gdy jednak się lepiej rozejrzysz a oko się do tego półświatła przyzwyczai, zaczynasz oceniać piękności tu nagromadzone. Patrzysz z zachwytem na wizerunek Bogarodzicy z Dzieciątkiem i na obraz patrona kościoła. Podziwiasz rzeźbione stalle kanonickie i piękne chóry, ozdobione herbami królów i panów.



Kościół katedralny św. Jana.

Po lewej stronie presbiteryum jest kaplica Pana Jezusa, z cudowną figurą Chrystusa, przywiezioną z Niemiec. Podanie niesie, że włosy Chrystusa rosły i rość dopiero przestały w czasie reformacyi Lutra [1]). Gdy figura została przywieziona do Warszawy, znowu włosy rosnąć zaczęły, a gdy były za długie, ucinała je złotemi nożyczkami niewinna dziewica. Skoro raz grzeszne ręce dotknęły się cudownego wizerunku, cud ustał.

---

[1]) Marcin Luter, rodem Niemiec, jest twórcą religii protestanckiej czyli ewangelickiej; wystąpił z nauczaniem swej nowej wiary r. 1519.

W kościele św. Jana jest mnóstwo pomników. Najstarszym jest grobowiec dwóch ostatnich Piastów mazowieckich. Niepospolitem dziełem sztuki jest pomnik Stanisława Małachowskiego, marszałka Sejmu Czteroletniego.

Kościół N. Maryi Panny Łaskawej odznacza się zewnątrz najpiękniejszą w Warszawie wieżą, a wewnątrz malowidłami Czechowicza. Jest to dawny kościół Pijarów, zakonników, trudniących się kształceniem młodzieży. Najznakomitszym Pijarem był ksiądz Stanisław Konarski; był to mąż rozumny, szlachetny, kochający swój naród i naukę. Umarł r. 1773; w kościele P. Maryi Łaskawej ma skromny pomnik.



Pomnik Stan. Małachowskiego w kościele katedralnym św. Jana w Warszawie.

Niepodobna opisywać wszystkich świątyń warszawskich; jest ich mnóstwo, bo naród polski zawsze się odznaczał pobożnością, to też chętnie wznosił i wznosi domy Boże, a i panujący fundowali je ochotnie, pamiętając o przysłowiu: „Kto z Bogiem, to Bóg z nim."

I tak kościół Bernardynów wzniesiony został przez księżnę Annę mazowiecką; kościół św. Krzyża także sięga czasów mazowieckich Piastów; kościół niegdyś Karmelitów bosych ufundowany został przez Cecylię Renatę, pierwszą żonę Władysława IV-go; świętego Józefa—przez Maryę Ludwikę. Marya

Kazimiera osadziła Sakramentki na Nowem Mieście, a kościół Przemienienia Pańskiego wystawił mąż jej, Jan III-ci Sobieski, na pamiątkę zwycięstwa pod Wiedniem. W kościele tym jest kaplica króla Jana, odnowiona staraniem cesarza Mikołaja I-go. W kaplicy tej pochowane jest serce pogromcy Turków, a nad otaczającym je pomnikiem widnieje napis: „Mikołaj I-szy, król Polski, Janowi III-mu, poprzednikowi swojemu.“

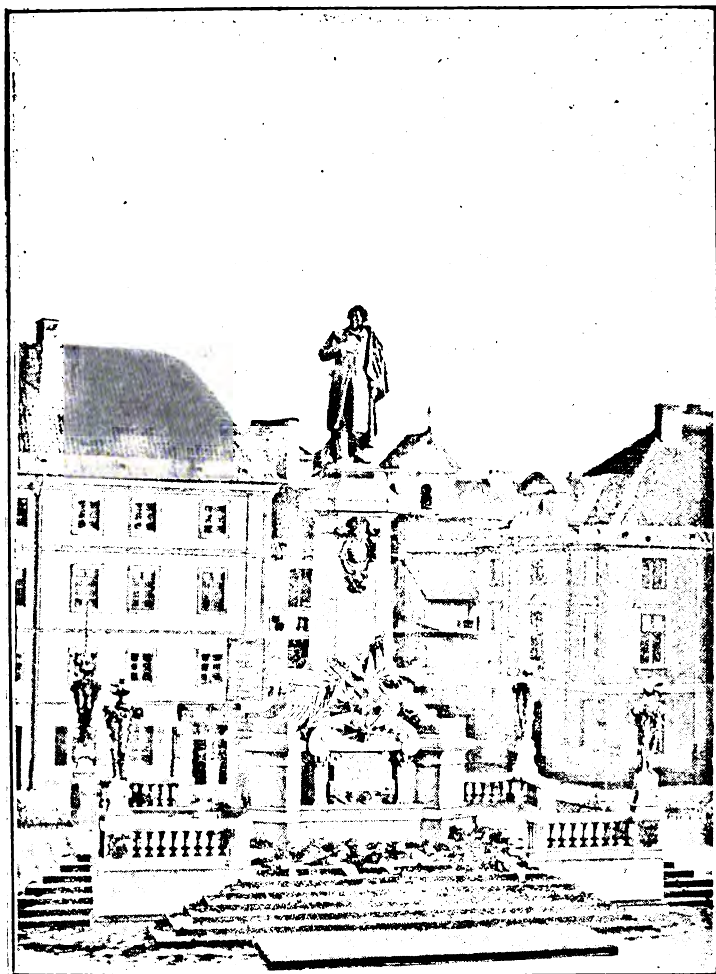
Z wymienionych wyżej kościołów, kilka znajduje się na Krakowskiem-Przedmieściu, jednej z najpiękniejszych ulic,



Teatr i Ratusz w Warszawie.

ozdobionej prywatnymi pałacami i gmachami rządowymi. Przedłużeniem tej ulicy jest Nowy-Świat.

Gdyby kto chciał zliczyć wszystkie place, ulice i uliczki Warszawy, to narachowałby ich przeszło 260, a z przedmieściami 325. Długo je liczyć, a cóż dopiero przewędrować i obejrzeć! Nie będziemy się też o to kusili. Dosyć ich kilka spamiętać, jak piękną ulicę Marszałkowską, tak nazwaną od marszałka Bielińskiego, bardzo zasłużonego człowieka; Plac Teatralny z Ratuszem i Teatrem, z pięknymi sklepami ulicę Senatorską i Wierzbową, połączoną z Krakowskiem - Przedmieściem za pośrednictwem ulicy Trębackiej.



Pomnik Mickiewicza w Warszawie.

Wprost ulicy Trębackiej, na Krakowskiem-Przedmieściu wznosi się pomnik naszego największego wieszcza, Adama Mickiewicza, odsłonięty dnia 24 grudnia r. 1898, w setną rocznicę urodzin poety.

W środku miasta znajduje się ogród Saski, założony za czasów saskich. Jest jeszcze ogród Krasińskich, Pomologiczny, Frascati, lecz wogóle w samem mieście ogrodów mało i coraz ich więcej ubywa. Na miejscu dawnych drzew, krzewów i zieleni wznoszą się ciągle nowe domy, ogrody i place znikają, a przybywają ulice. Ten brak ogrodów daje się mieszkańcom Warszawy we znaki, a zwłaszcza latem. Ratują Warszawiaków w dni upalne zadrzewione Aleje Ujazdowskie i położony przy nich: park Ujazdowski, ogród Botaniczny i park Łazienkowski. Tam szukają świeżego powietrza, chłodu i wypoczynku po całodziennej pracy.



Park Ujazdowski w Warszawie.

Park Łazienkowski ma swą nazwę od pałacyku Łazienek, zbudowanego przez Stanisława Poniatowskiego. W dawnych czasach był w tem miejscu zwierzyniec książąt Mazowieckich. Król stare drzewa wyrzucił, młode zasadził, drogi przeprowadził i wśród pięknego pagórkowatego parku letnią rezydencyę sobie zbudował. Pałacyk ten biały, piękny, stojący tuż nad stawem, w którego wodach może się przeglądać, to istne cacko, istne pieścidełko znającego się na sztuce króla. I wewnątrz go wymuskał, wyzłocił, ozdobił, pięknemi malowidłami ożywić kazał. Najpiękniejsza ze wszystkich „Sala Salomona“ ozdobiona jest obrazami, przedstawiającymi różne sceny z życia tego mądrego króla Izraelitów. W gabinecie „Zielonym“ znajduje się wysokiej wartości galerya obrazów, przeważnie pędzla wspomnianego już Bacciarellego. Sławnego tego malarza sprowadził król Poniatowski z Włoch i obdarzył go pięknym

pałacykiem „Bagatela.“ Jest on dzisiaj siedzibą warszawskiego Towarzystwa Ogrodniczego.

Na moście kamiennym, zwanym mostem Sobieskiego, prowadzącym z Łazienek do ulicy Agrykola, wznosi się posąg zwycięzcy z pod Wiednia. Sobieski w stroju rzymskim, z buławą w ręku, na rozpędzonym koniu tratuje Turków.

Pomnik ten wystawił także Poniatowski r. 1788. Dziwić się można, że ów miękkiego charakteru, nierycerski król ozdobił swoją rezydencyę kamienną postacią tego króla bohatera, którego naśladować nie chciał i nie umiał.



Pałac w Łazienkach.

W parku Łazienkowskim jest jeszcze kilka pałacyków i domków, jak np. pałac Biały, zwany przez lud Okrąglakiem, domek Myśliwski, w którym mieszkali krewni królewscy i jego dwór. Znajduje się tam prześliczna oranżerya z olbrzymiemi drzewami pomarańczowemi i innemi osobliwemi roślinami. Wśród stawu na wyspie jest teatr, w którym z nadejściem ciepła wiosennego dają przedstawienia. Gdy światła około teatru zapłoną, a księżyc i gwiazdy ukażą się na niebie, Łazienki zdają się być jakąś zaczarowaną krainą. Cudnie wygląda na tle ciemnej zieleni biały pałac, odbijający się w wy-

srebrzonym światłem księżyca stawie! Kwitnące pomarańcze pachną tak silnie, że aż odurzają swą wonią. Piękne stare drzewa rzucają naokół tajemnicze cienie, a postać króla-rycerza w blaskach miesięcznych złotem płonie.

„Cicho, senno na krysztale
Pomarszczonych kręgiem fal,
Złote, srebrne płyną fale;
Księżyc rzuca blaski w dal.



Pomnik Sobieskiego w Łazienkach.

Jasne światła lśnią topazem,
Z głębin wieje cisza, chłód —
Dwa księżyce patrzą razem:
Jeden z niebios, drugi z wód.
Cicho, senno! tylko liście
Ponadbrzeżnych ziół i traw
Szepcą pacierz — i srebrzyściej
Długim szmerem dzwoni staw.

Kazimierz Gliński [1]).

[1]) Współczesny poeta, mieszka w Warszawie.

Wracamy wśród cichej, ciepłej nocy do miasta. Z Alei Ujazdowskich wchodzimy na Plac Aleksandra. Dawniej zwał się on Kalwaryą lub Placem Trzech złotych Krzyży. Dwa krzyże zachowały się dotychczas; gdy w r. 1852 trzeci runął, marszałek Bieliński postawił w tem miejscu figurę św. Jana Nepomucena.

O tych krzyżach między ludem warszawskim istnieje następujące podanie:

„Przed wielu, wielu laty, kiedy jeszcze bór gęsty tu nad Wisłą szumiał, mieszkała w owym lesie, w starym zameczku, piękna panna. Była ona śliczna jak malowanie: złote włosy do kolan, oczy jak chabry, ząbki jak perły, usta jak korale, a w całej twarzy — krew z mlekiem. Drugiej takiej nie było w całym kraju. Kiedy wiadomość o urodzie tej panny rozeszła się szeroko i daleko, zewsząd zjeżdżali rycerze, ubiegający się o jej rękę. Ale panna ta serce miała kamienne; żadnego z młodzieńców pokochać nie chciała i zamiast kogo uszczęśliwić, była tylko przyczyną gniewu i zazdrości.

Zdarzyło się, że trzej rodzeni bracia pokochali się w pannie i przyszło z tego powodu pomiędzy nimi do takiej kłótni i nienawiści, że przed samemi oknami nieczułej panny pozabijali się w pojedynku. Wtedy dopiero panna uznała swą winę i dla przebłagania Boga wstąpiła do klasztoru.

Trzech braci pochowano w lesie pod zameczkiem i każdemu z nich na grobie postawiono krzyż.“

. . . .

Mijamy owe krzyże mogilne, otoczone pięknym ogródkiem, mijamy kościół św. Aleksandra i dążymy dalej do wnętrza miasta.

Późno już, lecz Warszawa nie śpi jeszcze. Na głównych ulicach rojno, gwarno: tramwaje dzwonią, powozy turkoczą, a przechodnie przesuwają się gromadnie. Jedni wracają z przechadzki, drudzy z teatru lub koncertu, inni od krewnych lub znajomych.

O, bo Warszawa bawić się umie! W każdej porze roku nowe sobie rozrywki wymyśla. Niedarmo też Wincenty Pol powiedział:

„Jeśli poznać chcesz zabawy,
Serce niewiast, świat ochoczy,
Gładkie słówka, piękne oczy,
To jedź, bracie, do Warszawy.“

Istnieją jednak i mniej pochlebne sądy o kobietach war-



Kościół św. Aleksandra w Warszawie.

szawskich! Przysłowie mazowieckie mówi, że: „Lepsza wody szklanka, niźli Warszawianka.“ Inne powiada: „Warszawiak w pracy, a wilk u pługa: jednaka z obu posługa.“

Przysłowia te jednak nie zawierają prawdy bezwzględnej. Próżniaków i lekkomyślnych ludzi nie brak nigdzie na świecie, więc i w Warszawie się znajdą, lecz do ogółu mieszkańców tych przysłów zastosować nie można.

Tak, Warszawa nietylko umie się bawić! O nie! potrafi ona także pracować, potrafi myśleć o drugich niedoli i choć rada się śmieje, ale też i łzy z ochotą ociera.

„Bo lud tam wielkiej duszy, ma serce wspaniałe,
A kto go raz pokocha, to na życie całe!
Bo jeśli zziębniesz w drodze, to cię tam ogrzeją,
A jeśli jesteś nagi, to cię przyodzieją,
A jeśli jesteś głodny, to ci dadzą chleba,
A jeśliś dobry, przychylą ci nieba,
A jeśliś w kłótni z ludźmi, to tam będzie zgoda,
A jeśliś stracił brata, inny rękę poda...

Giller.

Rrzeczywiście Warszawa bardzo jest dobroczynnem miastem. Wiele w niej istnieje zakładów, w których opiekują się chorymi, kalekami, niedołężnymi starcami, osieroconemi dziećmi. A młodzież uboga, łaknąca wiedzy, zawsze pomoc znajdzie i gorące słowo zachęty do pracy.

Dużo, dużo możnaby jeszcze rozpowiadać o Warszawie, o jej różnych instytucyach, gmachach starych i nowych, pamiątkach różnych, szkołach i fabrykach, ale w tej książce miejsca ku temu nie staje. Kto ciekawy czegoś więcej się dowiedzieć, niech przeczyta sobie „Przewodnik po Warszawie,“ a bliżej się wtedy z naszem ukochanem miastem zapozna.

. . . .

Zwiedziliśmy miasto żywych, zwiedźmy jeszcze miasto umarłych, bo tak nazwać można obszerny cmentarz Powązkowski, założony dopiero r. 1790, a już tak „przeludniony“.

Tyle tam grobów, tyle tam tysiący spoczęło na wieki po utrudzającej pielgrzymce życiowej, że niedługo już miejsca zabraknie na nowe mogiły i za lat kilkanaście cmentarz ten piękny zostanie zamknięty.

Ileż tam wspaniałych grobowców, cennych pomników, a iluż pod tymi pomnikami ludzi wielkich i szlachetnych śpi snem nieprzespanym! ile serc, które biły dla braci, dobra, nauki i cnoty!

Cmentarz powązkowski zawsze jest pełen smętnego uroku: czy rozkwiecony w maju z rozbrzmiewającą w krzewi-

nach pieśnią słowiczą, czy później—gdy róże na grobach zakwitną, czy w jesieni — kiedy zeschły liść opada i szeleści smutno pod stopami przechodniów, czy w zimie — kiedy puchy śniegu okrywają mogiły. Zawsze tam panuje majestatyczny spokój, który koi dusze zbolałe nadzieją nieśmiertelności i mówi do żywych: „Nie smućcie się, wszyscy się kiedyś połączycie w Panu."

Zawsze na cmentarzu Powązkowskim jest dużo osób, odwiedzających swych drogich zmarłych, lecz w dzień Zaduszny tłumy całe tam dążą. Tego dnia każdy złożyć musi na grobie krewnego lub przyjaciela choć skromny wianek i choć małą lampkę na wieczór zapalić. To też wieńców i kwiecia tego dnia na grobach pełno, a ze zmrokiem cały cmentarz od świateł płonie... Żywi stawiają zmarłym symboliczne światła na grobach, szepcząc słowa modlitwy: „A światłość wiekuista niechaj im świeci."

Okolice Warszawy.

Okolice Warszawy nie są piękne. Jest to równina mazowiecka bez jarów, parowów, wzgórz i dolin. Czego jednak nie dała natura, wykonała praca ludzka. Zasadzono drzewa, założono ogrody, a drzewa wyrosły pięknie, bo przecież na tej samej glebie niegdyś puszcze szumiały.

Najpiękniej urządzoną miejscowością jest *Willanów*, połączony z Warszawą kolejką wązko-torową. Jest to dawna własność Jana Sobieskiego, który ją nabył i letnią rezydencyę w niej urządził.

Skołatany niepowodzeniami w ostatnich latach swego panowania, król Jan uciekał od warszawskiego zgiełku i chronił się w ciszy willanowskiej. Tam ozdabiał pałac dziełami sztuki i sadził własną ręką w parku drzewa, tworzące dziś jeszcze piękne aleje.

Willanów jest obecnie własnością hr. Branickiego. Pałac z różnymi cennymi zabytkami i pamiątkami po Sobieskim, oraz piękny park otwarty jest dla publiczności; mieszkańcy Warszawy jeżdżą też chętnie do Willanowa, aby odetchnąć swobodnie w cieniu starych i rozłożystych drzew.

Kto lubi długie przechadzki, niech się wybierze wczesnym letnim porankiem, kiedy to

„Po niebie obłoki jak bieluchne runo
Słoneczkiem przeciekłe po błękicie suną,“



Pałac w Willanowie.

do Ursynowa, odległego o dziesięć wiorst od Warszawy. Że nie pożałuje wycieczki, ręczyć za to można — a wygodna szosa górno-kalwaryjska doprowadzi go w jakie cztery godziny do celu.

Ursynów to magnacka rezydencya. Pałacyk niewielki, lecz istne cacko. Wspaniałe balkony i tarasy wiszą nad istnem morzem kwiecia i drzew najprzeróżniejszych gatunków. Niegdyś była to własność poety polskiego, Juliana Ursyna Niem-

cewicza, który, nabywszy folwark, dawną jego nazwę „Rozkosz“ na Ursynów od swego imienia zamienił. Podobno w jednym z pokojów przechowane są sprzęty, należące do poety, ale widzieć ich nie można, bo Ursynów, obecnie własność hr. Krasińskiej, jest dla publiczności zamknięty.

W powrotnej drodze do Warszawy zatrzyma nas Królikarnia, wtulona w ogród rozległy. August II-gi Sas urządził tam sobie modne naówczas polowania na króliki i nawet dla ich hodowli osobny dom wystawił. Prześlicznego pałacyku,



Kościół w Willanowie.

który dziś stoi, nie było jeszcze wtedy. Wzniósł go znacznie później, za Stanisława Augusta, jakiś bogaty Włoch, myśląc korzystnie odprzedać królowi. Omylił się jednak w rachubach i wówczas sam zamieszkał w Królikarni i począł wydawać świetne uczty dla króla. Z czasem założono w Królikarni restauracyę francuską.

Jak wiadomo, jesteśmy na zabawę zawsze bardzo chciwi, szczególniej jeżeli tę zabawę wymyślił cudzoziemiec, bo nawet i Mickiewicz tak mówi o tej naszej brzydkiej skłonności do podziwiania tego, co obce:

„Bo Paryż częstą mody odmianą się chlubi,
A co Francuz wymyśli, to Polak polubi.“

Jak jest, tak i było przed laty: Francuz wymyślił, publiczność warszawska podziwiała.

Szeroki wspaniały zajazd do pałacu aż roił się w niektóre dni od poszóstnych zaprzęgów, wielkie sale pomieścić nie mogły licznych gości. Ale wreszcie ucichły publiczne za-



Z obrazu Wojciecha Gersona.

Sobieski, sadzący topole w Willanowie.

bawy. Królikarnia z rąk Radziwiłłów przeszła do Pusłowskich i jest dotąd ich własnością. Obecnie mieści się tam zakład dla ubogich nieuleczalnie chorych kobiet.

Kto wybrał się do Królikarni, ten nie może pominąć *Wierzbna*, bo leży ono tuż bliziutko, a ma źródła tak smacznej i czystej wody, że choćby dla sprobowania jej warto tam wstąpić.

Ale otóż i jesteśmy na przedmieściu Warszawy, w *Mokotowie*, dawnem dziedzictwie książąt Mazowieckich. Przedmieście to nie byle jakie. Co tam domów, co fabryk! Cały rok niby na drożdżach wzrasta — a gdzie z wiosną jeszcze ptaki w gąszczach gniazda wiły lub leżał plac pusty, na jesień czerwienią się mury kamienic. I nic dziwnego. Warszawa ogromną ma przyszłość przed sobą. Od chwili zaprowadzenia kolei syberyjskiej jest punktem środkowym na drodze handlowej między Zachodem a Wschodem. To też tylko patrzeć, jak przedmieścia w skład miasta włączone zostaną. Ludność zwiększa się ogromnie, miasto rozrastać się musi.



Morysinek.

Do Willanowa jechać trzeba z Warszawy przez Czerniaków, posiadający dwa piękne jeziora, które są w podziemnej komunikacyi z Wisłą, i stąd w miarę opadania lub wzbierania wody w Wiśle i w jeziorach wody ubywa lub przybywa. Oddawna Czerniaków słynął odpustem na św. Bonifacego, którego relikwie znajdują się w miejscowym kościele.

Do *Czerniakowa* udają się Warszawiacy na odpust dnia 14 maja, a w drugie święto Zielonych Świątek jeżdżą do *Bielan,* leżących na północ Warszawy, a więc w przeciwnej stronie Willanowa.

Pośród małego lasku nad Wisłą stoi tam kościół Kamedułów, założony przez Władysława IV-go, który wystawieniem tego kościoła wywiązał się z uczynionego ślubu Bogu. Miejsce to nazywało się dawniej Polkową górą. Być może, że

Kameduli, przybywszy z Bielan krakowskich, pierwotną nazwę zmienili na Bielany.

Wprowadzenie OO. Kamedułów odbyło się z wielką uroczystością, jak to opisuje nam pewien muzyk królewski z owych czasów w wierszyku niezbyt udatnym, lecz prawdziwym:



Z okolic Willanowa i Czerniakowa.

Władysław IV-ty, król pol-
[ski,
Tam założył kamedulski
Klasztor i kościół buduje,
Sumptem wszystko prowi-
[duje.
Tych (księży) królestwo naj-
[jaśniejsze
Tam prowadziło niniejsze
Piechotą za miasto w pole
Aż po same miejskie role.
Z chorągwiami procesye,
Zakonnicy, kompanije.
Tam na górę przyjechawszy,
Biskup, kapłanom moc daw-
[szy,
Przed namiotem wystawili
Krzyż, wkopawszy zostawili.

W kościele—stosownie do reguły zakonnej Kamedułów—niema organów, ale posiada on kilka cennych religijnych obrazów pędzla Smuglewicza, oraz potrety kilku królów polskich. Na lewo od wielkiego ołtarza, w murze, w szafie przechowane jest serce Michała Korybuta Wiśniowieckiego, który Bielany bardzo lubił i często je odwiedzał.

Na cmentarzu pod kościołem spoczywa Stanisław Staszyc. Grób jego pokrywa prosty biały kamień ciosowy.

Upodobał on sobie cichy lasek bielański, lubił tam odpocząć po mozolnej pracy i w testamencie wyraził życzenie, aby go na Bielanach pochowano.

Mieszkania dla księży znajdują się w jedenastu małych domkach, położonych w ogrodzie klasztornym. Domki te — to dawne pustelnie. Jedna z nich należała do Władysława IV-go i Jana Kazimierza. Smutne chwile spędzał tam na dumaniu nieszczęśliwy król.

Pośród leśnych tych rozdroży
Król powolnym chodząc krokiem,



Kościół w Czerniakowie.

Smutnie patrzał na świat Boży,
Przyszłość łzawem mierząc okiem,
A gdy doszło jego ucha
Klasztornego dzwonu echo,
To ku niebu wzbijał ducha,
Wiara była mu pociechą.

Kilku magnatów, naśladujących w tem monarchów, wzniosło swoim kosztem proste, lecz pełne smaku ustronia, w których po kilka dni czasem na rozmyślaniach spędzali.

Obecnie mieszka w tych domkach trzech ostatnich zakonników.

Bielany ciche, spokojne przez rok cały, rozbrzmiewają gwarem na Zielone Świątki.

Następujący wierszyk opowie nam, jak lud warszawski dzień ten na Bielanach spędza:

Lecz w Zielonych Świąt godzinie
Fala ludu Wisłą płynie,



Bielany od strony Wisły.

Jako zwyczaj każe znany
Het! za Żerań na Bielany.
Popłynęła ludzka fala...
Już wieżyczki widać zdala,
Zieleń kościół w splotach tuli,
W nim Ojcowie Kameduli.
Przy kościołku domków rzesza...
Warszawianin tu pośpiesza
I zaczyna od pacierzy...
Zastęp starców i młodzieży,

Matron, dziewcząt, ciżba cała
Przed ołtarzem poklękała.
Na podwórzu przed kościołem,
Tłum żebraków zasiadł kołem:
A na placu dookoła,
Czego pragniesz, już masz zgoła,
Dobór cacek niezrównany,
Napis „Souvenir de Bielany“.
Lasku chłód do siebie mami
Ciżba kładzie się wiankami,
W „dołkach“ liczne już kapele
Przygrywają jak w wesele.
Po kopiejce polka idzie.
Słychać często: „Raźniej żydzie.“
Ludzka fala wzbiera, rośnie,
Gród oddaje hołdy wiośnie
I rozkłada się na trawie
I pogrąża się w zabawie.
I tak płyną miejskie stany,
Hen za Żerań, na Bielany.

Mały lasek robi wtedy wrażenie wielkiego obozowiska, a za namioty służą tylko gałęzie drzew. Na święta te wiosenne lud warszawski z dawien dawna dąży tłumnie do Bielan; niektóre rodziny przepędzają tam całe trzy dni. Podczas nabożeństwa kupi się ludność koło kościołka, a potem w lasku bawi się wesoło. Tu młodzież śmieje się i buja na huśtawkach, tam znowu kręcą się karuzele, gdzieniegdzie tańczą przy dźwiękach harmoniki lub katarynki, a gdzieindziej jeszcze dzieci skaczą, a w ich pobliżu matki i skrzętne gosposie wydobywają z koszyków przywiezione zapasy i częstują nimi — każda swe kółko.

Do Bielan można jechać z Warszawy końmi lub statkiem parowym.

Coby tu jeszeze wspomnieć z miejscowości najbliżej Warszawy położonych?



Pomnik Staszyca na Bielanach.

W *Jabłonnie*, dawnej majętności księcia Józefa Poniatowskiego, jest piękny pałacyk i park obszerny.

Otwock stał się letnią siedzibą zamożniejszych mieszkańców Warszawy. W ostatnich czasach założono tam uzdrowisko dla chorych na płuca, a komunikacya z Warszawą dogodna koleją Nadwiślańską.

Za Wolskiemi rogatkami
Leży owa sławna *Wola*,
Kędy naród się gromadził
I o swoim statku radził,
I wybierał sobie króla.



Domek kamedulski na Bielanach.

Pod wsią Wolą odbywała się elekcya, czyli wybór króla. Tam to na polu odbudowano szopę, w której zasiadali senatorowie, a około niej gromadziła się szlachta ze wszystkich zakątków Polski, bo przecież każdy szlachcic miał prawo króla sobie wybierać. Szlachta grupowała się podług

województw i obozowała pod namiotami; miejsce dla każdego województwa naznaczał marszałek. Ostatnia elekcya Stanisława Poniatowskiego odbyła się r. 1764.

Koleją żelazną z Warszawy do Kujaw.

Pięć dróg żelaznych rozchodzi się z Warszawy: Petersburska, Terespolska, Nadwiślańska do Kowla, Nadwiślańska do Mławy i Warszawsko-wiedeńska. Ruszajmy w świat tą ostatnią i na skrzydłach pary przebiegnijmy sporą przestrzeń kraju.



Pałac w Jabłonnie.

Wyobraźmy sobie, że z dworca Wiedeńskiego, położonego przy ulicy Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskiej, pociąg wyjeżdza w pogodny jasny dzień jesienny. Mijamy stacyę towarową i niezadługo jesteśmy za miastem. Najpierw spostrzegamy obszerne ogrody warzywne, mające dostarczyć pożywienia licznym mieszkańcom Warszawy.

„Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
Tam, plącząc strąki w marchwi zielonym warkoczu,
Wysmukły bób obraca na nią tysiąc oczu.

Owdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch arbuza,
Który od swej łodygi aż w daleką stronę
Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.
Dalej maków białawe górują badyle;
Na nich, myślisz, iż rojem obsiadły motyle,
Trzepocąc skrzydełkami, na których się mieni
Z rozmaitością tęczy blask drogich kamieni:
Tylą farb żywych, różnych mak źrenicę mami.
W środku kwiatów, jak pełnia pomiędzy gwiazdami,
Krągły słonecznik licem wielkiem, gorejącem,
Od wschodu do zachodu kręci się za słońcem."

(*Mickiewicz — Pan Tadeusz*).

Lecz pociąg pędzi szybko. Już minęliśmy ogrody i jedziemy wśród pól szerokich. Zatrzymaliśmy się chwilkę w *Pruszkowie*, *Grodzisku* i dojeżdżamy do stacyi *Ruda Guzowska*.

Na prawo toru kolejowego widnieje fabryczna osada *Żyrardów*. Zdaleka czerwienią się wspaniałe gmachy największej w Królestwie Polskiem fabryki wyrobów lnianych. Szkoda, że do niej nie możemy zajrzeć, aby zobaczyć, jak para porusza kilkadziesiąt tysięcy wrzecion i kilka tysięcy warsztatów tkackich. Oprócz największej, bo na 23,000 wrzecion, przędzalni lnu, jest tam jeszcze przędzalnia bawełny na 18,000 i przędzalnia wełny na 4,200 wrzecion. Tkalnią mechaniczną zajętych jest 2,000 warsztatów, a zakład wyrobów pończoszniczych posiada przeszło 700 maszyn.

Największy motor parowy ma siłę 150 koni, a kilka jest mniejszych o sile 70 koni. To też dudni tam, huczy, wre od świtu do zmroku; kotły parowe sapią, walce się kręcą, koła turkocą, nici i niteczki drżą, wrzeciona nawijają, a 8,000 robotników roi się w tem wielkiem mrowisku pracy; każdy baczny, skupiony, pilnuje swego posterunku, bo każdy się czuje

niejako cząsteczką tej wielkiej machiny, złożonej z tysięcy ludzi i z tysięcy kół i kółeczek.

Fabryka żyrardowska istnieje od r. 1833. Rozwija się ona bardzo szybko, to też i osada cała wzrasta i rozszerza się. Posiada kościół katolicki i dom modlitwy ewangelicki, szkołę fabryczną kilkooddziałową, dwie szkoły początkowe, wielką ochronę na 1,500 dzieci, utrzymywaną przez fabrykę, szpital fabryczny i aptekę. Mieszkańców ogółem jest około 27,000.



Brama wjazdowa w Jabłonnie.

Fabryka żyrardowska stanie się bez wątpienia jednym z największych w świecie zakładów przemysłu tkackiego.

Szybko tam idzie robota! Nici nawijają się tak prędko na szpulkę, że aż w oczach miga. To nie to, co siedzieć w izbie na stołku i palcami kręcić wrzeciono. Ale zato jak wesoło na wiejskiej wieczornicy, kiedy prządki zejdą się z kądzielą i obsiądą komin, na którym płonie smolne łuczywo! Ileż tam pieśni, baśni, gadek, jakiż tam śmiech serdeczny rozbrzmiewa po całej świetlicy! Długi wieczór zimowy minie i nocki kawał zejdzie, a prząśniczki jeszcze kręcą wrzeciona i nowe pieśni zaczynają.

A w Żyrardowie huczy, dudni, wre, ludzie w milczeniu pracują, ale — tysiące, tysiące sztuk bieluśkiego jak śnieg płótna rozchodzi się co rok na wszystkie strony i odziewa tysiące ludzi.

Rozmyślając o żyrardowskiej fabryce, ani wiemy, jak przyjechaliśmy do Skierniewic. Tutaj dworzec wspaniały, ruch na kolei wielki, bo droga żelazna rozchodzi się stąd w dwie strony: jedna linia przez Piotrków, Częstochowę ku Wiedniowi, druga — przez Łowicz, Kutno, Włocławek ku Toruniowi i Bydgoszczy i dlatego ta linia nazywa się od Skierniewic Warszawsko-bydgoską.

Skierniewice — dzisiaj dosyć porządne miasteczko powiatowe — w dawnych czasach jeszcze jako wieś należały do arcybiskupów gnieźnieńskich i wchodziły w skład posiadłości łowickiej. W XV-ym wieku zamienione na miasto, stały się ulubioną siedzibą każdego niemal prymasa. Wszyscy oni gorliwie pracowali nad upiększeniem miejscowości. Od czasów arcybiskupów: Szembeka i Potockiego [1]), Skierniewice stały się drugą stolicą kraju: był tu dwór świetny, uroczystości wspaniałe, a nawet ognisko spraw politycznych. Ostatnim prymasem był sławny poeta z czasów Stanisława Poniatowskiego, Ignacy Krasicki, który tu kilka lat przepędził, pracując nad układaniem dzieł swoich.

Za Księstwa Warszawskiego (które trwało od r. 1807—1813) Napoleon I podarował Skierniewice francuskiemu marszałkowi Davoust'owi. Po upadku Napoleona wcielone zostały do księstwa Łowickiego. Pałac dawniejszy arcybiskupów, urządzony wspaniale, służy za miejsce gościnne dla przejeżdżającej Rodziny Cesarskiej. Leży on przy mieście, w pięknym bardzo parku. O dwie wiorsty od parku, pomiędzy rozchodzącymi się torami drogi żelaznej warszawsko-wiedeńskiej i warsz.-bydgoskiej, znajduje się poza wsią Skierniewką rozległy zwierzyniec cesarski z dworcem myśliwskim i bażantarnią.

. . . .

Jedziemy dalej. Zwracamy się trochę na północ, ku *Łowiczowi* się kierując. Na prawo i lewo pola uprawne, łąki,

---

[1]) Na początku XVIII-go wieku.

ugory, a grunt coraz urodzajniejszy, bo wjeżdżamy w żyzne, gliniaste dorzecze Bzury.

Przed wielu, wielu laty inaczej w tych stronach wyglądało. Były i tu puszcze nieprzebyte, a Łowicz był „łowiskiem," czyli dworcem myśliwskim. W dworcu takim znajdowały się przyrządy i broń, służące w owych czasach do łowów, a więc: sieci, tasaki, oszczepy; w dworcu takim mieszkała służba łowiecka, a wreszcie zbierała się odważna drużyna myśliwych, aby uczynić obławę na grubego zwierza, jak: niedźwiedzie, łosie, tury, wilki i dziki. Gdy pora łowów nadeszła, wesoło, gwarno, tłumno było około łowiska. Rozbrzmiewał tam głos trąbki, ujadanie psów, nawoływanie myśliwych, a zapewne i nuta wesołych pieśni myśliwskich, podobnych do tej:

„Pojedziemy na łów, na łów,
Towarzyszu mój!
Hej! na łów, na łowy
Do zielonej dąbrowy,
Towarzyszu mój!"

A wszystkie te odgłosy niosło echo szeroko i daleko po puszczy, drzewa podawały je drzewom coraz dalej i wyżej, aż zniknęły gdzieś w błękitach na niebios progu.

Dworzec ów myśliwski stał jeszcze w obecnem stuleciu na środku łowickiego rynku, a dęby, sosny, jodły dawno za pośrednictwem Bzury popłynęły Wisłą do Gdańska.

Szczątki dawnych lasów zachowały się jeszcze w południowo-zachodniej części powiatu i w tych jest wzorowe gospodarstwo [1]).

Znaczenie Łowicza datuje się od XIV-go wieku, kiedy Jarosław ze Skotnik, arcybiskup gnieźnieński, wzniósł na sztucznym nasypie nad brzegiem Bzury okazały zamek, uzy-

---

[1]) Polowanie bywa w nich wydzierżawiane, wyjąwszy zwierzyńca przeznaczonego na łowy cesarskie.

skawszy od księcia Ziemowita Mazowieckiego wielkie przywileje dla całej majętności łowickiej. Odtąd arcybiskupi, jako udzielni książęta łowiccy, piastowali tam władzę najwyższą i przyczyniali się do wzrostu miasta, którego mieszkańcom nie wolno było od wyroków arcybiskupa apelować nawet do króla.

Ponieważ Łowicz był przez kilka wieków własnością prymasów, bogatym jest w świątynie Pańskie i różne duchowne instytucye. Z kościołów najznamienitszą jest Kolegiata z pięknemi kaplicami. W jednej z nich znajdują się relikwie i kamień grobowy św. Wiktoryi, pochodzący z IV-go wieku. Jest to płyta z siwego marmuru; po jednej stronie wykuta jest na niej niezgrabna postać dziewczęca, a po drugiej serce gorejące, znak dawany przez pierwotnych chrześcijan tym, którzy męczeńską śmiercią poginęli, a św. Wiktorya poniosła śmierć męczeńską w Rzymie, w czasie prześladowania chrześcijan za cesarza Dyoklecyana.

W kościele tym jest także dużo grobowców arcybiskupów gnieźnieńskich, którzy tam pogrzebani zostali.

Oprócz Kolegiaty jest jeszcze w Łowiczu kościół św. Ducha, św. Leonarda, dawny Pijarów i księży Misyonarzy kaplica, w której sztukaterye i malowidła na murze należą do najpiękniejszych w kraju naszym zabytków.

Obok kościołów były jeszcze w Łowiczu różne klasztory, dziś już nie istniejące.

Łowicz słynął oddawna i słynie dotąd jarmarkami na konie, bydło, wyroby rymarskie i kuśnierskie. W czasie jarmarków wre on jeszcze dawnych czasów życiem.

Włościanie około Łowicza są zamożni, ubierają się dostatnio. Pod względem charakteru z duszą i kośćmi Mazurzy, gotowi do wypitki i wybitki, z wesołą pieśnią na ustach:

„Danaż moja, dana, dana,
Od wieczora aż do rana.

Grajże, grajku, bo daremno,
A ty, Baśko, kręć się ze mną.
Jak się Mazur puści szczerze,
Niech się świat za głowę bierze.

(*Lenartowicz*).

Księstwo łowickie jest dzisiaj własnością cesarską. Nadane ono zostało W. Księciu Konstantemu i jego małżonce Joannie Grudzińskiej, która nosiła tytuł księżnej łowickiej.

Po bezpotomnej śmierci W. Księcia przeszło w posiadanie domu panującego.

Opuszczamy Łowicz, by wyruszyć ku ostatnim krańcom Mazowsza. Gleba coraz urodzajniejsza, to też zaprowadzono tu na wielką skalę plantacye buraków cukrowych i najgłówniejszym przemysłem fabrycznym jest cukrownictwo.

W całej okolicy jest mnóstwo cukrowni, a cukier w nich wyrabiany idzie do Warszawy, Petersburga, Rygi. W samym powiecie kutnowskim istnieje ośm cukrowni, w których wartość wyprodukowanego cukru dochodzi do 3,000,000 rubli, a zajętych jest pracą 4,000 blizko robotników.

Miasto powiatowe *Kutno* jest także handlowe i fabryczne. Posiada kilka garbarni, młyn parowy, fabryki świec, mydła, octu, cykoryi, narzędzi rolniczych, olejarnię, miodosytnię i jest ogniskiem handlu zbożowego.

Przeszłość jego mało znana, gdyż pożar 1753 r. zniszczył dokumenty miejskie. Według podania, Czech, Piotr z Kutna, miał założyć tu siedzibę swą już r. 997 i nadał jej nazwę rodzinnego gniazda.

Będąc położonem w okolicy żyznej i nad koleją, ma Kutno trwałe warunki pomyślnego rozwoju, wzrasta też w liczbę mieszkańców i zamożność.

Lecz czas jechać dalej. Rzucamy spojrzenia na prawo i na lewo.

„Na polu omglonem, jak oko zasięga,
Skończone ostatnie roboty;
I cisza wokoło i gąsior gdzieś gęga,
I ziemia już tylko a płoty:
Po drodze to wózek podróżny zadudni,
To bydlę się przemknie u rowu;
To żóraw wysoki zaskrzypi u studni,
I spokój rozsiada się znowu."

. . . .

A pociąg mknie szybko
. . . . . . w świat szeroki, długi —
Bywajcie mi zdrowe, mazowieckie smugi."

(*Lenartowicz*).

Sobótka, wianki.

W dawnych czasach, kiedy nie wierzono jeszcze w prawdziwego Boga i nie rozumiano zjawisk natury, wyobrażano sobie, że słońce jest wszechpotężnem, dobrotliwem bóstwem, zsyłającem życie ziemi. Bóstwo to należało wielbić, kochać i wdzięczność mu okazywać. Oznaki czci oddawano zwłaszcza słońcu w najdłuższym dniu roku, w tem przekonaniu, że władza jego dochodzi wtedy do szczytu potęgi.

Oto początek obrzędu Sobótki, zwanego inaczej obchodem Kupały albo kupalnocką.

Gdy wiara w Chrystusa oświeciła umysły i skierowała serca ku rzeczywistemu źródłu wszelkiego dobra, przestano czcić bóstwa pogańskie, ale obrzędy zachowano: pojęcia bałwochwalskie połączone zostały z pojęciami chrześcijańskiemi i obchodem sobótki czyli paleniem ogni pod gołem niebem: nie chciano już czcić uwielbianego bóstwa słońca, ale uroczystość tą powiązano z wigilią św. Jana i odbywano ją rok rocznie przez długie wieki [1]).

---

[1]) O obchodzie sobótki świadczą i takie nazwy, jak Sobótka, góra na Śląsku i Soboty pod Gdańskiem.

Dzisiaj piękny ten i poetyczny obrządek prawie już nie istnieje, a szkoda wielka, bo obyczaje przodków, jak świętą spuściznę, szanować należy.

Posłuchajmy, jak dawniej sobótkę obchodzono:

Dnia 23 czerwca, t. j. w wigilię św. Jana Chrzciciela, jeszcze przed zachodem słońca, dziewczęta wiejskie biegły gromadnie na pole szukać ziół niezbędnych do tego obrzędu. Zbierały rośliny cudowne, przynoszące szczęście, jak: bylicę, paproć, łopian, dziewannę, kupalnicę, macierzankę, i plotły z nich wieńce i girlandy, któremi przystrajały głowy i przepasywały ramiona. W tym czasie parobcy znosili pęki chróstu i układali je w stosy na najbliższym ugorze, albo też na wzgórzach, okalających wioskę.



Sobótka.

Gdy zgasły ostatnie dnia blaski i mrok zapadać zaczął, około ułożonych stosów zawrzało życie. Błysnęły iskry i wnet chróst suchy buchnął płomieniem, a razem ze światłem ognia zabrzmiała pieśń obrzędowa sobótki.

Pieśni te w różnych stronach kraju bywały rozmaite: zwracano się w nich do parobków, dając im radę, gdzie mają szukać żony, wypowiadano wróżby dziewczętom co do zamążpójścia, wyliczano ich cnoty i wady, a bardzo często wspominano bylicę, jako najgłówniejsze ziele przy obrzędzie sobótek. W innych piosenkach zachowały się z pogańskich czasów wezwania do bóstwa owoców i płodów ziemi, lud powtarzał wyraz Kupała, nie zdając sobie sprawy, jakie miał przedtem znaczenie.

Dziewczęta, śpiewając pieśni, trzymały się za ręce i tańczyły około ogniska, rzucając przytem od czasu do czasu pęki ziół cudownych, a zwłaszcza bylicy.

Gdy zmęczone tańcem i śpiewem zamilkły na chwilę i usunęły się na bok, wtedy parobcy występowali, swoją zręczność okazując skakaniem przez płonące ogniska. Niejeden się potknął, przewrócił, czasami i poparzył trochę, lecz taki nieprzyjemny wypadek ożywiał tylko jeszcze więcej zabawę.

Im było gwarniej i weselej około płonących sobótek, tem ciszej stawało się w wiosce. Znęceni odgłosem pieśni, zwabieni blaskiem ogni, niemal wszyscy mieszkańcy pośpieszyli do młodych. Nawet babki—nieraz z wnukiem na ręku—i starcy sędziwi powlekli się ku miejscu zabawy, aby jej widokiem przypomnieć sobie młode lata.

A widok też był uroczy: pląsające dziewczęta w płótniankach i wieńcach wyglądały jak białe duchy, wyprawiające korowód. Blask ogni na tle ciemnej nocy malował prześlicznie wszystkie postacie: główki dziecięce świeciły złotem, siwe włosy starych — srebrem; samodział i siermięgi błyszczały jak drogocenne materye, a cała wiejska gromada wydawała się piękną, wesołą drużyną królewską z cudownej bajki... Nad głowami uczestników zabawy wykwitało coraz więcej jasnych gwiazdeczek, sierp księżyca wypłynął na ciemne błękity nieba, a cicha, wonna, ciepła nocka czerwcowa upajała swym czarem...

Pieśni, tańce, wesołe śmiechy i rozmowy przeciągały się przez noc całą; dopiero z ukazaniem się pierwszych brzasków dziennych porzucano dogasające ogniska, aby wrócić do chaty. W drodze brzmiała jeszcze piosenka:

„Liście padają na wszystkie strony
A ty, Janeczku, szukaj *se* żony.

Abo ja jej mam daleko szukać?
Pójdę do Marysi w okienko pukać.

Oj puk! puk! w okieneczko,
Wyjdźże, Maryś — kochaneczko,
Sama jedyna.

Albo:

„Jest tam u Gasperów
Nadobna Basiunia;
Ma wianeczek z bożedrzewka,
Najładniejsza we wsi dziewka,
Mój biały Janie.

Jest tam u Tomalów
Nadobna Magdusia,
Cała taka, jak pokrzywa,
Z ludzi *se* tylo wykpiwa,
Mój biały Janie!"

Albo:

„O mój Łukaszu, kędyżeś bywał?"
„Na polum, Maryś, bylickę zbierał."
(*Z okolic Sandomierza*).

Koło Jana, koło Jana,
Nocel mala, kopiel [1]) moja,
Tam dziewczęta się schodziły,
Nocel mała, kopiel moja.
Sobie ogień nałożyły,
Nocel mała, kopiel moja.
Tam ich północ ciemna nasła,
Nocel mała, kopiel moja.
(*Z okolic Tykocina w łomżyńskiem*).

---

[1]) Kopiel znaczy prawdopodobnie kąpiel; jest przypuszczenie, że w czasach pogańskich zaczynano obrząd sobótek od kąpieli w rzece.

Pieśni sobótkowe milkną z biegiem czasu, a obchód ich ginie, tak jak wiele innych narodowych obrzędów. Gdzieniegdzie tylko jeszcze w noc świętojańską ogniska płoną i pieśni o białym Janie i byliczce wtórują trzaskaniu palącego się chróstu.

Że sobótka jednak była uroczystym obrzędem, świadczy i to, że dwóch naszych poetów, a mianowicie Jan Kochanowski i Seweryn Goszczyński, opisali ją wierszem.

Oto śpiew „Panny drugiej“ z Sobótki Kochanowskiego:

„To moja największa wada,
Że tańcuję bardzo rada:
Powiedzcież mi, me sąsiady,
Jest tu która bez tej wady?

Wszystkie mi się uśmiechacie,
Podobno zemną trzymacie:
Postępujmyż tedy krokiem,
Ale nie masz jako skokiem.

Skokiem taniec najsnadniejszy,
A tem jeszcze pochodniejszy [1]),
Kiedy w bęben przybijają,
Same nogi prawie drgają!

Ja się nie umiem frasować,
Też radzę drugim zachować:
Bo w trosce człowiek zgrzybieje,
Pierwej, niż się sam spodzieje.

Ale gdzie dobra myśl płuży,
Tam i zdrowie lepiej służy.
Za mną, za mną, piękne koło,
Opiewając mi wesoło.“

---

[1]) Posuwistszy.

Seweryn Goszczyński opisał sobótkę w Tatrach; oto kilka wierszy z jego utworu:

„Luby góralom ten wieczór czerwcowy:
Na piersiach wyżni [1]) spłonie stos sobótki,
Brzmią długie trąby, przygrywają dudki,
Krociami dzwonków igrają parowy;
Pod biciem siekier jęczą ciemne lasy,
Pod trupem jodeł wzgórza się wzdrygają;
Nucą juhaski, hukają juhasy,
Wszystko wre gwarem i góralów zgrają.
Drogi góralom ten wieczór czerwcowy,
Na piersiach wyżni, nad przejrzystą wodą,
Wzniosą stos wielki, dwunasto jodłowy,
I roczną ucztę do ranka zawiodą.“

. . . .

Lepiej od sobótek zachowały się „Wianki,“ obchodzone także w wigilię świętego Jana.

Dziewczęta plotą wieńce i rzucają je na bieżącą wodę, a chłopcy w łodziach je gonią i chwytają. Do wieńców przyczepiają niekiedy płonące świeczki i jeżeli świeczka przed pochwyceniem wianka nie zgaśnie, to dobra wróżba dla dziewczęcia: nieomylny (!) znak prędkiego wyjścia za mąż.

O obchodzie wianków mnóstwo jest ładnych ludowych piosenek. Jedna z nich tak się zaczyna:

„W polu lipeńka, w polu zielona
Listeczki opuściła,
Pod nią dziewczyna, pod nią jedyna
Parę wianuszków wiła.

A oto druga:

Nasieję ja ruty w moim ogrodzie,
Uwiję ja parę wianków,
Puszczę po wodzie.

---

[1]) Wierzchołek.

Jeden sobie Jasio wybrał, z wiankiem popłynął,
A jak stąpnął jedną nóżką,
W Dunaju [1]) zginął.

Wianki prześlicznie obchodzone bywają w Warszawie.

Urządzają korowody łodzi na Wiśle, śpiewy chóralne, tańce i żywe obrazy na tratwach, oświetlone bengalskimi ogniami i w niebo strzelającemi rakietami.

Tysiące, tysiące ludzi śpieszy wtedy na brzeg rzeki, około przystani Towarzystwa wioślarskiego, bo stamtąd wypływają tratwy i łodzie i tam skupia się głównie zabawa.

Taki obchód wianków, chociaż różni się bardzo od dawnego pogańskiego obrządku, ale zawsze jest przypomnieniem czasów minionych i zabawą pełną uroku.

W dorzeczu Narwi i poza Narwią.

Z cieniów puszczy Białowieskiej wypływa na słońce jakaś rzeka... To Narew. Wolno, leniwie, jakby jej żal było opuszczać samotne gąszcze leśne, przerzyna pola grodzieńskiej gubernii i równiny Podlasia. Nie płynie sama. Po drodze garnie się ku niej mnóstwo strumieni i rzeczek, jak: Narewka, Supraśl w ziemi bielskiej, Biebrza, Pissa, Skrwa, Wkra, Orzyc na Mazowszu i wiele innych, od południa zaś na spotkanie z dumną panią dąży

. . . . wesoły ów żeniec
Bug kłosonośny. Codziennie on w wieniec
Statków ładownych pszenicą się stroi,
Wieczne na wodach wyprawia okrężne.

Korzystając z większej spadzistości gruntu, przyśpiesza Narew biegu, pod Serockiem łączy się z Bugiem, przepływa

[1]) Dunaj w znaczeniu wielkiej wody.

chyżo kawałek drogi i w samem sercu Mazowsza w ramiona Wisły wpada.

Wody Narwi są ciemno-sinej barwy, bo w pochodzie swym przez lasy zabierają mnóstwo gnijących cząstek drzewnych. Barwę tę rzeka nawet po złączeniu się z Wisłą zachowuje przez czas długi. W jednem korycie, równo, jakby nożem odcięte płyną dwie smugi. Z lewej mętno-płowe fale Wisły — z prawej przejrzysto-zielonawa woda Narwi.

Poetka nasza, Deotyma, tak o tem zjawisku pisze:

A teraz z drogi... Oto z wielkim szumem
Nadchodzi Narew cała upowita
W płaszcz tkany złotem, ciemno-szmaragdowy,
Narew tak dumna, że gdy Wisłę wita,
Zarzuca ciemny fałd opony swojej
Na modrą suknię, co spływa z królowej.

A jaka jest naturalna przyczyna tego rozdziału wód? Bardzo prosta: rzeka pędzi tak gwałtownie, że nawet płynąc w jednem korycie z Wisłą, długo swą siłę zachowuje i wody w skupieniu trzyma.

Przy ujściu rzeki, niby smok bajeczny, strzegący wejścia do zaczarowanego zamku, siadła potężna twierdza i całym szeregiem paszcz armatnich broni nieprzyjacielowi dostępu do kraju. Twierdza zwie się *Nowo-Gieorgiewsk*, dawniej Modlin.

Brzegi Narwi urozmaicone wielce. W tak zwanych widłach między Narwią a Biebrzą leżą po obu stronach rzeki rozległe, porosłe szuwarem błota. W tych szuwarach gnieździły się dawniej krocie ptactwa wodnego — w gąszczach zaś nad brzegiem strumieni stały liczne żeremie bobrowe. Teraz z bobrów ani śladu, ptactwo zaś strzelby myśliwców do jednej dziesiątej przetrzebiły.

Nieco dalej krajobraz weselszy. Opiszemy go słowami poety.

Nad błękitną moją Narwią
Najpiękniej się łąki barwią,
Najmiłośniej szumią drzewa
I najmilej słowik śpiewa.
Nad tą rzeką, nad tą moją,
Poświęcane chaty stoją,
A w nich zbożność i prostota
I pogoda mieszka złota. (*Gomulicki*).

Jeziora.

Przez długie lata Narew była najlepszą drogą, łączącą Wisłę z Niemnem.

Wsiadało się na łódź, przypuśćmy w Nowo-Gieorgiewsku, płynęło w górę Narwi, a potem przez Biebrzę i Nettę, dopływ Biebrzy, do kanału Augustowskiego. Kanał ten, długi na 438 wiorst, przechodzi częściowo przez resztki sławnej puszczy, gdzie Zygmunt August na tury i dziki polował, i prowadzi do jeziora Augustowskiego. Przepłynąwszy je, oraz cały szereg drobniejszych jezior, statek przez Czarną Hańczę jest u celu podróży — u brzegu Niemna.

Niemen szczelnie zamyka gubernię suwalską ze wschodu i północy. Granicę suchą na południu tworzy powiat szczuczyński, a na zachodzie Prusy.

Gubernia suwalska, odosobniona od innych i najbardziej wysunięta na północ, zajmuje stoki Pojezierza. Pojezierze zaś jest to rozległa wyżyna łukowato ciągnąca się w pewnej odległości od Baltyku. Na wyżynie tu owdzie podnoszą się wzgórza, piętrzą głazy, a między niemi chowa się taka moc jezior większych i mniejszych, że nazw wszystkich pewnie nikt nie mógłby zapamiętać.

Dość powiedzieć, że sama gubernia suwalska ma ich blizko pięćset. Pokaźna cyfra [1]), nieprawdaż? Naturalnie, że

[1]) Pojezierze opada coraz niżej, aż do tak zwanego pasa wielkich dolin, gdzie leży gubernia warszawsko-siedlecka.

jest między niemi drobiazg do sadzawek podobny, lecz są też i wspaniałe obszary wodne, po kilka wiorst długie, a wszystkie usadowiły się najliczniej w środkowej części gubernii.

Do największych należą: Augustowskie, Sejneńskie, Wigry, Duś, Metele, Wisztyniec na granicy pruskiej. Bogata wyobraźnia ludu, każde prawie jezioro przystroiła jakąś legendą lub związała z wspomnieniem dziejowem, jakąś baśnią czarodziejską.

I tak mówią jedni, że jezioro Augustowskie Zygmunt August kazał wykopać jeńcom wojennym, drudzy zaś z całą powagą utrzymują, że to dzieło Twardowskiego, wykonane w ciągu jednej nocy, z pomocą całego zastępu mocy piekielnych.

W jednej z piękniejszych okolic powiatu suwalskiego rozciąga się największe w kraju jezioro Wigry, przeszło milę długie. Kształt jego dziwaczny — nieco literę S przypomina, szerokość miejscami różna, obszar wynosi około 34 wiorst kw., a brzegi lasem obrosłe.

Na wyspie wśród jeziora wznosi się kościół i ruiny klasztoru Kamedułów (Eremitów), założonego w XVII-ym stuleciu. Dawniej zaś, jak stare kroniki głoszą, istniało tam „uroczysko“, w porze łowów odwiedzane przez władców Litwy. Dwie drogi prowadziły z wyspy na ląd stały — grobla kunsztownie przez zakonników zbudowana i głębokie przejście podziemne, dzisiaj zasypane w części i niemożliwe do przebycia.

Nie szczędzili trudów oo. Kameduli. Bagnistą wyspę osuszono rowami, nawieziono setki tysięcy fur dobrej rodzajnej ziemi, siano, sadzono... Bóg pobłogosławił pracy, niedługo zazieleniły się krzewy, zaszumiały drzewa. Rozum i wytrwałość zamieniły błotnistą pustynię w wonny, uroczy zakątek. Ale niszcząca ręka czasu przesunęła się po pracy ludzkiej.

I cóż z niej zostało? Ruiny i wspomnienie. Pierwsze wiatry jako okruszyny pyłu rozniosą po polach, drugie wiecznie żyć powinno.

Bożyszczem być nie przestał posąg, choć strącony,
Ni świątynią przybytek, choć dawno zburzony.

Świątynia wciąż trwa i, mimo zaniedbania, niejedną osobliwością się szczyci, jak naprzykład pięknym obrazem



Kościół i ruiny klasztoru oo. Kamedułów na wyspie jeziora Wigry.

przedstawiającym Wniebowzięcie Matki Boskiej, pędzla Franciszka Smuglewicza [1]).

W jeziorze wigierskiem poławia się smaczna i delikatna ryba sieja, na północy zwana sigą, której w żadnem innem jeziorze w kraju nie spotyka się nigdy. O zaprowadzeniu tej ryby taką opowiadają historyę.

[1]) Franciszek Smuglewicz, malarz polski ur. 1745 r. — um. 1807 r.

Kiedyś, kiedyś pomiędzy Kamedułami w Wigrach był jeden rodem z Włoch, zapalony lubownik rybołówstwa. Sielawy, szczupaki i inne ryby poławiane w jeziorze nie wystarczały mu. Chciał koniecznie zaprowadzić sieje, które jadał jeszcze w swej ojczyźnie. Ale jak się wziąć do tego? W tem sęk: W owe czasy rybołówstwo nie stało jeszcze tak wysoko, jak obecnie, a o sztucznem zarybianiu stawów zapewne nie wiedziano zgoła.

Chodzi sobie zakonnik jednego wieczoru po celi, rozmyśla, rozmyśla i tak w tych rozmyślaniach utonął, że ani spostrzegł się, gdy dwunasta na zegarze klasztornym uderzyła. Równocześnie z wybiciem ostatniego dźwięku coś zabłysło w celi, rozszedł się zapach siarki — przestraszony zakonnik patrzy, aż tu przed nim stoi w pluderkach obcisłych, we fraku ten jegomość, którego Mickiewicz w balladzie „Pani Twardowska“ takiemi opisuje słowy:

Istny Niemiec, sztuczka kusa,
Skłonił się gościom układnie.
Zdjął kapelusz i dał susa
Z kielicha, aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie.
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznogcie.

Niespodziewany gość Kameduły kubek w kubek wyglądał tak samo. Z pod fraka zwieszał się długi ogon, a na głowie sterczały ostre różki...

Skłonił się dyablik zakonnikowi i powiada:

— Wielebny ojcze, wiem powód twej zadumy. Ale nic z tego, siei w jeziorze nie będzie, chyba, że ja ci dopomogę.

— Cóż chcesz za pomoc? — spytał Kameduła.

— O! nic wielkiego — żebyśmy tylko zakład zrobili. Ja polecę do Włoch, nachwytam po jeziorach tyle siei, ile tylko udźwignąć będzie można i rozrzucę po jeziorze. Muszę jednak-

że w mig sprawić się z robotą, bo Włochy daleko, a ryba wyjęta z wody wnet życie traci. Jak myślisz, szanowny ojcze, wiele na to czasu trzeba?

— Mniej więcej dwa, trzy dni—odpowiedział zakonnik.

Zaiskrzyły się szatanowi ślepie z radości, że zakonnik w rozmowę z nim się wdaje, boć przecie mógłby go odrazu krzyżem świętym het na cztery wiatry przepędzić, więc w zapale wykrzyknął.

— Za godzinę będę z powrotem.—A widząc powątpiewanie na twarzy Kameduły, dodał:

— Załóżmy się. Jeżeli wrócę na czas i zarybię jezioro, tak, że w niem pełno siei po wszystkie będzie czasy, to szanowny ojciec w nagrodę da mi duszyczkę swoją... Czy zgoda? Bardzo jednak być może, że się spóźnię, droga daleka, a godzina mija tak prędko. Ponieważ jednak słowo się rzekło, więc go nie cofam. Spóźnię się choć o ćwierć minuty, moja przegrana: sieje wrzucę do jeziora, a sam wrócę z kwitkiem tam, skąd przyszedłem.

Od słowa do słowa, z targu w targ, stanęło na tem, że dyablik ma za pół godziny cały transport ryb z Włoch dostawić.

Trochę z początku kręcił kusy rogami na tak krótki termin, ale w końcu namyślił się i wyleciał oknem, tak iż tylko zafurczało w powietrzu.

Zakonnik tymczasem chodzi po celi i cieszy się, że dyabła wyprowadził w pole. Bo gdzieżby kto w półgodziny z tak dalekiej strony mógł powrócić? Pomału jednakże strach zaczyna go ogarniać, strach coraz większy — już i nogi dygocą pod nim i pot zlewa czoło... A nuż dyabeł na czas powróci? A nuż...

— Jezu Chryste, ratuj mnie grzesznika! — wykrzyknął i ile miał siły pobiegł na wieżę, ażeby zblizka popatrzeć na fatalne wskazówki zegara.

Już tylko pięciu minut brakuje... Przerażony zakonnik padł na kolana i wielkim głosem miłosierdzia Bożego wzywać

począł. — Nie karz mnie Panie za lekkomyślność! Daruj! I krzyżem świętym machał w powietrzu, żeby złemu dochowi przystęp do siebie utrudnić.

Wtem coś w oddali zahuczało, iście jakby grzmot szedł po chmurach... Zakonnik wpół żywy żegna się ciągle... a grzmot wzmaga się... rośnie... huczy, niby morze w gniewie... Ogłuszony, nawpół żywy pada nieszczęśliwy Kameduła na ziemię i choć nie widzi, czuje, jak postać straszna wskroś przez powietrze ku niemu zdąża, jak krogulcze szpony dosięgnąć go mają, gdy wtem zegar bić zaczyna... Jeden, dwa! O Boże miłosierny, co się to stało? Przed chwilą brakowało tylko pięciu minut, a teraz już druga! Cud! Cud! Dzięki Ci, Boże!

Korzy się zakonnik przed Panem — a tuż obok rozlega się zgrzyt straszliwy, potem szum i plusk, jakby tysiące drobnych ciałek w wodę wpadało. To dyabeł zawiedziony i wściekły z gniewu, że się spóźnił, rzucił sieję w jezioro, a sam runął z powrotem do piekła. Ale ze złości ścisnął tak mocno biedne ryby, że krwią się zalały i od tej chwili sieje wydobyte z wody zawsze są zakrwawione.

W ten sposób tłómaczą sobie to zjawisko ludzie nieoświeceni; nauka mówi co innego, a mianowicie, że sieja wyjęta z wody natychmiast dusi się i krew ją zalewa.

Nieco ku wschodowi, na granicy powiatu sejneńskiego i kalwaryjskiego, leżą dwa wielkie jeziora: Duś i Metele. Pierwsze, blizko na milę długie, tem jest osobliwe, iż miota na brzegi piasek świecący jak złoto, złożony z mieszaniny miki, kwarcu i krzemionki. I to jezioro ma swoje podanie nie pozbawione poezyi.

Przed kilku, a może i kilkunastu setkami lat, w tem miejscu, gdzie teraz fale biją o brzegi, leżała śliczna dolina. Na łąkach trawa po pas człowiekowi sięgała, a pasterze, przygrywając na ligawkach, pilnowali licznych stad pięknego bydła. Wesołość

i szczęście mieszkały w dolinie. Aliści jednego razu między pasterzami staje anioł biały i powiada: „Zmiany wielkie dziać się będą na ziemi, lecz iżeście byli dobrzy, Bóg nie chce waszej zagłady. Opuśćcie co rychlej to miejsce wy, i rodziny i trzody wasze“. Pasterze posłuszni byli wezwaniu—i zaledwie ostatni z nich wyszedł z doliny, roztworzyła się ziemia, wytrysnął słup wody i w chwil kilka żyzne łąki w rozległe jezioro zamienił.

- - - -

Niedaleko od jeziora Duś leży wieś litewska Święte-Jeziory. W pośrodku wsi świeci gładka, jak zwierciadło, toń wodna. Podobnoć tam, nad owem jeziorkiem Litwini za czasów Jagiełły odbierali z rąk kapłanów chrzest święty. Lud dzielono na gromady, osobno mężczyźni, osobno kobiety, a dla pośpiechu chrzczono razem, całej gromadzie nadając jedno imię, poczem każdy otrzymywał z rąk królewskich szatę białą na znak niewinności duszy, którą chrzest święty obmył z grzechów. A działo się to, jak wszystkim wiadomo, w końcu XIV-go wieku. I tak dalej, i tak dalej, każde niemal jezioro ma swoją legendę —. ale czy podobna wymieniać wszystkie!

Jeziora bogate są w ryby i to w najprzedniejsze gatunki. Jesiotry, sielawy, sieje, pstrągi, minogi rozchodzą się z guberni suwalskiej na kraj cały, a rybołówstwo rozkwita coraz bardziej. Niestety jednak, cały handel skupia się przeważnie w ręku żydów, wyzyskujących ubogą ludność rybacką.

Lasy.

Dwa bogactwa posiada gubernia suwalska: jeziora i lasy. A jedno wypływa z drugiego, jest jego koniecznem następstwem. Gdzie dużo wody, tam dużo wilgoci w powietrzu, a gdzie wilgoć, tam i roślinność bujna.

Ciągną się te lasy od południa, aż het na północ za Niemen i teraz jeszcze zajmują więcej niż czwartą część gubernii. Przed wieki zaś była to niby jedna puszcza, zwarta, nieprze-

byta, pełna tajemniczych gęstwin i ostępów, ludzką niedotkniętych stopą, tak że nawet myśliwiec, jak mówi poeta:

Zna je ledwie po wierzchu ich postać, ich lice,
Lecz obce mu ich wnętrzne serca tajemnice.
. . . .
Czasem tylko w pogoni zaciekłe ogary,
Wpadłszy niebacznie między bagna, mchy i jary,
Wnętrznej ich okropności rażone widokiem,
Uciekają skowycząc z obłąkanym wzrokiem,
I długo potem ręką pana już głaskane
Drżą jeszcze u nóg jego strachem opętane.
Te puszcz stołeczne, ludziom nieznane tajniki
W języku swoim strzelcy zowią: Mateczniki.
(*Mickiewicz—Pan Tadeusz*).

Teraz z mateczników nie pozostało, jak to mówią, ani dymu, ani popiołu. Proch i huk wytrzebiły niedźwiedzi, dziki, tury, a ich istnienie przed laty przypominają dziś tylko nazwy wiosek, np. Taurokenie (żubrowy dwór), Miszkapiesze (niedźwiedzia łąka), Kiebliszki (kieblis—dzik), Żubrówka i inne. Ze zwierząt pozostał tylko podlejszy drobiazg leśny, jak: wilki, lisy, sarny, zające i kuny. Siekiera również nie szczędziła drzew, ale choć machała na prawo i na lewo, lasy wciąż trwają, a łącząc się z sobą, obejmują często kilkunasto-milową przestrzeń, także np. podróż z Suwałk do Grodna prawie ciągle lasami się odbywa.

Zależnie od rodzaju gruntu liściaste i iglaste drzewa przeplatają się miejscami. Do opisania ich zapożyczamy słów poety:

. . . . w około ciągnęły się lasy
Litewskie, tak poważne i tak pełne krasy.
Czeremchy oplecione dzikich chmielów wieńcem,
Jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem,

Leszczyna jak menada z zielonemi berły,
Ubranemi jak w grona, w orzechowe perły;
A niżej dziatwa leśna: głóg w objęciu kalin,
Ożyna czarne usta tuląca do malin
A dalej jakby starce na dzieci i wnuki
Patrzą, siedząc w milczeniu, tu sędziwe buki,
Tam matrony topole, mechami brodaty
Dąb, włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty,
Wspiera się, jak na grobów połamanych słupach,
Na dębów, przodków swoich, skamieniałych trupach.
(*Mickiewicz — Pan Tadeusz*).

Przemysł drzewny bardzo rozwinięty. Ku północy przeważały lipy, więc i tamte strony słynęły z przednich miodów. Dębowe lasy dostarczały materyału do fabryk mebli i posadzek, jak np. w okolicach miasta Poniemonia, dostarczały karmu dla nierogacizny, stąd hodowla trzody chlewnej i wybór sławnych wędlin. Tam znowu, gdzie gleba urodzajniejsza, kwitnie rolnictwo, uprawiają chmiel, to też browarów i gorzelni nie brakuje, sieją len, konopie, tkają wzorzystą bieliznę stołową, płócienka różnokolorowe, oraz cieńsze i grubsze płótno. Te ostatnie obejmują ogólną nazwą „partu.“

Tak to matka ziemia karmi i odziewa swe dziatki.

Ludność, zamieszkująca gubernię suwalską, różni się między sobą. Północ a południe gubernii, to niby dwa plemienne obozy, między którymi granicę przeciągnąćby trzeba od Filipowa nad granicą pruską aż do Niemna. Obozy te jednak bratersko dla siebie usposobione, coraz więcej zlewają się razem.

Na północy lud pobratymczy sąsiadom z za Niemna nosi bure sukmany, wielkie czapy z lisiemi uszami, a na nogach

łapcie plecione z łyka, lub kłumpie [1]) z drzewa. Gdy wstąpisz do chaty, powitają cię wyrazami „*Tegelbus pagarbientas Jezus Chrystus*“ — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Jeżeli dzień upalny, to na stole znajdzie się *chołojec* (chłodnik) w glinianej hładyszce, jeżeli zimno dokucza, to postawią przed tobą misę pęcaku [2]), a zamożniejsi to i *kumpi* [3]) i tłustych *skiłandzi* [4]) (salceson), nie pożałuje gościowi, którego na drogę pożegnają „*Wazinasit su Diewu*“ — Idźcie z Bogiem.



Z okolic Augustowa.

Ku południowi gubernii suwalskiej zobaczymy strój odmienny: białe lub granatowe sukmany, czapki z daszkiem i długie buty za kolana, a u dziewcząt zielone wianki na głowie, co ślicznie wygląda. I tam przywitają cię grzecznie i po chrześcijańsku, za stół posadzą i uczęstują domowymi przysmakami. Najpierw jednakże przepiją do gościa wódką, słusznie „utrapienicą“ przezwaną, a potem stawiać będą „oładzie“,

[1]) Kłumpie — chodaki z drzewa lipowego wyrobione.
[2]) Pęcak — krupy jęczmienne lub inne, grube bardzo otłuczone w stępie.
[3]) Kumpie — wędzona baranina.
[4]) Skiłandzi — rodzaj salcesonu.

placki z surowych tartych kartofli, smażone na tłuszczu, recuszki, lub mleko zsiadłe, a to zależnie czy będzie połudzień (obiad) czy odwiecerz (podwieczorek).

Zamożności wielkiej próżno tam szukać po chatach; lud oddawna był i jest ubogim, więc zżył się ze swą biedą poniekąd i mówi: „Jęczmienny chleb nie głód, zgrzebna koszula nie nagota.“ A chociaż mu czasem i chłodno i głodno, nie zapomina piosenki, bo piosenka to dobry przyjaciel, wypędza złe myśli z głowy, a smutek i zgryzotę z serca. Więc czy to w polu, czy w domu wieśniak śpiewem rezonu sobie dodaje, nucąc:



Z okolic Suwałk.

Czy tylko ten śpie-
[wa,
Co w rozkoszach ży-
[je?
Mogę i ja śpiewać,
Choć mnie bieda bi-
[je.

I mają słuszność ci, którzy na przekór biedzie pogodną twarz i wesołość w sercu chowają, bo jak mówi poeta:

Złą dolę znoś jak dobrą,
Mając to na względzie,
Że gdy będziesz źle znosił,
Gorzej ci z tem będzie. (*Asnyk*).

Cechy plemienne między ludnością gubernii suwalskiej nikną i ścierają się coraz więcej, szczególniej w tem, co się tyczy ubiorów, zwyczajów, pokarmów. Najwięcej pozostało ich w mowie.

W okolicach Augustowa mięso nazywają *nięso*, wiadro — *ziadro*, gęś — *gięś*, zamiast „wielki wiatr wieje“ — *zielki ziatr zieje*, zamiast „będę bielił bieliznę, żeby była biała“ — *będę bzilił bziliznę, żeby była bziała* i t. p. Mnóstwo jest także czysto miejscowych, dla obcego niezrozumiałych wyrazów, np. „konozić się“ niecierpliwić się, *na-wzder* na przekorę, *wrżeczy* żarem, *obdzień* w ciągu jednego dnia, *siertać się* dąsać. Wogóle jednak im więcej ku północy, tem mowa czystsza, tak, że w okolicach Sejn większa część przytoczonych prowincyonalizmów mało już jest używana.

Traktem do Suwałk.

Północną część gubernii suwalskiej od *Kowna* do *Wierzbołowa*, przerzyna linia drogi żelaznej, środkiem zaś na *Maryampol*, *Suwałki* idzie trakt wspaniały, czterema rzędami drzew wysadzony, którym niegdyś panujący jeździli z Warszawy do Petersburga, bo nawet, jak lud mówi, w tym celu głównie był wytknięty.

Mijając po drodze wioski o typowem zakończeniu na *iszki* np. Kaczergiszki, Michaliszki, i na *upie*, jak Tartupie, dojeżdżamy do powiatowego miasta *Maryampola.* Pod względem ludności zajmuje ono po Suwałkach drugie miejsce, ale niczem osobliwem nie odznacza się, ma tylko ładny ogród spacerowy. Okolica nieco ciekawsza, niż miasto. Niedaleko miasteczka *Pren* w powiecie Maryampolskim odkryto w ostatnich czasach źródła słono - siarczane z własnościami solanek ciechocińskich. Miejscowość ta wkrótce ma być oddana do użytku chorych.

O wiorst szesnaście za Maryampolem leży *Kalwarya*, zwana żydowską, dla odróżnienia od wielu innych miejscowo-

ści tej samej nazwy. Pod miastem wznosi się wysoki kopiec, zwany górą Perkuna, zabytek czasów pogańskich, i spotykają się tak zwane uroczyska.

W miarę posuwania się na południe gubernii suwalskiej, kraj coraz piękniejszy. Jeziora błękitną, wiecznie otwartą źrenicą patrzą w niebo, wśród zielonych lasów kryją się pogańskie kurhany, wyniosłe wzgórza przerzynają jednostajną łąk równinę.

W lesie Białorogi, na drodze do Suwałk, kryje się miejscowość cudna, Szwajcaryą zwana, cel wycieczek mieszkańców okolicznych.

W odległości trzech mil od Suwałk, w okolicy przezwanej „Traktem Zapuszczańskim" leży wieś Dowspuda. Nazwa pochodzi od wyrazów „Diewąspadiek"—Boże dopomóż. W XVI wieku należała do Eustachego Wołłowicza. Później zaś przeszła do rodziny Paców, którzy wznieśli śliczny pałac, istne arcydzieło budownictwa. Obecnie z całej budowli została tylko część głównego korpusu i lekka, wysmukła, cudna wieżyczka, niby sierota, tuląca się do szczątków ściany. Mimo opuszczenia, ruiny pałacu w Dowspudzie są jeszcze chlubą i ozdobą okolicy, oraz ulubionem miejscem wycieczek dla mieszkańców Suwałk.

Suwałki.

Każde gubernialne miasto ściąga na siebie więcej oczy, niż powiatowe, każdy więcej się od niego spodziewa. Jest to rzeczą bardzo naturalną. Ale zawiódłby się bardzo ten, ktoby z podobnemi wymaganiami do Suwałk przyjechał.

Nic, ale to zgoła nic godnego uwagi niema w tej stolicy suwalskiej gubernii, chyba tylko wązka pod samem miastem płynąca rzeka Czarna Hańcza, której wody czarne zupełnie od mułu. Długa na wiorstę ulica przerzyna miasto. Na tej ulicy

skupia się głównie życie mieszkańców, wszystkie gmachy rządowe, wszystkie biura tam się mieszczą.

Jakiś domorosły poeta tak się dowcipnie o Suwałkach wyraził:

„Co to za ulica, co przez miasto bieży,
Co to za miasto, co w ulicy leży?"

Wiersz kulawy, ale trafny.

Kościół katolicki jest tylko jeden, zbyt szczupły i ubogi na liczną parafię, bez żadnych pamiątek przeszłości.

Jedyną osobliwością Suwałk są jarmarki. Odbywają się one raz na miesiąc, a charakterystyczną ich cechę stanowi zjazd sekty starowierów, zwanej także Filiponami, a mieszkającej głównie w powiecie augustowskim.

Dwa razy do roku Filiponi tłumnie zjeżdżają się na jarmark. Jarmark ma wówczas dla nich bardzo ważne znaczenie, jest bowiem okresem i sposobnością zawierania związków małżeńskich.

Kawalerowie spacerują po mieście, upatrując między postrojonemi dziewczętami swoich wybranych, a przy spotkaniu się rzucają chustkę jedwabną. Jeżeli dziewczyna zgadza się na wybór, wkłada chustkę na głowę i wraz z swym narzeczonym wsiada do wózka lub sanek zależnie od pory roku. Narzeczony w szybkim pędzie obwozi dziewczynę po mieście i zaręczyny w ten sposób odbyte nabierają mocy i nierozerwalności małżeństwa, którego ślub cerkiewny jest tylko dopełnieniem.

Jałowe grunta otaczają Suwałki. Piękne strony opisywane wyżej już dawno się skończyły. Za miastem leży pole nakształt stepu — a het, het daleko sinieje las sławny swymi świerkami i sosnami.

Nazwę Suwałki lud wywodzi od wyrazu susiwiłkaj (włóczęgi). Kiedyś przed wieki przyszło w to miejsce kilku Litwinów i założylo sobie sadybę, a z biegiem czasu sadyba uro-

sła w miasto. Początkiem jego było zbudowanie w XV-ym wieku drewnianego kościoła przez ojców Kamedułów.

Prawie każda nazwa miejscowości w gubernii suwalskiej nie jest przypadkową, lecz związaną z jakiemś wspomnieniem. Zboczmy np. na wschód od Suwałk do miasta *Sejny*, leżącego nad rzeczką Marychą w dawnej puszczy Olitskiej. Powstało ono za Władysława Jagiełły, a więc w końcu XIV-go wieku. Trzej rycerze starcy, czyli po litewsku *sieniaj*, przybyli tam i osiedlili się na ostatnie lata życia, a od nich poszła nazwa osady. Obecnie w Sejnach mieszka biskup, mieści się tam również seminaryum duchowne.

Na drodze między Suwałkami a Augustowem znajduje się miejscowość *Studzieńcem* zwana, a w niej kościołek z obrazem Matki Boskiej i źródło o cudownych własnościach leczniczych. Liczne kompanie pobożnych miejsce to ciągle odwiedzają.

Na Augustowie zakończymy naszą wędrówkę. Miasto leży nad rzeczką Nettą, a założone zostało przez Zygmunta Augusta w r. 1561, na gruntach królewskiej włości Knyszyn. Wokoło leży gęsta sieć jezior, rzeczek i bagnisk i szumią rozległe, bo 70,000 dziesięcin zajmujące lasy, resztki puszczy augustowskiej.

Linia drogi żelaznej, przeprowadzona od Grodna do Grajewa, nad pruską granicą, przyczyniła się wielce do ożywienia ruchu w gubernii suwalskiej. Łatwość przejazdu zachęci może niejednego do zwiedzenia tych stron naszego kraju, które w postaci swojej godniejsze są widzenia, niż ośnieżone szczyty gór i bryzgające pianą wodospady dalekich krajów.

Posłuchajmy, jak poeta maluje nam brzegi i okolice Narwi:

„Nad błękitną moją Narwią
Najpiękniej się łąki barwią,

Najmiłośniej szumią drzewa
I najmilej słowik śpiewa.
Nad tą rzeką, na tą moją
Poświęcane chaty stoją,
A w nich zbożność i prostota
I pogoda mieszka złota".
(*Wiktor Gomulicki*).

Jeszcze nad Narwią.

Gubernia łomżyńska — to wyżyna pagórkowata z licznemi i rozległemi wklęsłościami. Wyżyna ta rozciąga się w północnej, wschodniej i środkowej części gubernii; sięga od granicy Prus aż do Narwi i Biebrzy, tworząc wysokie i malownicze brzegi obu tych rzek. Na zachodzie obniża się znacznie; występują tu tylko drobne piaszczyste wzgórza, poprzegradzane błotnistemi dolinami. Pomiędzy Narwią a Bugiem jest tylko jedna wyniosłość, tak zwany Czerwony Dwór, porośnięta lasem w znacznej części jeszcze bardzo młodym.

Gleba tu rozmaita. W dorzeczu dolnej Narwi i dopływu jej Orzyca ziemia urodzajna; kwitnie tu też rolnictwo. Ku południo-wschodowi piaszczysta; najbardziej na północy są liczne jeziora i łąki, a na północo-zachód lasy duże, resztki dawnej Myszynieckiej puszczy. Dziś — wskutek trzebieży leśnej — dużo tam już ziemi uprawnej, ale po części piaski, zdatne głównie pod uprawę kartofli.

Przemysł mało rozwinięty i głównie opiera się na rolnictwie. Są tu dość liczne gorzelnie, młyny parowe i wodne, garbarnie i browary. Samego piwa drozdowskiego rozchodzi się za 100,000 rubli. Innych zakładów przemysłowych niewiele, stąd też i handel w zastoju. Głównymi przedmiotami zbytu: zboże, drzewo i okowita.

Pod względem historycznym gubernia łomżyńska obejmuje na północo-wschód i południo-wschód skrawek dawnego Podlasia, które, sąsiadując na północy z województwem troc-

kiem, sięgało aż do wspomnianego Augustowa; reszta obszaru gubernii należała dawniej do Mazowsza.

Mieszkańcy—Mazurzy i Podlasiane. U Mazurów ten sam spryt i ta sama wesołość, co u mieszkaców w okolicach Warszawy; Podlasianie tutejsi niewiele się od nich różnią. Weseli — lubią śpiewać, tańczyć, zbierać się na jarmarki, a na nich podpić sobie — obok tego pobożni bardzo.

„Twoją postać nieuczoną
I twą mowę niepieszczoną
Zapamiętam do mogiły,
Nadnarwiański kmieciu miły!
Wielka czapa z kokardami
I sukmana z pętlicami
Bardziej oczy cieszą moje,
Niż zamorskie dziwne stroje,
Znam twe pieśni i twe baśnie,
Znam przyjaźni, znam i waśnie.
I zawsze mię silnie wzrusza
Twoja prosta, szczera dusza.“

(*Wiktor Gomulicki*).

Mazur wogóle pracowity i przezorny, to też dba o swoje gospodarstwo i utrzymuje je w porządku. Dawnych zwyczajów i połączonych z nimi zabobonów pilnie strzeże i to robi, co ojce i praojce czynili. Przed rozpoczęciem siewu zakopuje na polu wiązki zboża, poświęcone na Matkę Boską Zielną. Zakopuje jednak tylko słomę, a ziarno wprzód starannie wykrusza. Do siejby stosuje rozmaite przysłowia, np. „Siej po grudzie, zbieraj kiedy ludzie.“ „Siej owies w błoto, będzie jak złoto.“ „O Bożem Ciele siej grykę śmiele.“ Gdy zboże kwitnie, mówią, że się „krzy“ i stąd grube i wczesne żyto nazywa się krzycą. Zboże zżęte układa na polu w dziesiątki, t. j. po 10 snopów, a przed ułożeniem go w stodole, zakopuje w zasieku święcone na Boże Ciało wianki. Oprócz róż-

nego gatunku zboża i jarzyn, zasiewają także bóber (bób), bluszczyk (fasola) i soczewkę (soczewica).

W gubernii łomżyńskiej dużo wiosek zamieszkałych jest przez szlachtę zagonową lub zaściankową, jak ją dawniej nazywano. Szlachcic taki obyczajami mało się różni od kmieci, sukmanę tylko nosi innej barwy, ale szlachectwo swoje niezmiernie ceni, tak samo jak i szlachta zagonowa w gub. siedleckiej i w innych stronach kraju.



Mazury.

Główne miasta.

Tykocin, *Wizna*, *Łomża*, *Ostrołęka*—oto główne miasta gubernii, leżące w samym jej środku, nad brzegami Narwi.

Wielce to stary gród ów Tykocin! Rozsiadł się na wschodnich krańcach, nad bystrą rzeką. Miał chwile wzrostu, rozwoju, chwile wesela i chwile klęski. Zygmunt August upodobał sobie to miasto i czuwał troskliwie nad dobrem jego mieszkańców. Zygmunt III-ci tu dłużej z rodziną i dworem swym przebywał, chroniąc się przed morową zarazą. Zamek tykociński, oblegany dwa razy przez Szwedów, był zawsze poczytywany za ważne stanowisko obronne.

Dzisiaj jest ludności tylko 6,000; zamek legł w ruinach,

a największą osobliwością miasta jest kamienny posąg Stefana Czarnieckiego, w rynku stojący, a wzniesiony przez Klemensa Branickiego, r. 1755. Za zasługi położone, w wojnie ze Szwedami, Stefan Czarniecki otrzymał starostwo Tykocińskie i dlatego mu w tem mieście pomnik wzniesiono.



Pomnik Stefana Czarnieckiego w Tykocinie.

I stoi Stefan Czarniecki,
Pogromca szwedzki,
Zbawca ojczyzny.
Hetman o chłodzie i głodzie,
Co nie z soli ani roli,
Ale z tego, co go boli,
Za swoje blizny
Urosł w narodzie!

Chociaż Czarniecki w tykocińskim zamku nie był oblegany przez Szwedów, tylko Paweł Sapieha i Gąsiewski, mimo to do dziś dnia krążą tam o nim różne opowiadania; zapewnie powstały one z tego powodu, że pomnik hetmana wznosi się w mieście, a więc sądzono, że za obronę Tykocina ten zaszczyt go spotkał.

I tak podanie niesie, że ów wielki wojownik nietylko męstwem, ale i różnymi sztucznymi sposobami Szwedów zwyciężał. W czasie bitwy dwie wielkie kule, połączone łańcuchem, z dwóch oddalonych od siebie armat równocześnie wystrzeliwać kazał na nieprzyjaciela i za pośrednictwem owego łańcucha całą kolumnę wojska przeciwników zmiatał odrazu (!) Kiedy go Szwedzi oblegali w Tykocinie (co, jak

już powiedzieliśmy, nie zdarzyło się) postanowił z wróżby się dowiedzieć, w którą stronę ma uderzyć na nieprzyjaciela. Wypuścił tedy z rynku czarną świnię (!) za nią wojsku swojemu podążyć kazał i Szwedów pokonał. Lud twierdzi jeszcze, że dawniej pokazywał się w nocy Czarniecki w okopach tykocińskich, zwanych Zamczyskami. Chodził, trzymając w ręku otwartą księgę, w ubiorze takim, w jakim jest na pomniku.

Niedaleko Tykocina, we wsi Zawadach, kępę, utworzoną dwoma odnogami rzeczki Śliny, nazywają altaną Czarnieckiego.

Niegdyś na tej wyspie miał się znajdować zamek książąt mazowieckich.

W Tykocinie jest pochowany pisarz XVI-go wieku, Łukasz Górnicki [1].



Z okolic Tykocina.

Kościół parafialny, założony przez księżnę mazowiecką Annę, matkę dwóch ostatnich książąt Stanisława i Janusza— to jedyny zabytek dawnej świetności *Wizny*. A przed wie-

[1]) Był on sekretarzem króla Zygmunta Augusta i w nagrodę za gorliwą pracę otrzymał od tegoż króla starostwo tykocińskie. Górnicki pisał różne dzieła. Najważniejsze z nich są: «Dworzanin» i «Dzieje w Koronie» ur. 1528 r. —um. 1602 r.

kami chwały jej nie brakło! Była siedzibą książąt, stolicą ziemi wiskiej, miała piękny obronny zamek.

Wysokie brzegi Narwi nadawały się wybornie do wznoszenia na nich grodów i miejsc warownych. To też nie brakło ich tam dawniej, i Wiktor Gomulicki w dalszym opisie swej ukochanej Narwi tak mówi:

„Do mej rzeki, jak do czary
Przysiadł bokiem zamek stary;
Pije blask jej i pogodę
I wspomina lata młode.
Fala drżąca łaskotliwa
Do stóp samych mu podpływa
I w północną głuchą ciszę
Do snu pieśnią go kołysze.
On jej wzajem rozpowiada
Swoje dzieje od pradziada:
Kto go zrodził, kto wychował,
Kogo kochał, z kim wojował;
Jako niegdyś w ognia fali
Jadźwingowie go skąpali,
Obłożywszy mury wkoło
Stosem głowni, zlanych smołą;
Jako później Szwedów nawał
Dwakroć szturmem go dostawał...“

Dzisiaj z zamków pozostały tylko zwaliska, a po niektórych i śladu już niema. Z dawnego zamku w Wiznie pozostał jedynie wysoki kopiec, który, obsiewany przez mieszkańców zbożem i ogrodowiznami, coraz bardziej niknie.

Tak to ząb czasu niszczy dzieła rąk ludzkich. Dzieła Boskie są wieczne i nieśmiertelne, jak ich Stwórca. Runęły zamki, zniknęły niejedne dawne osady nad Narwią, ale Narew sama płynie od wieków i dotąd — jak przed wiekami — życie krzewi.

Łomża.

Marcin Kromer, opisując Polskę w XVI-ym wieku, wymienia Warszawę, Płock, Łomżę, jako najznakomitsze i największe jej miasta.

Tego samego zdania teraz wypowiedzieć nie możemy; Warszawa wzrosła, Łomża podupadła. Nie jest ona już świetną siedzibą książęcą i królewską, jak za czasów Kromera, ale jako miasto gubernialne ma jednakże swoje znaczenie.

Na rzece mkną ku Wiśle galary ze zbożem i tratwy z drzewem, ruch więc tam i życie, a i w mieście handel ożywiony, bo Łomża połączona jest z Warszawą traktem bitym pierwszego rzędu, prowadzącym do Petersburga, o którym już była mowa. Trakt ten dzisiaj nieco zaniedbany, bo lepsza komunikacya z Warszawą za pośrednictwem drogi żelaznej Warszawsko-petersburskiej, której stacya Czyżew tylko o sześć mil jest od Łomży odległą.

Wzniesiona na wysokiem wzgórzu, po lewym brzegu Narwi, Łomża posiada bardzo malownicze położenie i z tego powodu należy do piękniejszych miast w Królestwie Polskiem. Podnosi się też z rokiem każdym.

Tuż nad Narwią leży stara Łomża; nowa oddalona nieco od rzeki.

A teraz przypatrzmy się, jak wyglądało to miasto za czasów Kromera.

Zdobiły je dwa zamki: jeden — wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, drugi — książąt mazowieckich. Zamki te połączone były podziemnymi gankami. W siedmiu kościołach Łomżanie zanosili modły do Pana Zastępów, w dwóch ratuszach zasiadano do rady, a w ośmnastu śpichlerzach gromadzono zboża zapasy. Posiadało miasto ludwisarnię, arsenał, magazyny soli i prowadziło handel rozległy z Prusami i Litwą.

Około Łomży rozciągały się puszcze: Łomżyńska, Giełczyńska, Ostrołęcka, a do tych puszcz na łowy zjeżdżali książęta i królowie; podobno i królowa Bona przyjeżdżała tu myśliwstwem się zabawiać. Że przebywała w Łomży, świadczy o tem i to, że jeden z zamków nosił nazwę zamku królowej Bony. Córka Bony, Anna Jagiellonka, późniejsza żona Stefana Batorego, przebywała tu po śmierci brata, króla Zygmunta Augusta.

Łomża podupadła wskutek morowej zarazy i różnych wojen, a zwłaszcza szwedzkich.

Góra królowej Bony.

W Szurze, o parę set kroków od starej Łomży, wznosi się okop, zapewnie z czasów wojen szwedzkich, lecz przez lud nazywany górą królowej Bony.

O wzgórzu tem krąży wiele fantastycznych podań, a we wszystkich występuje królowa Bona, zawsze przedstawiona w świetle niekorzystnem, jako zła matka, zła siostra, a na takie wspomnienie zasłużyła sobie w zupełności.

Podług mniemania ludu, na owym okopie stał niegdyś zamek królowej Bony i w nim to gromadziła liczne i cenne skarby. Kiedy już miała ze skarbami wyjechać do Włoch, jedna z jej córek, piękna i dobra królewna, błagała matkę, aby dzieci i kraju nie opuszczała. Rozgniewana Bona wymówiła słowo klątwy i wtedy piękna królewna z dwoma kadziami napełnionemi złotem, zapadła się w ziemię. Skarbów tych do dziś dnia zły duch pilnuje i dopiero w dzień sądu ostatecznego wyjdzie z ukrycia zaklęta królewna.

Inne podanie mówi, że na górze tej mieszkała królowa, a na przeciwległych wzgórzach, gdzie dzisiaj wieś Kalinowo, wśród lasów stał zamek brata królowej. Rodzeństwo żyło w największej niezgodzie, bo królowa była bardzo złą kobietą. Razu jednego kazała przywiązać brata do dzikiego konia, który wystraszony popędził z królem i uniósł go przez

pola i lasy. Zapewnie byłby biedny król zginął śmiercią okropną, lecz pewien odważny wieśniak ze wsi Siemienia zatrzymał konia i oswobodził króla. Za czyn ten został poczciwy kmiotek wynagrodzony dyplomem szlacheckim.

W podaniu tem, że Bona żyła niezgodnie z bratem, pod szatą fantazyi ludowej ukrywa się może ta prawda, że Bona nie mogła się zgodzić z synem.

A podań tyle o Bonie krąży dlatego w tych stronach, że po przyłączeniu Mazowsza do Korony r. 1526, królowa Bona otrzymała je wraz z wszystkiemi miastami i zamkami tytułem odprawy.

Nie stała się jednak królowa Bona aniołem opiekuńczym uzyskanej ziemi. Chciwa, zła, chytra, obłudna, złe tylko po sobie zostawiła wspomnienie. Taka o niej brzmi piosenka:

„A to owa Bona,
Zygmuntowa żona,
Zła kobieta nie potroszka
Z piekła rodem Włoszka!
Wiele zamków posiadła,
I hulała z panami,
Potem Polskę okradła,
I uciekła z skarbami.“

Powiadają, że niema tak złego człowieka, któryby czegoś dobrego nie zrobił. Prawdę tę zastosować można i do królowej Bony. Zasłużyła się ona tem, że rozbudziła wśród Polaków zamiłowanie do ogrodnictwa. Sprowadziła z Włoch różne szczepy owocowe i różne gatunki jarzyn i z tego powodu mówią:

„Sery, pory
I kalafiory,
Któż to nie przyzna,
Że to włoszczyzna“.

Ostrołęka.

Przybywamy w okolicę lasów, piasków i bursztynu. Ostrołęka jest najdawniejszą osadą w obszarze puszczy Ostrołęckiej. A puszcze tam przed wiekami szumiały, oj! szumiały i to nie takie, jak dzisiejsze lasy, ale nieprzebyte knieje, podobne do tych, które Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“ opisuje. Wychwala poeta dzikie ostępy, siedlisko żubrów, wilków i niedźwiedzi, maluje piękność i wielkość prastarych drzew, wyliczając ich gatunki, — mówi, że lasom ojczystym zawdzięcza nawet chwile natchnienia, kiedy — zapomniawszy o łowach — usiadł na kępie i pogrążył się w dumaniu i tak ciągnie dalej:

„A koło mnie srebrzył się: tu mech siwobrody,
Zlany granatem czarnej, zgniecionej jagody,
A tam się czerwieniły urwiste pagórki,
Strojne w brusznice, niby z koralów paciorki,
Wokoło była ciemność; gałęzie u góry
Wisiały, jak zielone, gęste, nizkie chmury;
Wicher kędyś nad sklepem szalał nieruchomym,
Jękiem, szumami, wyciem, łoskotami, gromem:
Dziwny, odurzający hałas! Mnie się zdało,
Że tam nad głową morze wiszące szalało.
Na dole jak ruiny miast: tu wywrót dębu
Wysterka z ziemi, nakształt ogromnego zrębu;
Na nim oparte, jak ścian i kolumn obłamy,
Tam gałęziste kłody, tu wpół zgniłe tramy,
Ogrodzone parkanem traw. W środek tarasu
Zajrzeć straszno: tam siedzą gospodarze lasu,
Dziki, niedźwiedzie, wilki; u wrót leżą kości
Na pół zgryzione jakichś nieostrożnych gości;
Czasem wymkną się w górę, przez trawy zielenie,
Jakby dwa wodotryski, dwa rogi jelenie,

I mignie między drzewa zwierz żółtawym pasem,
Jak promień, kiedy wpadłszy, gaśnie między lasem!!..“

Takie to puszcze szumiały w okolicach dzisiejszej Ostrołęki, a że szumiały na tem miejscu nietylko przed setkami, ale i tysiącami lat, świadczy o tem bursztyn, znajdujący się w ziemi; jest on bowiem niczem innem, tylko skamieniałą żywicą drzew, które ze starości zwaliły się, a potem zapadły w ziemię. Bursztyn około Ostrołęki znajduje się pod warstwami torfu. Najobficiej go w miejscach, gdzie się kilka żył schodzi i tworzy tak zwany „kocieł.“ Obecnie w lasach rządowych nie wolno szukać bursztynu, to też wykopują go znacznie mniej. Wykopany surowiec obrabiają i szlifują w ostrołęckiej fabryce bursztynu.

Ostrołęka jest dzisiaj miastem powiatowem; zdobi ją starożytny kościół parafialny, założony przez księcia mazowieckiego, Janusza, r. 1399. Około tego miasta nieraz się krew lała; pamiętna jest bitwa ze Szwedami r. 1702. I w późniejszych czasach staczano tam także boje.

Kurpie.

Około Ostrołęki mieszkają tak zwani Kurpie. Należą oni do szczepu mazurskiego, a nazywają się tak od obuwia, które sobie wyplatają z łyka lipowego i zowią „kurpiami.“

Siedzieli oni z dawien dawna w puszczy Ostrołęckiej, zwanej także Skwańską albo Myszyniecką, a puszcza ta naturalne miała granice: na południe koryto Narwi, na zachód Omulec, od wschodu Skwę, a od północy granicę pruską.

Nie posiadając ziemi do uprawy, trudnili się Kurpie hodowaniem pszczół po lasach czyli bartnictwem i myśliwstwem, bo zwierza w gąszczach nie brakło. To też rozróżniano między nimi bartników i strzelców. Jak się rządzili strzelcy, o tem nie mamy prawie żadnej wiadomości, ale bartnicy mieli swoje

prawa przez królów potwierdzane i te się w całości zachowały. Bór należał do króla, a bartnik był królewskim niejako dzierżawcą; opłacał podatek w miodzie i małą kwotę pieniężną.

Kurpie nie mieli dawniej ani wiosek, ani żadnych osad; chaty ich były porozrzucane po całym lesie. Naczelnik ich, zwany starostą bartnym, rządził nimi z pomocą dobranych sobie innych urzędników. Dwa razy do roku odbywały się sądy, na które wszyscy bartnicy obowiązani byli się stawić i tam



Kurp.



Kurpianka.

rozsądzano wszelkie sprawy. Prawa bartników były bardzo surowe dla złodziejów; za podbieranie cudzych pszczół często śmiercią karano.

A jednak lud ten pozbawiony był prawie zupełnie oświaty religijnej, gdyż nie miał u siebie ani kościoła, ani kapłanów. Dopiero za panowania Jana Kazimierza, małżonka jego, Marya Kazimiera ufundowała w puszczy pierwszą kaplicę.

Lud to był zręczny, pełen hartu i odwagi; zapisał się też i w historyi walecznymi czynami.

Kiedy w Polsce toczyła się walka r. 1702 między stronnikami Sasa i Leszczyńskiego, Kurpie do żadnego stronnictwa nie należeli, ale ğdy zobaczyli, że Szwed wkrada się do ich ziemi, stanęli pod bronią i zagrodzili mu drogę.

Karol XII-ty, król szwedzki, a stronnik Leszczyńskiego, chciał przejść przez puszczę Myszyniecką; nieprzygotowany był wcale na to, co go tu spotkało. Ów wódz niezwyciężony ujrzał szeregi swe rozbite przez „chłopów nieobutych,“ jak Kurpiów nazywał.

Bitwa ta odbyła się na Kopańskim moście. Dotąd piosenka opiewa te bohaterskie czyny:



Bartnik kurpiowski.

Na Kopańskim moście
Stali dziwni goście
I fuzyje mieli;
O tem nie wiedzieli,
Że Kurpsie też mają
I tęgo strzelają.
Choć Myszyniec płonie
Od rzuconej drzazgi,
My na swym zagonie
Zbzijem was na miazgi;
Najświętsza Maryjo!
Świedy nas zabziją!

Ratuj nas w tej bziedzie,
Staw Kurpsiów na przedzie.
Kurpsie się nie dają,
Świedy uciekają...

Leci król na przedzie,
Za nim Świedy bieżą.
Nic Kurpsiom nie bedzie,
Bo w Maryję wierzą...

Kurpie mówią dość czystą polszczyzną, ale, jak widać z przytoczonej piosenki, dziwnie wymawiają niektóre zgłoski, tak jak lud w augustowskiem, o czem wyżej była mowa.

Dziś — jak wiemy — puszcza zmieniła się nie do poznania, a mieszkańcy jej z bartników i strzelców przerobili się na rolników. Bory w znacznej części zostały wycięte, wykarczowane; miejsca ich zajęły pola piaszczyste, nieurodzajne, na których głównie kartofle uprawiać można; gdzieniegdzie udaje się żyto i różne jarzyny. W pozostałych lasach urządzono leśnictwa, a Kurpie już teraz do nich żadnego nie mają prawa; mieszkają w zwyczajnych wioskach, które bardzo porządnie są zabudowane. Chaty w nich obszerne, z dużemi oknami; podwórze, równie jak wnętrze chaty, jest zwykle bardzo czysto utrzymane; okna ozdobione firankami i doniczkami kwiatów.



Kurpie.



Chata Kurpiów.

Strój noszą taki, jak w dawnych czasach: mężczyźni długie sukmany z ciemno-brunatnego sukna, z wyłogami granatowymi i sztywnym stojącym kołnierzem. Kamizelki noszą tylko od święta; koszulę przewiązują u szyi czerwoną wstążką. Kobiety noszą spódnice w kolorowe pasy własnego wyrobu, sukmanki podobne do męskich i chustki na głowie; osłaniają się z wierzchu

fartuchem, związanym pod szyją, a w zimę owijają się wielką szmatą wełnianą w pasy.

Kurpie przywiązani są niezmiernie do swej ubogiej ziemi; niejeden z nich, gdy go namawiają, aby szedł w świat szukać zarobku, odpowiada: „Tu się rodzili, tu umierali tatulo i matula, tu i mnie pogrzebią.“

Łowy w puszczy.

W puszczy Myszynieckiej, za dawnych czasów, mieli książęta mazowieccy swoje dwory myśliwskie, w których przemieszkiwali, gdy pora łowów nadeszła.

Sławny nasz powieściopisarz, Henryk Sienkiewicz, tak opisuje polowanie księcia Ziemowita mazowieckiego w swej powieści: „Krzyżacy.“

„Daleko w głębi puszczy ozwały się rogi kurpieskie, poczem nastała cisza zupełna. Ledwie niekiedy zaskrzeczała sójka w wierzchołkach sosen, niekiedy zakrakali jak kruki „nawrotnicy,“ których obowiązkiem było nawracać zwierza ku strzelcom. Myśliwi stali na skraju polany, wytężyli oczy na białą, pustą przestrzeń, na której wiatr poruszał oszronionem sitowiem i bezlistnymi krzakami wikliny — każdy czekał z niecierpliwością, jaki też pierwszy zwierz pojawi się na śniegu — wogóle wróżono sobie łowy obfite i wspaniałe, gdyż puszcza roiła się od żubrów, turów i dzików. Kurpie wykurzyli też z barłogów i kilka niedźwiedzi, które zbudzone w ten sposób, chodziły po gąszczach złe, głodne i czujne, domyślając się, że wkrótce przyjdzie im stoczyć walkę nie o spokojny sen zimowy, ale o życie.

Trzeba było jednak czekać długo, gdyż ludzie, którzy parli zwierza ku polanie, zajęli ogromny szmat boru i szli z tak daleka, że do uszu myśliwych nie dochodziło nawet szczekanie psów, które zaraz po odezwaniu się rogów spuszczone zostały ze smyczy.

Wreszcie na skraju polany ukazały się wilki, które, jako najmniejsze, pierwsze usiłowały się wynieść z obieży. Było ich kilka. Ale wpadłszy na polanę i zwietrzywszy wokół ludzi, dały znów nurka w bór, szukając widocznie innego wyjścia. Potem dziki, wynurzywszy się z kniei, poczęły biedz długim, czarnym łańcuchem przez zaśnieżoną przestrzeń. Łańcuch ów zatrzymał się, słuchał, wietrzył, zawracał i znów słuchał: wyboczył ku sieciom, umiejętnie rozpiętym w celu powstrzymania zwierza i, poczuwszy nawrotników, znów puścił się ku myśliwym, chrapiąc, zbliżając się coraz ostrożniej, ale coraz bardziej, póki wreszcie nie rozległ się szczęk żelaznych zastawników przy kuszach, warkot grotów i póki pierwsza krew nie splamiła bladej, śnieżystej podścieli.

Wówczas rozległ się kwik przeraźliwy i stado rozproszyło się, jakby w nie piorun uderzył; jedne poszły na oślep przed siebie, drugie rzuciły się ku sieciom, inne poczęły biegać to w pojedynkę, to po kilka, mieszając się z innym zwierzem, od którego zaroiła się tymczasem polana. Już też dochodziły wyraźnie do uszu głosy rogów, ujadania psów i daleki gwar ludzi, idących z głębi boru.

Pomiędzy dzikami i wilkami biegały całe stada lekkonogich sarn, płowych jeleni i łosiów o łbach ciężkich, ukoronowanych, pomieszane z sobą, wichrzące po polanie, oślepione trwogą i szukające napróżno wyjścia.

Zapał myśliwski ogarnął wszystkich. Księżna, w której zagrała Kiejstutowa, ojcowska krew, wypuszczała grot za grotem w ową pstrą ciżbę, pokrzykując z radości za każdym razem, gdy ugodzony jeleń lub łoś wspinał się w pędzie do góry, a następnie walił się ciężko i kopał śnieg nogami.

Niespodzianie wychynął z szuwarów ogromny, siwy na łopatkach i karku niedźwiedź. Książę strzelił do niego z kuszy, a następnie wypadł ku niemu z oszczepem i gdy zwierz podniósł się, rycząc okropnie, na zadnie łapy, skłuł go w oczach całego dworu.

Polana usłała się wreszcie gęsto trupami wszelkiego rodzaju zwierząt, lecz łowom daleko jeszcze było do końca. Owszem najciekawsza, a zarazem najniebezpieczniejsza ich chwila miała dopiero nadejść. Wypadło kilkanaście turów i żubrów. Szły one jakby w poczuciu swej siły, aż ziemia zaczęła dudnić pod ich ciężarem. Brodate byki, idące na czele gromady, zatrzymywały się chwilami, jakby rozważając, w którą stronę uderzyć. Z potwornych ich płuc wydobywał się głuchy ryk, do podziemnego grzmotu podobny, z nozdrzów dymiło parą, a kopiąc śnieg przedniemi nogami, zdawały się upatrywać z pod grzyw krwawemi oczyma ukrytego nieprzyjaciela.

Tymczasem wartownicy podnieśli ogromny krzyk, zawrzasły rogi, zadrżała puszcza aż hen do najdalszych głębin, a jednocześnie wypadły na polanę ze strasznym harmidrem goniące po tropie psy kurpieskie. Widok ich wprawił zwierzęta w wściekłość. Jeden z turów płowy, olbrzymi, niemal potworny byk, puścił się w ciężkich skokach ku szeregowi strzelców.

Na ten straszny widok nawrotnicy podnieśli krzyk jeszcze większy, w szeregu zaś myśliwych ozwały się przeraźliwe głosy: „Księżna! księżna! ratujcie panią!"

Zbyszko porwał za utkwiony w śniegu oszczep i skoczył na skraj lasu, za nim skoczyło kilku Litwinów, gotowych zginąć w obronie córki Kiejstuta — a wtem zgrzytnęła w rękach pani kusza, zaświszczał grot i, przeleciawszy ponad schylonym łbem zwierzęcia, utkwił w jego karku.

— Dostał! — zawołała księżna — nie pójdzie...

Ale dalsze jej słowa zagłuszył ryk tak straszliwy, że konie przysiadły na zadach. Tur rzucił się, jak burza, wprost na panią, lecz nagle, z niemniejszym pędem wypadł mężny pan de Lorche i z kopią wyciągniętą runął na zwierza.

Obecni ujrzeli przez jedno mgnienie oka kopię, utkwioną w karku byka, która wnet wygięła się, jak pałąk i prysła w drobne złamki, zaczem olbrzymi rogaty łeb zniknął pod brzuchem konia i rumak i jeździec wylecieli jak z procy w po-

wietrze. Koń począł bić w przedśmiertnych drgawkach nogami, oplątując je we własne wyprute trzewia, a tur pastwił się nad nim, orząc rogami jego otwarty brzuch. Pan de Lorche leżał na śniegu bez ruchu. Z boru sypnęli się ludzie na ratunek, a Zbyszko dobiegł pierwszy i wbił ostrze oszczepu pod łopatkę zwierzęcia. Lecz uderzył z takim rozmachem, że oszczep przy nagłym zwrocie tura pękł mu w ręku: na szczęście dopadł Czech Hlawa i podniósłszy oburącz szeroki topór, ciął w kark tura tuż za rogami.

Cięcie było tak straszne, że zwierz runął z przerąbanymi kręgami i łbem niemal do połowy odwalonym".

Na stokach Pojezierza.

Gubernia płocka leży na stokach Pojezierza pruskiego. Dopływy Narwi (Orzyc i Wkra), oraz Wisły (Skrwa i Drwęca) wskazują wyraźnie, że ku południowej stronie wyżyna się obniża, aby, doszedłszy do Wisły, opaść nagle; to też w niektórych miejscach potworzyły się brzegi wysokie na 500 stóp. Na tych wysokich brzegach, obronnych z natury, a nie potrzebujących się lękać rozszalałej w czasie wylewu Wisły, pobudowano miasta: Modlin (dziś forteca Nowo-Georgiewsk), pięknie położony *Zakroczym* [1]), *Wyszogród, Czerwińsk*, jedno z najdawniejszych miast polskich a obecnie osada, *Płock, Dobrzyń*. Grunta w tej gubernii przeważnie gliniaste, niektóre powiaty bardzo żyzne, to też rolnictwo rozwija się tu dobrze i dość rozpowszechniona uprawa pszenicy. Hodują także ziemianie buraki cukrowe, które wywożą za Wisłę lub też do cukrowni w okolicy Ciechanowa. Powiaty północne bardziej błotniste. Jeszcze dzisiaj tam jezior sporo, a dawniej było ich więcej, lecz zamuliły się lub powysychały. W tych stronach hodują dużo bydła i wydobywają dużo torfu. Że jednak

---

[1]) Zakroczym i Czerwińsk w gub. warszawskiej.

ludność się zwiększa, a chleba każdy łaknie, zabrano się więc w ostatnich czasach do osuszania błot, moczarów, łąk, ziemi więc ornej przybywa i rolnictwo coraz więcej się rozwija.

Do wysychania owych jezior przyczyniła się także trzebież lasów. Zwaliła ostra siekiera mazowieckie puszcze, popłynął piękny starodrzew Wisłą do Gdańska, a na porębach lud się zaroił, wyrosły wioski, miasta, a na nowinach zboże kłosuje i lud ten karmi. Ornej niwy przybyło, ale zato lasów zostało niewiele i obecnie pod względem drzewa gubernia płocka jest najbiedniejsza. Zwycięciem lasów wyłoniły się w niektórych okolicach lotne piaski, np. w dorzeczu Wkry, gdzie też powstały niewielkie huty szklane, bo i z piasku człowiek pożytek mieć może, gdy wykształci rozum i ma chęć do pracy.



Zakroczym nad Wisłą. Widok z góry zamkowej na kościół parafialny.



Czerwińsk nad Wisłą. Kościół Kanoników z doby Piastowskiej, zbudowany r. 1147.

Oprócz torfu kopią jeszcze w gubernii płockiej wapień i węgiel brunatny w okolicach Dobrzynia nad Wisłą.

Przasnysz.

Książę mazowiecki, Konrad, zbłąkawszy się raz na łowach, przybył do młyna nad rzeczką Węgierką i przez młynarza Prasnyka został gościnnie przyjęty. Książę wynagrodził hojnie właściciela młyna; obdarzył go szlachectwem, a w dodatku na przytykającym do młyna obszarze, założył miasto. Tak brzmi podanie o powstaniu Przasnysza.



Góra zamkowa w Wyszogrodzie.

W XV-ym wieku miało już miasto liczne browary, handle win, fabryki sukna; mieszkali tam złotnicy, a na głośne i słynne jarmarki przyjeżdżali liczni kupcy z Prus. Dla handlu położenie miasta było bardzo pomyślne: z jednej strony mieszkańcy puszczy Myszynieckiej zaopatrywali się w Przasnyszu w chleb, piwo, kożuchy, z drugiej znów strony ludność rolnicza z ziemi ciechanowskiej nabywać tam także musiała i narzędzia rolnicze, miecze, naczynia i odzież.

Rozwijało się też miasto i w kronice XVII-go wieku czytamy, iż „był tam dwór książęcy i że miasto, otoczone żyzną okolicą, jest ludne, duże i sławne jarmarkami na woły."

I dla Przasnysza przejście Szwedów stało się ruiną! „Gdzie Szwedzi przeszli, tam nic rosnąć nie chciało, tylko się

ciernie krzewiło," powtarza lud do dziś dnia, utrzymując przytem, że przed Szwedami ciernia, czyli tarniny, w Polsce wcale nie było i że dopiero je zasiali Szwedzi.

Zabytkiem dawnej zamożności Przasnysza jest piękny kościół, odświeżony przed kilkunastu laty. W kościele tym jest kaplica św. Stanisława Kostki [1]), ufundowana przez jego matkę, Małgorzatę, kasztelanową Zakroczymską.

Opinogóra.



Św. Stanisław Kostka.

Jadąc drogą bitą z *Przasnysza* do *Ciechanowa*, spostrzega się leżącą po lewej stronie *Opinogórę*. Jest to ordynacya hr. Krasińskich, założona przez Wincentego Krasińskiego, ojca wielkiego poety.

Zygmunt Krasiński należy do największych naszych wieszczów. Mickiewicz, Słowacki i on — to chwała naszej poezyi: oni podnieśli piśmiennictwo polskie na nieznane mu dotąd wyżyny. Krasiński w swoich utworach, jak prorok, przejęty miłością dla ludzi, wskazuje drogę, jak postępować należy. Wierzył on, że wszelki występek musi ponieść zasłużoną karę, a cnota tylko do szczęścia doprowadzić może.

---

[1]) Św. Stanisław Kostka urodził się r. 1550, wstąpił do zakonu Jezuitów i umarł w ośmnastym roku życia. W r. 1664 zaliczony został w poczet świętych.

Pisał on stylem bardzo podniosłym, dlatego trudny jest do zrozumienia. Ale kto ma umysł dostatecznie wykształcony, aby wniknąć w jego utwory, ten na każdej stronicy znajdzie bardzo głębokie myśli, pełne prawdziwie chrześcijańskiego ducha. Posłuchajmy choć kilku wierszy z jego pięknej modlitwy „O dobrą wolę“:



Nagrobek hr. Krasińskiej, matki Zygmunta, w Opinogórze.

Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kąkole
Złud świętokradzkich i daj wiekuiste
Wśród dóbr Twych dobro: daj nam dobrą wolę!

W podziemiach kościoła opinogórskiego spoczywają zwłoki wielkiego poety obok ojca i matki, Maryi z książąt Radziwiłłów.

W pięknym ogrodzie, otaczającym pałac, stoi pomnik Bolesława ks. mazowieckiego, który zmarł w Opinogórze r. 1454.

Ciechanów.

Dawniejszem jeszcze od Przasnysza miastem jest *Ciechanów*, leżący obecnie nad drogą żelazną Nadwiślańską do *Mławy*. Niegdyś był on stolicą oddzielnej ziemi ciechanowskiej i najcelniejszem miastem na Mazowszu. Różne ono przechodziło koleje. Burzyli je Prusacy, Litwini, a w późniejszych czasach Krzyżacy. Ucierpiało strasznie od Szwedów, a spustoszenia ostatecznego dokonała morowa zaraza.



Pałac w Opinogórze.

. . . .

Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica [1]),
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach;

[1]) Morowe powietrze dotychczas sobie lud w niektórych okolicach przedstawia w postaci dziewicy.

Czołem przenosi białowieskie drzewa
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamku oczy pod hełm kryją;
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.

Dziewica stąpa kroki złowieszczymi,
Na sioła, zamki i bogate miasta:
A ile razy krwawą chustką skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie;



Ruiny zamku w Ciechanowie.

Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.
. . . .
. . . .
Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła . . . . .
. . . .

Tak opisuje Adam Mickiewicz morową zarazę w „Konradzie Wallenrodzie". Opis ten zastosować można i do Ciechanowa. „Całe miasto w mogiłę zapadło" podczas zarazy

na początku XVIII-go wieku; ledwo kilku mieszkańców zostało przy życiu! Miejsce, gdzie ciała zmarłych wtedy chowano, do dziś dnia jest zwane „Pomorkiem“ i około Zielonych Świątek wychodzi tam uroczysta procesya.

Za miastem widnieją ruiny zamku książąt mazowieckich. Stał on na niewielkiej kępie; z jednej strony oblewała go rzeczka Ładynia, z drugiej umyślnie wykopany kanał, a rozciągające się niegdyś po za rzeką błota przystęp do zamku czyniły prawie niepodobnym.

Piękny kościół farny z XIV-go wieku jest obecnie największą ozdobą miasta.

W okolicy Ciechanowa rolnictwo pomyślnie się rozwija; hodują tam żyto, pszenicę, a także i buraki cukrowe, które przerabiają na cukier w samym Ciechanowie, Izabelinie i Krasińcu.

Lud okoliczny, jak na całem Mazowszu, wesoły, gadatliwy, mający na zawołanie pełno piosnek, przysłów, gadek, opowiastek. W opowieściach tych albo przebija wiara w czary, albo zawiera się jakaś nauka moralna, albo tryska z nich tylko dowcip i wesołość. Oto jedna z nich:

O dwóch braciach.

Żyło dwóch braci: Maciek i Wojtek. Wojtkowi była straszna bieda, nie miał co jeść, a musiał żywić dzieci kilkoro. Jego żona miała jedno stare kurzysko. Wziął Wojtek oną kurę, zabił ją i zaniósł do pana.

Pan się ucieszył i pyta, ile chce za kurę.

Wojtek odpowiada tylko, że jest głodny.

— No, kiedyś głodny, przyjdź do mnie na obiad.

Wojtek przyszedł na obiad. Patrzy—na stole stoją różne pieczenie i jego kura też leży na talerzu. Kazali mu jeść, ile tylko zechce. Jak zaczął jeść, niezadługo podjadł sobie. Kie-

dy się najadł, pan mu każe oną kurę dzielić pomiędzy państwa, ale tak, żeby i jemu się coś dostało.

Wojtek wziął nóż, urżnął łepek i położył przed panem; urżnął koniec grzbietu i dał go pani; przed paniczkiem położył skrzydełka, przed panienką nóżki i powiada.

— Ja, biedne chłopisko, zjem i kadłubisko.

Panu się to podobało i dał Wojtkowi dużo pieniędzy i zboża na chleb dla dzieci.

Jak się o tem dowiedział Maciek, złapał cztery kury i zaniósł do dworu. Pan wziął kury i pyta go się, co chce za nie.

Maciek mówi:

— Głodnym, panie.

— To przyjdź do mnie na obiad.

Przyszedł Maciek na obiad; patrzy — wszystkie jego cztery kury leżą upieczone rzędem na stole.

Pan zaraz powiada do niego:

— Teraz dziel, Maćku, te kury pomiędzy nas, ale tak, żebyśmy wszyscy mieli co jeść.

Maciek położył jedną kurę przed panem, drugą przed panią, trzecią przed paniczkiem, czwartą przed panienką, a sobie nic nie wziął.

Panu się to nie podobało, buch Maćka w kark i zaraz posyła po Wojtka, aby przyszedł dzielić kury.

Wojtek przyszedł; pan mu kazał usiąść do stołu, a Maćkowi kazał stać i patrzeć, jak jego brat będzie dzielił.

Wojtek podumał i tak zaczął:

— Pan, pani i kura — to troje; paniczek, panienka i kura — to troje, a ja, biedne chłopisko, i dwie kury — to też troje; teraz mamy wszyscy równo.

Pan się roześmiał i powiada:

— Widzisz, Maciek, twój brat to nas dobrze obdzielił, bo i nam dał i sobie zostawił. Za to dam Wojtkowi jeszcze więcej zboża i pieniędzy, a ciebie — za to żeś był zazdrosny, bo masz co jeść, każę wygnać z chałupy.

Jak pan powiedział, tak i zrobił. Wojtkowi dał dużo zboża i pieniędzy, a Maćka ze wsi wypędził.

Płock.

Pierwsi królowie polscy nie mieli stałej siedziby. Sprawując najważniejsze sądy i zawiadując osobiście krajem całym, jeździli oni po swem państwie, zatrzymując się na czas dłuższy lub krótszy w znaczniejszych grodach, w których by-



Płock.

wało zazwyczaj obszerne zamczysko i gdzie urzędnicy królewscy starali się nagromadzić zawsze znaczniejszy zapas żywności dla dostatniego podjęcia monarchy i jego licznej drużyny.

Brat Bolesława Śmiałego, Władysław Herman, książę słabego zdrowia i słabszego jeszcze charakteru, wolał jednak spokojnie siedzieć w wygodnym grodzie, niż odbywać uciążliwe podróże po kraju lub walczyć z nieprzyjacioły, a rządy książęce sprawował ulubieniec i powiernik Hermana, możny wojewoda Sieciech, który — jak wiadomo — na to zaufanie wcale nie zasługiwał, gdyż myślał więcej o własnem wyniesieniu, niż o dobru ojczyzny.

Z pomiędzy wszystkich znaczniejszych wówczas miast w Polsce Władysław Herman najwięcej sobie Płock upodobał; tam głównie życie pędził, tam umarł i tam pochowany został.

Starożytne to więc miasto ów Płock, albo Płocko, jak je dawniej nazywano. Początek jego sięga najodleglejszych czasów. Stare polskie kroniki piszą, że Mieczysław I-szy, zaprowadziwszy chrześcijaństwo, miał w Płocku zbudować je-



Katedra w Płocku.

den z dziewięciu kościołów, wzniesionych przez niego w całym kraju i że ten kościół syn Mieczysława, Bolesław Chrobry, co to był mężny i dobry, założywszy biskupstwo płockie, do godności kościoła katedralnego podniósł. A stało się to dawno, bo na początku XI-go stulecia, a więc blizko 900 lat temu.

Od czasu Chrobrego Płock szybko wzrastał. Staraniem książąt i biskupów wznosiły się nowe świątynie pańskie, powstawały klasztory, około których ludność kupiła się chętnie,

ucząc się od światłych mnichów różnych rzemiosł i staranniejszej uprawy ziemi.

Kazimierz Wielki, ów troskliwy budowniczy, i Płocka nie przepomniał. Otoczył go warownym murem, wystawił nowy zamek, skutkiem czego Płock zawsze należał do miast ludnych i przemysłowych, a po wojnie, grabieży lub pożarach prędko się z gruzów dźwigał.

I dzisiaj Płock pięknie się przedstawia, z którejkolwiek strony do niego wjeżdżać będziesz; chcesz jednak mieć widok prawdziwie malowniczy, to siądź na statek i płyń z biegiem Wisły, a za Wyszogrodem, kilka wiorst poza ujściem Mołtawy, ujrzysz na wysokim brzegu rzek polskich królowej wieżycę dotąd zachowaną starego zamku książąt mazowieckich, wspaniałą katedrę zbudowaną w kształcie krzyża, a dalej na prawo tulące się do niej wszystkie budowle miasta, z pośród których wyróżniają się okazałością: kościół św. Wojciecha, ratusz, pałac biskupi i gmach rządu gubernialnego. Przypuśćmy, że odbywasz tę podróż na wiosnę i że pogoda ci sprzyja — a więc jasne słońce sieje rzęsiście swe blaski; lazurowe niebo odbija się w srebrzystych rzeki głębinach; złocone krzyże wieżyc katedry błyszczą wysoko w błękitach; pola nadbrzeżne zielenią się świeżą runią zbóż lub kołyszą bujnym łanem dojrzewających kłosów, a miasto widniejące zdaleka i opasane, jak wieńcem rucianym, prześliczną aleją, podobną do plant krakowskich, tonie w zieleni licznych ogrodów: — to widok ten wpadnie ci nietylko do oczu ale i do duszy i nie zapomnisz go nigdy!

Staniesz na pokładzie statku, aby patrzyć i marzyć. Zatoniesz cały w przeszłości i nie będziesz słyszał ani plusku wody, ani gwaru towarzyszów podróży, nie będziesz widział, co się tuż około ciebie dzieje, a z dumania tego wyrwie cię dopiero przybicie parowca do przystani i wrzawa przy wylądowaniu...

I nie dziw, że na wybrzeżu ludno i gwarno! Przecież Wisła stanowi dla Płocka najdogodniejszą komunikacyę. Od

wiosny, z rozpoczęciem żeglugi, za pośrednictwem parostatków, kursujących pomiędzy Sandomierzem a Ciechocinkiem, łatwo Płocczanie utrzymać mogą stosunki ze światem, ale w zimie — pożal się Boże! jechać trzeba sześć mil do stacyi kolei bydgoskiej, Kutno, przeprawiwszy się przez Wisłę. Dobrze, jeżeli mróz pewny i mocny most z lodu uściele, bo most łyżwowy na zimę rozbierają, ale gdy zima lekka i kra często płynie, to siedź, bracie z Płocka, „doma" i nie ruszaj się z swojego zapiecka.



Z okolic Płocka.

Gdy się stanie na wysokim brzegu około katedry, ładnie się przedstawiają okolice, leżące po drugiej stronie Wisły, a zwłaszcza zamożna i ludna wieś Radziwie, miejsce przechadzek Płocczan.

W katedrze, oprócz grobowców Władysława Hermana i syna jego, Bolesława Krzywoustego, oglądać można bogaty skarbiec, zawierający cenne pamiątki i pomnik biskupa Ignacego Krasickiego, słynnego pisarza z końca zeszłego wieku.

Płock — dzisiaj główne miasto gubernii płockiej — był dawniej stolicą całego Mazowsza. Gdy w późniejszych cza-

sach rozpadła się ziemia mazowiecka na kilka księstw, jak: czerskie, płockie, rawskie, a potem i warszawskie, Płock stał się jedynie stolicą księstwa płockiego i z czasem musiał na Mazowszu pierwszeństwa ustąpić Warszawie.

Ziemia dobrzyńska.

Zachodnia kończyna gubernii płockiej — to dawna ziemia dobrzyńska. Wisła oddziela ją od Kujaw, Drwęca od Prus, czyli dawnej ziemi chełmińskiej i miechowskiej, a poprzeczną granicę tworzy rzeka Skrwa, o dwie mile poniżej Płocka do Wisły wpadająca. Kraina ta do XII-go wieku stanowiła, jak prawie całe Mazowsze, jedną głuchą puszczę, a wśród niej rozlewało się kilkadziesiąt jezior i mnóstwo drobnych rzeczek, z których niejedne przez wytrzebienie lasów już płynąć przestały. Brzegami rzek, z siekierą w ręku, szli osadnicy; padały drzewa, wznosiły się chaty, a zwierz dziki ustępował miejsca ludziom.

Pierwsze historyczne wiadomości o ziemi dobrzyńskiej mamy dopiero r. 1222. Księciem mazowieckim był wtedy Konrad, brat Leszka Białego. Napadany przez pogańskich Prusaków, (którzy, mieszkając na północ Mazowsza, prowadzili żywot prawie dziki i dawali się we znaki sąsiadom) Konrad sprowadził z Inflant ku obronie swej dzielnicy zakonników - rycerzy i uposażył ich częścią ziemi dobrzyńskiej.

Bracia Dobrzyńcy (gdyż ich tak nazywano) ponieśli jednak w krótkim czasie klęskę od Prusaków i Mazowsze znowu wystawione zostało na straszne napady sąsiednich łupieżców. Wtedy nierycerski Konrad zdecydował się przywołać na pomoc Krzyżaków, czyli niemieckich braci - rycerzy Najświętszej Panny, ofiarując im za obronę Mazowsza od Prusaków ziemie: chełmińską i lubawską. Ówczesny wielki mistrz Krzyżaków, Herman Salza, zgodził się na to i zakon osiedlił się na ziemi polskiej, w sąsiedztwie posiadłości braci

dobrzyńskich. Wkrótce oba zakony połączyły się i Dobrzyńcy ustąpili swych posiadłości Krzyżakom. Odtąd Polska w swem zanadrzu miała wroga, który nie przestawał marzyć o zgnębieniu swej dobrodziejki. Zakon nietylko podbił ziemię Prusaków, ale i do Polski coraz bardziej się wciskał, zawsze chciwy na cudzą posiadłość, zawsze niesyty.

„Bo krzyżackiego gadu nie ugłaszcze
Nikt, ni gościną, ni prośbą, ni dary!...
Małoż Prusaki i Mazowsza cary
Ziem, ludzi, złota wepchnęli mu w paszczę?
On wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele,
Na resztę naszą rozdziera gardziele...“

Tak o Krzyżakach mówi Mickiewicz w poemacie „Grażyna.“ I prawdę powiada szczerą. Krzyżacy, choć zakonnicy, pragnący niby tylko walczyć za wiarę i nawracać pogan, mało dbali o szerzenie chrześcijaństwa, a tylko łaknęli coraz większych zdobyczy.

Ziemia dobrzyńska stała się kością niezgody pomiędzy Polską a zakonem. Odebrana przez Konrada, przeszła znowu w ręce krzyżackie za Władysława Łokietka. Potem zmieniała jeszcze kilka razy pana; wreszcie po bitwie pod Grunwaldem, gdzie Krzyżacy na głowę przez Władysława Jagiełłę pobici zostali, wróciła do Polski na zawsze.

Herb ziemi dobrzyńskiej wyobraża sędziwego człowieka z dwiema koronami i bawolimi rogami; głowa ta oznacza Władysława Łokietka, którego wdzięczne za wydobycie ze szponów krzyżackich rycerstwo uprosiło, że im za herb pozwolił swego wizerunku używać. Dwie korony znaczą ziemię kujawską i mazowiecką, które się za przyczyną Łokietka zjednoczyły, rogi bawole — lesistość okolicy.

Knieje ziemi dobrzyńskiej należą dzisiaj już także do przeszłości; gospodarstwo rolne się podnosi, a nad rzekami i rzeczkami rozsiadły się siedziby ludzkie.

Najstarszą osadą jest niewątpliwie Dobrzyń nad Wisłą. Od niego ziemia otrzymała swą nazwę. W zamku dobrzyńskim Konrad osadził braci Dobrzyńców. Zamek ten, wystawiony na wysokim brzegu, był celem częstych napadów najpierw Prusaków i Litwinów, a potem Krzyżaków.

Dobrzyń zaczął się rozwijać dopiero od pokoju toruńskiego. Gdy potęga Polski wstrzymała oręż krzyżacki, rolnicy odłożyli miecze i chwycili za lemiesz, mieszczanie poczęli myśleć o rozszerzeniu handlu. Dogodne położenie miasta sprzyjało tym usiłowaniom. Przemysł wzmógł się, handel zakwitnął. Ładowne galary wypływały Wisłą do Gdańska i wracały do Dobrzynia z zamorskim towarem.

Lecz i przez Dobrzyń przeszła nawała szwedzka! Po przejściu Szwedów, jak po przejściu szarańczy, pozostawało zniszczenie. Ta tylko zachodziła różnica, że szarańcza pustoszyła tylko pola, a Szwedzi i pola, i wioski i miasta; szarańcza nie zrobiła nic złego mieszkańcom, a ileż tysięcy niewinnego ludu padło od kul i mieczów szwedzkich!

W dalszej wędrówce po ziemi dobrzyńskiej nie znajdziemy już większych osad... Nad Wisłą: Bobrowniki z rozwalinami zamku i historyczna Nieszawa, wewnątrz krainy: Lipno, Rypin. Nad granicą pruską, naprzeciw miasta Golubia, drugi Dobrzyń,

Gdzie wre i szumi wartkolotna Drwęca,
Która w winnice i róże i kłosy
Kwitnące czoła swych brzegów okręca...

Ozdobą ziemi dobrzyńskiej są głębokie parowy nad Wisłą, a w nich—szczególniej wiosną — pełno kwiecia i ptaszęcego gwaru. Jeziora srebrzyste rozlane gęsto (bo na tej małej przestrzeni naliczyć ich można sześćdziesiąt) dodają także niemało uroku. Otoczone puszystemi łąkami, przystrojone

zielonym wiankiem łozy i szuwarów, odbijają w zwierciadlanej toni błękit nieba, życie krzewiąc i piękna okolicy przydając.

Cudowne miejsce.

Wśród takich modrych jezior leży osada Skępe. Ani ona ludna, ani bogata, ani piękna, ani sławna, a jednak słynie na mil kilkanaście wokoło, a nawet na całe Królestwo. Jak rok długi cicha, rozbrzmiewa gwarem i życiem na Zielone Świątki i ósmego września. O, bo Skępe — to druga Częstochowa i tu cuda czyni Bogarodzica. Chorzy, smutni, strapieni śpieszą do Jej stóp po pomoc i ukojenie i bóle własnego serca Jej macierzyńskiemu sercu powierzają.

Gdy dzień odpustu nadchodzi, nietylko z najbliższych okolic śpieszą pobożni do *Skępego* na odpust, ale i z dalszych stron; z *Włocławka, Nieszawy*, *Płocka*, a nawet z Warszawy przychodzą kompanie.

Z duszą pełną wiary śpieszą do cudownej Panienki, Matki sierot i opuszczonych. Z przepełnionem miłością sercem zbliżają się do świętego miejsca i pieśnią błagalną na ustach:

Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas,
Matko, nie opuszczaj nas!
I w sieroctwie, opuszczeniu,
I w tęsknocie i w cierpieniu,
I w ubóstwie i w chorobie,
Zawsze będziem ufać Tobie!
Nie opuszczaj nas, nie opuszczaj nas!
Matko, nie opuszczaj nas!

(*Ks. Antoniewicz*).

Wchodzą do kościoła, padają na twarz pod wizerunkiem Bogarodzicy. A wizerunek ten przedstawia Najświętszą Panienkę w dziecięcym jeszcze wieku. Postać dziewicza, wy-

rzeźbiona z drzewa, ma koronę z gwiazd promienistych, a pod stopami księżyc. Po bokach srebrne aniołki służą Królowej Nieba.

I z tej drobnej, świętej postaci strumienie łask i źródła pociechy spływają do serc tych, którzy się korzą u Jej stóp i Jej ratunku żebrzą.

Podnoszą pochylone czoła i wzrokiem pełnym nadziei i miłości spoglądają na Gwiazdę zaranną. I niezadługo nowa modlitwa brzmi:

„Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko, naszemi prośbami nie racz gardzić...“



Statua Najświętszej Maryi Panny w Skempem.

Jak to na Kujawach.

Pomiędzy Wisłą z jednej, a Notecią i jeziorem Gopłem z drugiej strony, leży obszerny skraw ziemi. To Kujawy.

I tu przed wiekami ciągnęły się knieje nieprzebyte, a zwierz dziki gromadami po nich chadzał spokojnie i bezpiecznie. Wody była też moc okrutna. Rozległe mokradła, nazwane później Bachorzą, setki większych i mniejszych strumieni, rzeczki, jeziora, niby sieć srebrna na onej puszczy leżały, łącząc wody Gopła z wodami Bałtyku.

Aliści zmieniły się czasy, przyszli osadnicy i wnet stuletnie drzewa pod toporami jęły kłaść się na ziemi. Wycięcie lasów zmniejszyło wilgoć powietrzną, strumienie i jeziorka wysychać zaczęły, przerwała się wodna siatka i oto tam, gdzie niegdyś rozlewały się szeroko bezbrzeżne topiele, dziś trawa po pas stoi, lub żyto czy pszenica szumi złotymi kłosy. Ukrytą pod cieniem lasów, żyzną, urodzajną glebę ręce czło-

wieka „ku jawie", czyli na jaw wyprowadziły. Tak jedni pochodzenie nazwy „Kujawy" objaśniają.

Znakomity uczony polski, Staszyc, w jednem ze swych dzieł o Kujawach to pisze:

„Geologowie[1]) utrzymują, iż Kujawy były kiedyś dnem morskiem, a czarna, tłusta ziemia owego kraju niczem innem nie jest, tylko grubą warstwą szlamu, to jest mułu pozostałego po odpływie morza. Gopło nawet, jak dowodzą, ma być połączone podziemnymi otworami z Baltykiem."

„Tak, czy inaczej, błogosławiona to kraina. Nie obfituje wprawdzie w piękne widoki (choć i te spotyka się od czasu do czasu), brak jej wzgórz, brak obszernych lasów, ale zato daje śliczną pszenicę, której pewien gatunek „Kujawką" zwany, za granicą nawet ze swej dobroci słynie, daje żyto bujne i jarzyn moc przeróżnych i ryby i grzyby, bo jak stara piosenka mówi:

Ja Kujawiak, ty Kujawiak,
Da wszyscyśma tu jednacy
Mamy soli, mamy chleba,
Wody, wódki, co potrzeba,
Oj da, da, da....
Ja Kujawiak, ty Kujawiak,
Wszyscyśma tu Kujawiacy
I niczego nam nie braknie
Tylko drzewek każdy łaknie,
Oj da, da, da...

Szkoda drzewek, szkoda. Wycinało się lasy, nie pamiętając o przyszłości, więc teraz trzeba się obywać bez drewek i palić, jeżeli nie węglem, to torfem. Szczęściem jeszcze, że torfowiska są dość liczne.

Przysłowie „wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi" sprawdza się tutaj. Mieszkający w lesistych stronach za granicą płocką

---

[1]) Geolog -- uczony, zajmujący się badaniem wnętrza ziemi.

pomiędzy Notecią a Wisłą Pałuczanie mówią: „Pałuczanie idą z kijem po chleb, Kujawiacy z chlebem po kij.“

Teraz jednak, choć troszkę już po niewczasie, zmądrzeli ludzie, i gdzie u kogo jaka wydma piaszczysta, to zaraz najpierw utrwala ją łozą, a potem sadzi, czy sieje poczciwą choinę.

A takich wydm piaszczystych nie brak jednakże na Kujawach. Niby brzydkie narośle, ciągną się one tu i owdzie smugami szerokiemi, szpecąc urodzajne niwy kujawskie.

Pracują ludzie około roli, zasiewają lasy, osuszają łąki.

I tak ów pas od Gopła idący, a zwany Bachorza, który wylewy wiosenne zamieniały w istne jezioro, teraz przez wykopanie kanału trzy mile długiego osuszono zupełnie.

Dolina błot Bachorskich, niegdyś droga wodna z Gopła do Baltyku, ciągnęła się od Krusziwcy do samego koryta Wisły, koło Włocławka. Z czasem po opadnięciu wód gopłańskich, dolina zarosła trzciną, tworząc kilkumilowe błoto, schronisko wilków, siedlisko febry i gorączki. Wykopanie kanału osuszyło błoto, zamieniając je w piękne łąki. Równiny nadbachorskie są ojczyzną dropi, ptaków nigdzie indziej w Królestwie nie spotykanych.

Odwdzięcza się ziemia człowiekowi za pracę i chleba w bród daje. Ludzie też syci, weseli, dziarscy i żwawi. Przy robocie piosenka z ust Kujawiaka nie schodzi.

Już ty śpiewasz, skowroneczku,
Już ci i ja orzę,
Obu nas przy robocie
Jedno widzi zorze.
Bóg wspomóż, skowroneczku,
I dodaj nadzieję.
Wszakże ja i dla ciebie
I dla siebie sieję.

Albo znów czy nie swojsko brzmi ta odwieczna śpiewka, którą Sienkiewicz włożył w usta swej bohaterki Danusi, w powieści historycznej z XV-go wieku, pod tyiułem „Krzyżacy“.

Żebym ci ja miała
Skrzydełka jak gąska,
Poleciałabym ja
Za Jasiem do Śląska.
Usiadłabym ci ja
Na śląskowym płocie:
Przypatrz się Jasiulek
Ubogiej sierocie.
Żebyś ci ty była
Uboga sierota,
Nie miałabyś wianka
Ze szczyrnego złota.
A trzy latać ci ja
Na niego służyła,
Ze szczyrnego złota
Wianek-em uwiła.

Ma tych pieśni lud kujawski bardzo wiele, na każdą porę, przy obrzędach polnych, przy uroczystościach domowych, zawsze jeżeli nie śpiewa, to choć nuci półgłosem.

Obrzędów miejscowych było dawniej znacznie więcej, obecnie wiele zarzucono, np. charakterystyczny obchód obierania króla lub królowej pasterzy.

Kto najwcześniej w dzień Zielonych Świątek przypędził bydło na osuszone miejsce, ten ową godność otrzymywał. Dzień cały spędzano na śpiewach i zabawach, pod wieczór zaś wybierano najokazalszego wołu, okręcano go workami, płótnami i powrósłami, a przystroiwszy kwieciem, oprowadzano po wsi, dopóki go właściciel nie poznał i nie wykupił poczęstunkiem.

Inne obrzędy jak: frycowanie kośnika, czyli przyznanie mu prawa chodzenia z kosą, dożynki na Kujawach zwane „wieńcowem,“ obchodzenie przez chłopców chałup na Boże

Narodzenie, szopki i kolędy, śródpoście, śmigus, niczem się nie różnią od tego rodzaju obrządków, odbywanych w innych stronach kraju.

Ulubionym tańcem miejscowym jest Kujawiak. Tańczą go wkoło parami z początku wolno i wówczas nazywa się „chodzony,“ potem coraz prędzej „na odbitkę,“ wreszcie „k'sobie,“ zawsze jednak bez owej zamaszystości właściwej obertasowi.

Tancerz z tancerką obejmują się wzajem w pasie, tak, że



Kujawiak.

każde ma jedną rękę wolną i obracają się z lewej strony tancerza w prawą.

Podochocony Kujawiak zatrzymuje się w tańcu przed swoją tancerką i dalej sypać jak z rękawa różne przyśpiewki:

Miska klusek, dzban maślanki—
Cały posag Kujawianki.

A tancerka mu odpowiada:

Cztery konie, fura siana
Jest to posag Kujawiana.

Czasami znowu zwróci się tancerz do skrzypka i wtórującego mu basetlisty i z całej siły huknie:

Hej grajczyku, będziesz w niebie
A basista wedle ciebie,
Cymbalista jeszcze dalej,
Bo w cymbały dobrze wali.

Kulig.

My sobie jedziem kuligiem;
I w noc i we dnie,
Wesołe, szalone, przednie:
Maska twarz kryje — a kto chce wiedzieć,
Skąd my i czyje, to odpowiedzieć
Śmiechem i krzykiem:
Szczera ochota
Otwiera wrota.
Bo Krakowianki i pielgrzym stary,
Żydzi, cyganki uderzą w pary;
Wróżki, dyabli, nie oszusty
W puhary.
Lecim saniami
I jadą z nami
Wrzawa, śmiech pusty;
Czy znasz ty polskie zapusty?

(Malczewski).

Kulig był ulubioną zapustną zabawą szlachty polskiej. Nie zapominają o nim i teraz, zwłaszcza na Kujawach — daleko mu jednak do dawnej zamaszystości i ochoty.

Zabawa ta musiała zapewne powstać w XIV-ym i XV-ym wieku, kiedy życie towarzyskie u szlachty poczynało się rozwijać. Nazwa zabawy wzięta jest może z czeskiego (w czasie wpływu tego języka na polski) *Koleg*, to jest objeżdżanie wszystkich kolejką, kołem, kolikiem, kuligiem, lub też pochodzi stąd, że laskę zakończoną kulą drewnianą u wierzchu niby buławę posyłano od sąsiada do sąsiada, zwołując wszystkich do zabawy.

Kuligi rozpoczynały się zwykle po Nowym Roku i trwały do ostatnich dni zapustnych. Skoro tylko ustaliła się sanna,



Kulig.

wybierano dom, na który miano najpierw niby to niespodzianie najechać i wesoła drużyna zbierała się na zabawę, trwającą nieraz kilka tygodni. Jechano, jak to mówią, „rzemiennym dyszlem“ od sąsiada do sąsiada, a orszak kuligowy rósł coraz więcej, bo młodzież jednego domu zawożono do drugiego.

Od czasów królowej Bony i wprowadzenia zwyczajów włoskich, zamiast rozsyłania buławy, arlekin, to jest młodzian pstrokato przybrany, poprzedzał kulig—a wpadłszy do dworu, obiegał izbę bawialną wokoło, skakał z krzesła na krzesło, śpiewając na znaną nutę:

Ej kulig, kulig, kulig.

Niedługo, w godzinę może po ukazaniu się arlekina zjeżdżał kulig. Poprzedzało go dwóch hajduków z płonącemi pochodniami, potem jechała kapela żydowska koniecznie z cymbalistą, a dalej szereg sań, wiozących gości parami. Gajowi i strzelcy z pochodniami gorejącemi otaczali sanie, a dziarska młodzież harcowała obok na koniach.

Jeden z młodzieży lub starszych obrany za przywódcę prowadził orszak ku podwojom domu i witał czekającego w progu gospodarza jaką żarliwą oracyą.

Rozpoczynały się potem dziarskie tańce, trwające nieraz do dnia białego.

Z czasem przyłączono do kuliga maszkary, czyli przebierano się za cyganów, żydów, turków i t. p., a później jeszcze wesele chłopskie, ze starostą weselnym, starościną, organistą i naturalnie najważniejszą parą państwa młodych. Zabawy te miały i tę dobrą stronę, że zbliżały ludzi do siebie, zacieśniały węzły sąsiedzkiej znajomości, zacierały różnice majątku i stanu.

Wśród wycieczek kuligowych bywały i chwile trwogi, gdy w czasie silnych mrozów trzeba było przebywać bory i zapadłe knieje, siedlisko zgłodniałych wilków. Czasami nie pomogły i pochodnie i wystrzały — wilki rzucały się na przejezdnych.

Podobno za Jana Sobieskiego zdarzył się taki wypadek. Wilki napadły na kulig z sześciu sań złożony i po zaciętej walce pożarły ludzi i konie.

Chaty kujawskie, które tutaj chałupami zowią, bardzo są ochędożne. Łóżko wysoko zasłane, wzorzysto malowana skrzynia, szafa czerwona pełna talerzy i kubków. Coraz częściej spotykają się też przy chatach sady owocowe, a już też bez maleńkiego choćby ogródka, pełnego nasturcyi, słoneczników, piwonii i maku, nie obejdzie się żadna, by najuboższa chata.

Suknie męskie nazywają tu *łachy*, kobiece—*szmaty*. Strój jest długi i fałdzisty. Granatowa, za kolana sięgająca sukmana, szerokie spodnie drelichowe, długie buty, czerwony pas włóczkowy i zimą wysoka czapka *wykrawanka* z siwym lub czarnym barankiem — oto ubranie Kujawiaka.

Aż ćmi się w oczach, gdy w niedzielę po nabożeństwie, tłum ludu wysypie się na cmentarz. Od granatowych sukman wieśniaków jaskrawo odbijają zielone, różowe, a zawsze fałdziste *spódniki* kobiet. Szeroki fartuch, kabat sukienny granatowy u zamężnych, gorset u dziewcząt i sznury korali, związane na pęki wstążek, dopełniają stroju. Barwiste chusty zwinięte niby w wieniec kryją włosy. Kobiety zamężne kładą pod chustkę czepiec zwany *kapka*.



Kujawiacy.

Z biegiem lat włościanie coraz częściej zmieniają swój ubiór malowniczy na suknie miejskie. Blizkość granicy ułatwia bowiem nabywanie taniej tandety. Kontrabanda jest też bardzo na całem pograniczu rozpowszechniona, a kontrabadzistów nazywają *kłusownikami*.

Gościnność, cechująca cały naród polski, na Kujawach szczególniej jest rozwiniętą. Pamiętają tutaj, że „gość w dom, Bóg w dom“ i przyjmują go z otwartemi rękoma, choćby nawet zamiast wesela smutek wnosił z sobą.

Oto, jak o gościnności polskiej mówi poeta:

Zdziwiona patrzy wioska:
Wóz pędzi, brzęczy stal,
Na wozie jedzie troska
A z troską jedzie żal.
I już wjechali w bramę
I przestąpili próg,
Na progu napisano:
Gość w domu, w domu Bóg.
„Mój gospodarzu młody,
Powiemy tobie wraz,
By złamać pierwsze lody,
Czem podejmować nas.
Tyś z gościnności głośny,
Daj uśmiech twoich lic
I cichość twojej wioski,
Nie chcemy więcej nic“.
„Czcząc zwyczaj kraju stary,
Jam gościom zawsze rad,
Nie boję się ofiary
I nie chcę liczyć strat.
Od chwili tej, czy kwiaty,
Czy śnieg pokrywa step,
Pod dachem mojej chaty
Z druhami dzielę chleb.
A modląc się co rano,
Spoglądam na mój próg,
Na progu napisano:
„Gość w domu, w domu Bóg.“

(*Henryk Skirmuntt*).

(Ze zbioru pieśni i śpiewek).

Chociaż lud jest religijny, przesądów i zabobonów ma jednak mnóstwo. I tak np. każdy wieśniak kujawski wierzy święcie, że grochu nie należy nigdy siać w te dni, w których nazwę wchodzi litera *r*, a więc tylko w poniedziałek, piątek, sobotę. Kto postępowałby inaczej, będzie miał groch robaczywy. Nie należy również chwalić wschodzącej dopiero rośliny, bo z pewnością uschnie, lub rosnąć przestanie. Siew w wigilię Ś-go Jana chroni znowu roślinę od gradobicia, a wysmarowanie rąk święconem sadłem przed siewem jest ochroną od ptactwa.

Każda niemal wieś ma swoje przesądy i zwyczaje, jak również gusła stosowane przy leczeniu chorego.

Przysłowiami sypie wieśniak kujawski jak z rękawa, a wszystkie prawdziwe i dosadne. Np. „Nie pożyczaj, zły obyczaj. Nie oddają, jeszcze łają.“ „Gdzie rośnie dziewanna, tam bez posagu panna“ (bo grunta jałowe). „Sąd nie utuczy, tylko rozumu nauczy.“ „Użył, jak pies w studni.“

Dowcipne są także niektóre określenia: I tak, zamiast powiedzieć wyraźnie, że kot żyje lat 9, koń 27, człowiek zaś rzadko 80 doczeka, Kujawiak mówi:

Trzy lata płot, trzy płoty kot,
Trzy koty koń, trzy konie człek —
Najlepszy wiek.

O sobie zaś i o sąsiadach wydaje poważne sądy: Mazury smutne, Podlasiaki leniwe, Łęczycanie piją dobrze, Płocczanie śpiochy, Kujawiak z Krakowiakiem to dobre chłopy, każdy z nich sześć dni pracuje, siódmy w karczmie przetańcuje.

Śmigus — dyngus.

W drugie święto Wielkiej Nocy rozpoczyna się znany u nas powszechnie zwyczaj oblewania wodą. W poniedziałek wielkanocny mężczyźni oblewają kobiety, we wtorek kobiety mężczyzn. Zwyczaj ten na Kujawach zachował się jesz-

cze tak u szlachty jak i u ludu, choć i inne okolice kraju także o nim pamiętają.

Nazwy dyngus i śmigus nie są pochodzenia polskiego. *Dünn-guss* znaczy po niemiecku polewkę wodnistą, lub chluśnięcie wodą na kogoś. Nie dowodzi to jednak, żeby Polacy mieli przyjąć ten zwyczaj od Niemców, bo przecież droga, jaką szły przed wieki narody ze Wschodu na Zachód nie prowadziła przez Ren do Wisły, lecz przez Wisłę do Renu. Zwyczaj ten mógł być wspólny obu narodom, lub też może Niemcy, napłynąwszy w XIII-ym i XIV-ym wieku do naszego kraju, zwyczaj ten od nas przyjęli i swoje narzucili mu miano, a Polacy, skłonni do przyjmowania wszystkiego, co cudzoziemskie, zatrzymali je w swej mowie.

Dyngus jest ulubionym obrzędem ludu. Już w niedzielę wielkanocną wieczorem parobcy wchodzą na dach jakiej chałupy, a najczęściej karczmy i brząkając w miednicę lub rondel, wywołują imiona dziewczyn, które nazajutrz mają być wodą oblewane. Dowcipy i żarty lecą przytem jak z rękawa. Złośliwych uwag i przytyków również nie braknie, np. „Zaprzęgnijcie konie, woły, bo wywieziema fafoły Maryśki Dorędówny, a brać na nią cztery fury piasku (do szorowania), pięć fur pyrzu (na wiechcie), dwadzieścia kubłów wody do wypłukania w gnoisku, cztery długie grace do skrobania, boć czarna.“ Tak odzywają się o brudnej i nieporządnej dziewczynie. Dla czyściejszej naznaczają mniejszą ilość piasku i mydła.

Jeżeli zaś która chce, by jej nazwisko z chlubą było wymienione na dachu, wykupuje się od parobków kwartą wódki — ale każda miałaby sobie za największe ubliżenie, by przy wywoływaniu o niej zapomniano.

Nazajutrz od samego rana parobcy chwytają dziewczęta, ciągną pod żóraw do studni i nie żałują kubłów wody, a czasami zanurzają je nawet całe w sadzawce lub stawie.

Po obiedzie w poniedziałek parobcy, chodząc po dyngusie, śpiewają:

Przyszliśmy tu po dyngusie,
Zaśpiewamy o Jezusie.
W wielki czwartek, w wielki piątek,
Cierpiał Pan Bóg za nas smętek.
Za nas smętek, za nas rany,
A boć-my to chrześcijany.

Albo też:

Powiedziała nam tu wasza kaczka,
Żeście napiekli pszennego placka.
Powiedziała nam tu wasza świnia,
Żeście zabili jej syna,
A nie syna, to córeczkę.
Dajcie nam z niej choć szpyreczkę,
A zdaleka od ręki,
Żebyście sobie nie narobili dużej męki (mozołu).

To jest by gospodyni odrazu kawał duży ukrajała.

A teraz słówko z historyi. Kujawy tworzyły niegdy oddzielne księstwo, które w r. 1338, po śmierci Władysława ks. opolskiego, zostało wcielone do Korony. Oj, powiedziałaby nam ta ziemia wiele ciekawych rzeczy, gdyby jej ludzką mowę dano!

Ileż to razy napadali na Kujawy Krzyżacy, ów zdradliwy zakon rycerski, których Polacy na swą zgubę sprowadzili. Zalewali Krzyżacy często Polakom, jak to mówią, sadła za skórę palili, niszczyli, rabowali biedne Kujawy dopóki im Łokietek w bitwie pod Płowcami trochę skóry nie przetrzepał. I później za Jagiełły używał sobie miecz krzyżacki na ziemi kujawskiej i dobrzyńskiej. Historyk Kromer mówi, że przeszło dwadzieścia cztery miast, między niemi Włocławek, Nieszawę, Inowrocław, oraz więcej niż sto wiosek i osad w owym czasie splądrowali lub w perzynę obrócili. Za pano-

wania Jana Kazimierza i później, kiedy Stanisław Leszczyński ścierał się o koronę z Augustem II-im Sasem, Szwedzi również Kujawy odwiedzili, krwawe tych odwiedzin zostawiając ślady.

Wiele, wiele jeszcze razy grały trąbki nad wodami i łąkami Bachorzy, maszerowały wojska drogami wśród pól szumiących, a tam, gdzie dziś pobrzękuje kosa i sierp błyska w słońcu, rozlegał się szczęk broni i wrzawa bitwy.

Część dawnych Kujaw z Inowrocławiem i Kruszwicą należy do księstwa Poznańskiego i nosi nazwę Kujawy Pruskie, a część należąca do Królestwa Polskiego wchodzi w skład gubernii warszawskiej.

Włocławek.

Każdy nieco większy obszar ziemi posiada jakiś punkt zborny, niby maleńką stolicę, gdzieześrodkowuje się życie jego mieszkańców. Taką stolicą dla Kujaw jest miasto Włocławek, dawniej Włodsław—Włodsławek, starożytne targowisko nadwiślańskie i odwieczna siedziba biskupów kujawskich. I nic w tem określeniu „odwieczna“ niema przesadzonego, bo już w r. 1133 bulla papieska o biskupstwie kujawskiem wzmiankuje. W hierarchii kościelnej biskupi włocławscy niepoślednie zajmowali miejsce.

Nie darmo przecież stara pieśń tak się o stolicy Kujaw odzywa:

. . . . . . i oto czerwieni się dawny
Włocławek, księżą, cłami i piwem sławny... [1]).

Dzisiaj pod wielu względami czasy się zmieniły. Ochronne cła, nadane ongi przez Zygmunta Augusta, zostały znie-

---

[1]) Ustęp z «Flisa» Klonowicza, poety z XVI-go wieku.

sione, a zamiast piwem, Włocławek słynie doskonałą cykoryą.

Okolica miasta urozmaicona wielce.

Z jednej strony Wisła, a za nią stopniowo wznoszące się wzgórza lesiste. To powiat lipnowski w gubernii płockiej, dawna ziemia dobrzyńska.

Sośnina prawie niepodzielnie króluje teraz na Kujawach i na Powiślu, ale kiedyś inaczej bywało — inne lasy szumem swych konarów wtórowały szumowi Wisły. Teraz...

Rzadko już buki i piękne dąbrowy
Pławią w jej nurtach przewrócone głowy,



Włocławek.

Lecz częściej nad nią sosna wznosi kolce,
Lub płacze brzoza przy młodej topolce,
A nadwiślańska topola wspaniała
Nad nurtem wielkie konary rozwiała.
(*Czajkowski*).

Przemysł w mieście wprawdzie żółwim krokiem, ale naprzód idzie, browary, cegielnie, huta szklana, fabryki cykoryi zatrudniają setki robotników—a co najważniejsza krajowców. Ozdobnych budowli i pamiątek historycznych miasto posiada mało. Najpiękniejszym gmachem jest bez zaprzeczenia kościół katedralny. Wieki całe składały się na to, by go ozdobić i rozszerzyć. Dzisiaj katedra włocławska zalicza się do najpiękniejszych świątyń w kraju. Grobowce z pstrego

marmuru z XV-go i XVI-go wieku, wspaniałe, złotem tkane stuły i ornaty, tablice herbowe, wreszcie na ścianie obok prezbyteryum herb Stefana Batorego, który podczas wojny z Gdańskiem długi czas przebywał w Włocławku—oto cenniejsze pamiątki katedry.

Pokazują także na zewnątrz świątyni od południa kompas, urządzony podobno ręką samego Kopernika.

Przy katedrze istnieje najdawniejsze w kraju semina-



Katedra Włocławska.

ryum duchowne dla kleryków. Trzy jeszcze kościoły są w mieście, żaden jednak nie odznacza się czemkolwiek godnem uwagi.

Włocławek posiada kilka szkół, dwie pensye żeńskie i ochronę. Z prawym brzegiem Wisły łączy miasto most na łyżwach, z odległą zaś o 185 wiorst Warszawą—linia kolei żelaznej Warszawsko - bydgoskiej.

Wianek sosnowych lasów, niestety mocno już przetrzebionych, zamyka Włocławek od południa.

Lasy z gruntem piaszczystym—zwyczajnie jak pod sośniną; ale za lasami gleba urodzajna o czem świadczą łany pszeniczne, plantacye buraków i pola rzepakiem zasiane.

Ostatnią stacyą przed Włocławkiem na drodze żelaznej jest Kowal, ubożuchna mieścina, ale droga sercu każdego Kujawiaka, tam bowiem urodził się Kazimierz, syn Łokietka i Jadwigi. Do niedawna pokazywano nawet miejsce, gdzie miała stać kuźnia i domek kowala, w którym królewskie dziecię na świat przyszło. O półtorej mili za Włocławkiem leży starożytne miasteczko *Brześć kujawski*, od którego niegdyś pochodziła nazwa województwa brzeskiego. Przodował ongi i bronił ziemi kujawskiej gród starożytny, osłaniając ją niby puklerzem.

O mury zamku biły jak fale zastępy najeźdźców—Krzyżaków, druzgotały je kule szwedzkie; gród padał, lecz podnosił się znowu. Pomagała mu też przyroda. Wzniesiony na stromym brzegu Zgłowiączki, okolony nieprzebytemi w owe czasy bagnami, był tym kamieniem, na którym często łamały się zęby krzyżackie.

Dziś z dawniejszych pamiątek został jedynie kościół starożytny, sięgający początków XIII-go wieku. Tuż pod miastem czernieją mury cukrowni „Brześć-kujawski,“ założonej przed kilku laty, a doskonale utrzymana szosa wiedzie do drugiej starej mieściny — do *Radziejowa.*

Po drodze zatrzymuje nas pięknie zagospodarowana wieś *Płowce.* Dawna to, przedhistorycznych sięgająca czasów sadyba. Łańcuch pagórków niby kopców, zwanych „żale“, otacza wioskę. Każde wzgórze, to mały cmentarz, pełen kości ludzkich, ułamków broni, części uprzęży, połamanych podków i t. p. szczątków przeszłości.

Na polach płowieckich rozegrała się w r. 1331 owa bitwa krwawa, w której potęga krzyżacka po raz pierwszy złamaną została.

Świetne było zwycięstwo Łokietkowe. Według współczesnych roczników padło wówczas 30,000 Krzyżaków.

Wspomnienie o bitwie po dziś dzień zachowało się między ludem, a wzniesiony na tę pamiątkę, niewiadomo jednak w którym roku, słup murowany, do tej pory w pośrodku wioski stoi. Z wspomnieniem o bitwie związana jest poetyczna legenda.

W jasne noce, o pełni księżyca, gdy dwunasta godzina uderzy, na ciemnym błękicie nieba ukazują się mknące szybko jak wicher hufce krzyżackie. Parskają kare rumaki, słychać chrzęst zbroi, szczękanie mieczów, wiatr rozwiewa białe płaszcze z czarnymi krzyżami— a widma ciągle pędzą przed siebie. Nad pobojowiskiem z końca w koniec słychać jęki i westchnienia. I nagle wszystko milknie, hufce zawracają i jak stado spłoszonych ptaków uciekając ku pruskiej granicy, nikną powoli w mgle nocnej.

A oto inne wspomnienie, także odnoszące się do bitwy pod Płowcami.

Śpiewka o Floryanie Szarym.

Szumią lasy, polskie lasy, Krzyżak lasem wali,
Ciężką szablą pobrzękuje, ludzkie sioła pali,
Zmyka zając podrygając i słuchami strzyże:
„Oj nieboże, siedź-że w norze, bo tam Krzyżak lizie“.
Szumią lasy, polskie lasy, nasi lasem gonią,
Podzwaniają szabelkami i w podkówki dzwonią,
Leci górą gołąbeczek, prosi Pana Boga:
„Daj-że, Boże, im zwycięstwo, Panieneczko droga.“
Oj jak zwarło się to bractwo, mój ty mocny Boże!
Wrogi lecą jak brytany puszczone z obroże.
Aż tu nasi jeno krzykną: Jezus! święte słowo,
I śmignęli aż się owym zrobiło niezdrowo.
Strach na wrogi padnął srogi, jeden, drugi tchórzy
Więc i reszta nogi za pas, zmyka aż się kurzy.

Jedzie sobie król Łokietek po tej bitwie w pole:
Tyle śmierci mocny Boże! aż go w sercu kole.
Patrzy, leży jeden rycerz, brzuch ma rozporany,
Ręką sobie wnętrze wpycha do okropnej rany.
Oj zasmucił się król wielce i pyta powoli:
— Miły bracie, toć ta rana pewno srodze boli?
— Oj nie bolić ona królu, nie boli tak srodze,
Jak zły sąsiad, co się z onym, het po sądach wodzę,
—Jak się zowiesz? — Floryan Szary. — Weźcież go na
I zanieście do mojego namiotu złotego. [mary,
Bądź-że zdrowy, mój bojowy, toć znajdzie się rada,
Że cię może i uwolnię od złego sąsiada.
Siedzi sobie sroka siedzi, na wierzbinie starej,
Idzie w goście choć do króla zdrowy Floryan Szary.
Król przyjmuje, obejmuje, sadowi na ławy,
Każe przynieść flaszę miodu i królewskiej strawy.
Razem wina się napili i król rzecze stary:
— Setnieś rzezał wrogi nasze, mój Floryanie Szary,
Toż ci daję do twej tarczy owe koźle rogi,
I trzy włócznie na pamiątkę, żeś tak rzezał wrogi.
Znowu wina się napili, w szklanki uderzyli,
A król rzecze: Jest-ci rada, wolnyś od sąsiada,
Weź-że sobie oną wioskę, kędyś we krwi brodził,
A nie będziesz się już więcej ze sąsiadem wodził.
Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbinie starej
Z królewskiego idzie dworu wesół Floryan Szary.
A i ja tam w on czas byłem, wino z nimi piłem,
Aż się w uściech nie zmieściło, tyle tego było.

Wisłą do Gdańska.

Rozlega się świst, statek parowy odbija od przystani włocławskiej i szparko płynie w dół Wisły. Towarzyszy mu

Rzeką wszak galary, tratwy, berlinki, ładowne po brzegi skarbami naszej ziemi.

Wisło! ty niesiesz na twoim przestworze
Nasze ziarniste pozłociste zboże.
I cynk srebrzysty i sól i gips biały,
Wapno i jaja i świeże nabiały.
Niesiesz, gdy zechcesz, a gdy nie masz woli,
Próżno berlinka żaglami swawoli,
Lub galar wiosłem twoje fale liżnie,
Ty nie chcesz! muszą stanąć na mieliźnie.
(*Czajkowski*).

Dość wysokie, umajone całe brzegi, to stromemi, to łagodnemi zboczami spadają ku rzece. Tu i owdzie strumień swe wody wlewa, lub ławica piasku zagradza statkowi drogę, tu i owdzie słomiane dachy chaty zabłysną w słońcu nad brzegiem rzeki — tu i owdzie strzeli czerwona wieżyczka wiejskiego kościoła...

Tam Bobrowniki [1]) pozorne tymczasem
Wnet się wynurzą za zielonym lasem
I ten gród kiedyś, znać to po wejrzeniu,
Był w szanowaniu.
(*Klonowicz*).

Ale to było dawno, bardzo dawno, jeszcze za czasów Konrada księcia mazowieckiego, który Bobrowniki sprzedał Krzyżakom. Wielki mistrz zakonu, Konrad Jungingen, wzniósł tam zameczek niewielki, lecz obronny na małej wysepce zewsząd wodą oblanej. Zameczek ten wraz z ziemią dobrzyńską został później od Krzyżaków wykupiony i przechochodził kresowych warowni koleje.

---

[1]) Bobrowniki—osada na prawym brzegu Wisły. Jak nazwa wskazuje, znajdowały się tam przed wiekami żeremie bobrowe.

Łupiono go, palono, aż powoli rozpadł się w gruzy. Dziś i tych gruzów prawie niema.

Ale płyńmy dalej wraz z poetą.

Wnet zatem ujrzysz Nieszawę czerwoną
Śpichlerzów długim rzędem obsadzoną.
Świecą się w lewo skorupiane dachy
I inne gmachy.

Obfite żniwa i gumna kujawskie
Tam się ściągają w śpichlerze nieszawskie.
Tam swe nadzieje ładuje ziemianin,
Tam i mieszczanin.

Powiatowe miasto *Nieszawa* prowadzi rozległy handel zbożowy. Podobno do czterech tysięcy statków, berlinek i tratew ładownych żytem, pszenicą lub drzewem zatrzymuje się tutaj rok rocznie, a wartość ziarna wynosi półtora miliona rubli.

Ruch na Wiśle duży, Nieszawa jest bowiem pierwszorzędną wodną komorą celną. Bramę dla miasta tworzy z jednej strony Wisła, z drugiej przerywany miejscami łańcuch wzgórz zielonych. Podanie mówi, że owe wzgórza, het daleko aż pod *Raciążek* i *Ciechocinek* idące, stanowiły kiedyś granicę dawnego koryta Wisły.

Bogate, szczególniej za Zygmuntowskich czasów, miasto z początkiem tego wieku upadać zaczęło i dopiero po utworzeniu przed kilkudziesięciu laty powiatu nieszawskiego, znowu dźwignęło się w górę.

Brzegi Wisły między Włocławkiem a Nieszawą dość zbliżone ku sobie, teraz poczynają stopniowo się oddalać, i w lekki łuk wyginać. Zaczyna się nizina ciechocińska. Gęste wierzbowe zarośla, miejscami jak mur zwarte, oplecione łańcuchami chmielu lub powoju, podszyte krzakami jarzyn, ciągną się po obu stronach rzeki. Niestety, zielony ten i żywy

[illegible] Powiśle [illegible] corocznych wy-[illegible].

Nie żartuje Wisła, gdy się ruszyła na wiosnę.

A kiedy w górach [illegible] śniegi.
Ty nagle groźna wychodzisz nad brzegi.
Zalewasz pola i uniesiesz z sobą
Wieśniaków chaty z całą ich chudobą.



Ciechocinek.

Powalasz domy i na twojej fali
Nieraz niemowlę w kołysce się żali…
A potem znowu wracasz w twe ukrycie
I cicho płyniesz w odwiecznem korycie.
(*Czajkowski*).

W pośrodku niziny leży *Ciechocinek* słynny w całym kraju obfitemi źródłami słonej wody, zwanej „solanką." Solanka jest znakomitem lekarstwem na reumatyzmy, skrofuły i t. p. cierpienia, to też począwszy od maja, aż do jesieni w Ciechocinku pełno jest chorych różnego wieku i stanu.

Położenie Ciechocinka niełądne — jak to mówi piosenka: „za laskiem piasek a za piaskiem lasek. Ale rozum ludzki i sztuka wzięły się do walki z naturę i zwyciężyły ją.



Tężnie ciechocińskie.

Na piaskach sypano tysiące fur urodzajnej ziemi, założony park rozrósł się bujnie, wzniesiono kościół, pobudowano szeregi pięknych domów, wspaniałe łazienki, i dzisiaj Ciechonek pod względem wygody przoduje innym zdrojowiskom w kraju.

Pytanie, gdzie znajdują się pokłady soli, nasycające źródła ciechocińskie, przed kilkudziesięciu laty dopiero zostało

rozwiązane, gdy odkryto kopalnie soli w Inowrocławiu, mieście na Kujawach pruskich leżącem.

Jednakże Ciechocinek oddawna dostarczał soli. Już ks. mazowiecki w umowie z Krzyżakami corocznie pewną jej ilość zawarunkował sobie. Z czasem ułatwiono otrzymywanie soli z solanki przez wzniesienie tak zwanych tężni.

Tężnie, są to wysokie na 70 stóp, a pół wiorsty długie budynki — czyli rusztowania drewniane, w których puste miejsca zapełniono chróstem lub faszyną.

Odpowiedni przyrząd wciąga solankę na sam szczyt tężni, skąd kroplami spada ona do olbrzymiego zbiornika umieszczonego poniżej. Solanka, spadając, ulega parowaniu i zostawia na cierniach wszystkie niepotrzebne części składowe, jak: gips, wapno, i t. p. Ze zbiorników stężona, czyli zgęstniała solanka odpływa rurami do warzelni wzniesionych nad Wisłą. Sól wydobytą z wody przez gotowanie nazywają „warzonką.“



Ruiny zamku w Raciążku.

Ną krawędzi wyżyny, ciągnącej się poza Ciechocinkiem, jasno na tle nieba rysują się ruiny Raciążka — warownego książęcego grodu, jednej ze strażnic ziemi kujawskiej.

Wiele wspomnień wiąże się z murami zamku, a głównie zjazdy króla Jagiełły z mistrzem krzyżackim i gronem komturów.

Dopiero od czasów pokoju toruńskiego za Kazimerza Jagiellończyka Raciążek w cień się zasuwa. Dziś jest to mała uboga osada rolnicza.

Sześć wiorst oddziela Ciechocinek od Aleksandrowa, stacyi i pierwszorzędnej komory celnej na linii kolei żelaznej Warszawsko-bydgoskiej. Doszliśmy do kresu ziemi kujawskiej w kraju naszym. Pożegnajmy ją wesołą piosenką Konopnickiej:



Kościół w Raciążku.

Na Kujawach rżną skrzypice.
Skoczę w tanek, dziewczę chwycę,
Chwycę dziewczę z poza stoła
Wykręcę je dookoła.
Niech tam wpodłuż tańczą pany,
Z izby za próg — odbijany,
Na Kujawach, chwalić Boga,
Chłop nie przejdzie swego proga!
Kołem, kołem po pod ściany
Przez bok poła od sukmany,

Na łbie czapa jak pół stoga.
Przy niej wstęga, że laboga!
Kołem, kołem, po pod ściany
Trzos rzęsisto nabijany,
A we trzosie dukat prawy...
Jak Kujawy, to Kujawy!
Dokoluśka gniazda ptasze,
Dokoluśka chaty nasze,
Dokoluśka kumy braty,
Dokoluśka płat u chaty!
Coraz prędzej Piotr, muzyka,
Po skrzypicy ciągnie smyka,
Coraz gibciej dziewczę gnie się,
Jak węgorek w mokrym lesie!
Na przechybkę, na przegiętkę,
Oj załowię cię na wędkę!
Na przegiętkę, na przechybkę
Oj załowię moją rybkę!
Czasem Bieda ze mną ksobie,
Lecz ja odzieb migniem drobię.
Nim się Bieda odzieb ruszy,
Ja znów ksobie, co mam duszy!
Choć mnie Bieda za czuprynę,
To ja klęknę, to się zwinę,
To ku ziemi się przychylę,
Że nie dotknie mnie i tyle!
Nie przechylę się daremno,
Wszędy Boża moc nademną!
A i co mi za niewola?
Komu z pola — mnie do pola!

Poniżej Ciechocinka wpada z prawej strony do Wisły wspomniana wyżej wartkolotna Drwęca. Tuż przy jej ujściu leży Złotorya, dawna posiadłość biskupów kujawskich — klucz otwierający ziemię dobrzyńską. Dlatego też o zdobycie tego klucza często i krwawe rozpoczynano boje.

W XV-ym wieku Ulrych v. Jungingen, zdobywszy zamek, zrównał go prawie z ziemią. Ten cios zabił Złotoryę.

Płyniemy dalej — koryto rzeki zwęża się trochę, zmienia kierunek z północno-zachodniego na zachodni i wreszcie stajemy w Toruniu.

Toruń.

Kronika klasztoru Franciszkanów toruńskich powiada, że „Toruń zwał się dawniej Tarnowem i że Konrad mazowiecki, sprowadziwszy Krzyżaków, w swojej wsi Starej Nie-



Toruń.

szawie [1]), po lewym brzegu Wisły, naprzeciw osady Tarnowa, zamek obronny dla Krzyżaków wystawił i ziemię Chełmińską na własność mu oddał r. 1230."

Niezadługo Krzyżacy i w owym Tarnowie się osiedlili; założyli tuż obok niego nową osadę, zwaną Thorun, Toruń, a że miasto położone było dogodnie dla handlu, wzrastało więc nadzwyczaj szybko i niedługo w zamożności stare Chełmno prześcignęło. Zamek, kościół Ś-go Jana i ratusz, były to pierwsze znaczniejsze budowle, obok których rozwijało się

[1]) Dzisiaj miasteczko Podgórz.

miasto, siedziba chciwych rycerzy - zakonników, oraz bogacącego się z rokiem każdym i niemczejącego z rokiem każdym — pod wpływem Krzyżaków — mieszczaństwa. Toruń stał się wkrótce punktem zbornym dla zakonu, a jako leżący u samych bram Mazowsza, był pośrednikiem między Polską a morzem. Tu Krzyżacy budowali statki, gromadzili hufce, sku-



Ratusz w Toruniu z pomnikiem Kopernika.

piali posiłki, wzrastając w coraz większą potęgę i stając się groźnymi nawet swej dobrodziejce — Polsce.

W czasie rządów Władysława Łokietka zagarnęli Pomorze, t. j. kraj cały nad Wisłą od ziemi Chełmińskiej aż do Gdańska i Baltyku.

Nareszcie chwila krwawego obrachunku nadeszła.

Za Władysława Jagiełły, r. 1410 pod Grunwaldem rozegrała się walka między Polakami a Krzyżakami; Toruń opa-

nowała polska załoga, która dopiero po zawartym tam pokoju r. 1411 z miasta ustąpiła i wtedy Krzyżacy powrócili do swego zamku.

Po owym pogromie zaczęła się uśpiona myśl narodowa budzić wśród pierwotnych mieszkańców ziemi Chełmińskiej, a wreszcie zrodziła się śmiertelna nienawiść do zakonu. Gabryel i Jan Bażyńscy, oraz Toruńczanin, Tyleman von Wege, stanęli na czele związku, zwanego Jaszczurczym, którego dążnością było oswobodzić się od zależności Krzyżaków, a poddać się Polsce.



Kościół Ś-go Jana w Toruniu.

Rozpoczęciem nowej doby dla Torunia był r. 1454, w którym Kazimierz Jagiellończyk na rynku toruńskim odebrał hołd od miast i szlachty ziemi Chełmińskiej. W dwanaście lat potem potęga zakonu została zupełnie złamana, a drugim pokojem toruńskim r. 1466 Krzyżacy zwrócili Polsce Pomorze z ziemią Chełmińską, Malborską i Warmią.

Pod rządem polskim zaczął się dla Torunia czas największego rozkwitu. Toruń stał się rzeczywiście królem Wisły, jak go współczesne kroniki nazywają, a niezatartym śla-

dem owego ruchu handlowego są do dziś dnia wspaniałe nad Wisłą śpichlerze.

Sebastyan Klonowicz opisuje w „Flisie,“ że Toruń otaczały wieńcem prześliczne winnice, a w nich wśród krynic i drzew wspaniałych ukazywały się wdzięczne „lusthauzy“ [1]), a dalej tak mówi:

„I ujrzysz najprzód nad górami śpice
I wież wysokich złote makowice,
Co swymi wierzchy modre niebo orzą,
Obłoki porzą.
A gdyć za szkutę wzad uciekną góry,
Oglądasz świetne, jako płomień mury;
Miasto, jak z rąbka wywinął osobne,
Na wszem ozdobne.
Toruń budowny i bogaty w cnotę:
Tam szczerych mieszczan oglądasz ochotę,
Tam pokój, tam wstyd, tam płuży uczciwość
I sprawiedliwość“.

To piękne miasto—według słów poety—„jakby z rąbka wywinięte,“ ucierpiało później niejednokrotnie w czasie wojen szwedzkich, a mianowicie za Augusta II-go Sasa. Król Szwedzki, Karol XII-ty, zburzył „płomienne mury,“ a na mieszczan nałożył wielką kontrybucyę.

Drugim rozbiorem Polski r. 1793 dostał się Toruń pod panowanie Prus. Potem przez kilka lat należał do księstwa Warszawskiego. Od upadku tego księstwa, Toruń z całemi Prusami Zachodniemi i księstwem Poznańskiem należy stale do królestwa Pruskiego. Prusacy zamienili miasto w silną twierdzę.

. . . .

Jakże nam się dzisiaj Toruń przedstawia? „Złote makowice“ nie porzą niebios, jak to było za czasów Klonowicza,

---

[1]) Wille.

„zielone winnice“ nie otaczają miasta, ale wieże licznych kościołów strzelają ku jasnym błękitom, nowe jego mury płoną, a Wisła im stopy obmywa.

Na Wiśle — bez wątpienia — mniej życia, niż przed wiekami, ale za to po pięknym moście żelaznym mknie kolej i hucząc, świszcząc, pędzi w dal.

Do dziś dnia ozdobą miasta jest wspomniany już kościół Ś-go Jana, oraz starodawny ratusz, w którym tyle jest okien, ile dni w roku. Z kościołów wymienić jeszcze należy: kościół Ś-go Jakóba, własność panien Benedyktynek do r. 1833. Zostały po nich liczne zapiski kronikarskie, bardzo cenne do historyi Torunia. Z kościoła Ś-go Jakóba unieśli Szwedzi r. 1703 olbrzymi dzwon, ważący 120 centnarów. Piękny jest także kościół Panny Maryi z pomnikiem Anny Wazówny, siostry Zygmunta III.



Starożytna baszta w Toruniu.

W pobliżu ratusza stoi pomnik Mikołaja Kopernika [1]; pamiętać należy, że wielki astronom, który dowiódł, że ziemia obraca się około słońca, w Toruniu na świat przyszedł r. 1473. Rodzina Koperników pochodziła z Krakowa; dziad naszego astronoma do Torunia się przesiedlił i był rodowitym Polakiem. Kopernik kształcił się w Krakowie, a potem we Włoszech, gdzie słynęły w owym czasie akademie w miastach:

[1]) Drugi pomnik Kopernika stoi w Warszawie na Krakowskiem-Przedmieściu, niedaleko kościoła Ś-go Krzyża, a wystawiony został za staraniem Stanisława Staszyca.

Padwie i Bolonii. Ponieważ wstąpił do stanu kapłańskiego, powróciwszy do kraju, został kanonikiem w Frauenburgu w Warmii i tam to pracował przez lat wiele nad swojem ważnem odkryciem, które starał się najjaśniej wytłómaczyć na piśmie. Umarł Kopernik w Frauenburgu r. 1543. Sława jego rozumu głośna jest dotąd na całym świecie i zawsze głośną będzie.



Z obrazu Jana Matejki.

Mikołaj Kopernik.

On przeniknął drogi Boże
I stworzenia tajemnicę:
Starą ziemię pchnął w przestworze,
Słońca wstrzymał jasne lice.
I stąd wyszła na świat cały
Wielka prawda polskiej chwały,
Z głębi ducha polskiej ziemi
I stanęła przed wszystkimi;

Stąd Polacy mówią sobie
Przy swojego mędrca grobie:
„Nasze wydało go plemię,
Wstrzymał słońce, ruszył ziemię".

W mieście, obok szerokich ulic z pięknymi, obszernymi, nowymi domami, zachowały się jeszcze wązkie uliczki i zaułki z małemi od frontu szczytowemi kamienicami; są to ciekawe zabytki dawnego budownictwa. Między starem a nowem miastem, tuż nad Wisłą wznoszą się dotąd zwaliska dawnego zamku krzyżackiego.

Do osobliwości Torunia należą także wspomniane już śpichlerze, z których jeszcze dzisiaj osiemnaście zasługuje na obejrzenie. Są to gmachy wysokie, równie jak owe stare kamieniczki, ze szczytami frontowymi, w stylu gotyckim. Patrząc na te piękne i wspaniałe budowle, nabiera się wyobrażenia o dawnej potędze handlowej i bogactwie Torunia.

Jako leżący na pograniczu Królestwa Polskiego, Toruń i teraz jest dość ożywionem i handlowem miastem. Z wyrobów miejscowych najwięcej się rozchodzą po świecie pierniki toruńskie, którymi od dawien dawna miasto słynie.

„Krakowski bucik, bułka poznańska,
Toruński piernik, a wódka gdańska,
W całej Polsce używają sławy,
A piękne panny — to już z Warszawy."

Tak mawiali nasi praojcowie. Widać więc, że im smakowały pierniki toruńskie tak, jak i nam dzisiaj smakują.

Ażeby mieć chociaż jakiekolwiek wyobrażenie o ilości rozchodzących się z Torunia pierników, dość powiedzieć, że fabrykanci używają rocznie do ich wypieku 5,000 centnarów miodu. Ponieważ pierniki są tem smaczniejsze, im rozczyna dłużej leży, przeto na niektóre delikatniejsze gatunki zostawia się ją przez dwa lata w beczkach i nieraz owo zarobione ciasto

stanowi posag łączących się par młodych, a należących do rodzin fabrykantów.

Od lat kilku Toruń stał się ogniskiem instytucyi polskich. Istnieje tam Bank polski, oraz Towarzystwo naukowe, którego celem jest przechowywanie i zbieranie pamiątek historycznych, pomieszczonych w Muzeum toruńskiem. Istnieje tam także Towarzystwo pomocy naukowej dla dziewcząt, starające się o wykształcenie ubogich panienek w gospodarstwie domowem, krawiecczyźnie i odpowiednich rzemiosłach. W Toruniu wreszcie wychodzą: „Przyjaciel“ i „Gazeta toruńska;“ zadaniem tych gazet jest walka z niemczyzną.

Krzyżackie strażnice.

A teraz porzućmy starodawny Toruń i na berlince ze śnieżnymi żaglami, wśród wesołego nawoływania flisaków, popłyńmy dalej po modrej, a coraz wspanialszej Wiśle.

Pogoda nam sprzyja; ciepły wietrzyk wiosenny muska fale, spoglądamy na wesołe brzegi miejscami tak wyniosłe, że niedostępne prawie, podziwiamy różnobarwną szachownicę pól doskonale uprawnych i przypływamy do *Chełmna*, które Prusacy na *Kulm* przerobili.

Stare to z czasów Mieszka I-go miasto, jedno z najdawniejszych w Polsce, nazwę swą ziemi całej nadało [1]). Już Bolesław Chrobry

„na pamięć, gdzie się Polacy zagnali,
Jakie z Czech, Niemiec odnosili łupy,
Bije na Elbie i w Ossie i w Sali
Żelazne słupy [2]).

A Ossa płynie przecie na samej północy ziemi Chełmińskiej.

[1]) Wisła, Drwęca i Ossa stanowiły ongi granicę ziemi Chełmińskiej.
[2]) Śpiewy historyczne Niemcewicza, poety z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Zburzone przez dzikich Prusaków Chełmno, książę mazowiecki Konrad oddał Krzyżakom z warunkiem, by je odbudowali na nowo. Warunek został spełniony. Chełmno stało się naczelnem miastem krzyżackiem aż do r. 1309, to jest do czasu przeniesienia stolicy do Malborga.

Zdradziecki, nie szanujący cudzego dobra zakon, umiał jednak zabiegać, gdy o własną skórę chodziło. Pod rządami krzyżackimi Chełmno zasłynęło z przemysłu i w związku miast niemieckich zwanym „Hanzą“ [1]) pierwsze zajęło miejsce.

Ale skoro zaczęły się wojny Polaków z Krzyżakami, wnet miasto podupadło. Dobiły je w późniejszych czasach wojny szwedzkie za pauowania Wazów. Od r. 1815 Chełmno zostało przyłączone do Prus i obecnie jest to sobie porządnie zabudowane, dobrze utrzymane miasto, w którem tylko niewiele pamiątek zostało.

Do najcenniejszych należy stary, ze sześć wieków liczący kościół farny, z dwiema wieżami, z których jedna nieskończona.

Według miejscowego podania — pioruny biły w wieżę, ilekroć próbowano ją skończyć. Była to kara na budowniczego, który wbrew przykazaniu Boskiemu „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił“ kazał robotnikom pracować w niedzielę.

Fara słynie relikwiami i cudownym obrazem Matki Boskiej Bolesnej.

Kościołów nie brak w Chełmnie: jedne—krzyżackich sięgają czasów, inne—jeszcze dawniejsze, a mnogość ich dowodzi, iż lud miejscowy był bardzo pobożny.

Położenie miasta urocze. Z dziewięciu pagórków, na których rozłożyły się gmachy i kościoły, czarodziejski na okolice nadwiślańskie roztacza się widok.

---

[1]) «Hanza»—związek miast niemieckich, w celu obrony od korsarzy i rozbójników.

Powyżej ujścia Ossy... usiadł z prawej strony
Grudziądz czerwony.

Dawniej miasto zwało się Grodzienice i, jak nazwa wskazuje, było grodem obronnym, a jeszcze dawniej sadybą pogańską. Dowodzą tego odkopane przy budowie domów cmentarzyska z urnami.

Na uwagę w mieście zasługują wodociągi, prowadzące wodę z rzeczki Ossy i urządzone, jak podanie mówi, według rad i wskazówek Kopernika.

Statek niesie nas dalej, coraz dalej. Mijamy płynącą równolegle do Wisły Mątawę, mijamy szeregi ogrodów, aż stajemy u miasta *Gniewa*, leżącego przy ujściu Weryssy.

Już to tam nad brzegami Wisły co gród—to staruszek, a jeden poważniejszy od drugiego. I Gniew przechrzczony teraz na Mewe, liczy sobie także przynajmniej sześć wieków istnienia, według tego co napisano w dokumentach i kronikach miejskich.

Stary zamek krzyżacki, przerobiony teraz na więzienie, a obok mniejsza trzypiętrowa budowla, wystawiona przez Jana Sobieskiego i zwana do tej pory domem Sobieskiego, to zabytki przeszłości w Gniewie.

Od zamku pod całem miastem, aż na przedmieście, gdzie dawniej stał kościół Ś-go Jerzego, idzie sklepiony korytarz podziemny. Krzyżacy używali go w czasie wojen, a nawet odprawiali tam niekiedy swoje procesye.

Jan Sobieski lubił Gniew bardzo i często w nim przebywał wraz ze swą ukochaną Marysieńką.

Poniżej Gniewa Wisła dzieli się, jak to już wiemy, na dwie odnogi. Lewa skręca na zachód, prawa zaś nazwę Nogatu przybiera i, oddalając się od swej towarzyszki, wpada do zatoki Świeżej.

Przyczynę rozdziału Wisły na dwa ramiona ślicznie objaśnia starodawne podanie, które tak wierszem opisał Klonowicz.

Podanie o powstaniu miasta Gniewa.

Dwaj bracia z siostrą w drogę się wybrali,
Z Litwy Niemen, Bug z Wołynia zuchwały
I Narew bystra, jako siostra starsza,
Przyszła z Podlasia.

Bowiem lepszego bytu chcieli użyć,
Zachciało się im u królowej służyć,
Co do niej płyną ze wszech stron poprzeki
Sarmackie rzeki.

Przystali tedy do Nowego-Dworu
Narew wraz z bracią, puścili się toru
I tak służyli Wandzie Krakusowej,
Jako królowej.

Czując do siebie Narew śliczną gładkość,
Czując też w braciach siłę i też wartkość,
Chciała być równa w rodzaju, w urodzie,
Wandalskiej wodziej.

Pani ślicznością i domem chwalebna,
Nie chcąc być tańszą, niż panna służebna,
Wyzwała Narew, chcąc ją wywieść z błędu
Pozwem do sądu.

Sędzia roztropny, puścił przed się strony,
I sąd zagaił tuż u samej bramy,
Szła para panien, każda z nich osobna
Gwiaździe podobna.

Upatrzył sędzia, iż nad księżną ową
Osobliwszego coś miała królowa,
Skazał, iż gładsza królowa rzecz ista,
Niźli służbista.

Narew wraz z bracią wnet się rozgniewała
A inszą drogą płynąć się wezbrała.
Więc miejsce sądu na brzegu, na lewym
Nazwano Gniewem.

A gdzie się Narew na prawo chynęła,
A od królowej zdala [1]) popłynęła
Pod sławny Olbląg, Nogatem to zową
Flisowską mową.

Żuławy.

Poniżej Gniewa dwie odnogi Wisły niby ramionami obejmują kawał ziemi, dwadzieścia mil kwadrat. liczący, a kształtem do trójkąta zbliżony. Ten trójkąt przed setkami wieków był daleko wrzynającą się w ląd zatoką morską. Do zatoki wlewała się Wisła. Wody jej unosiły z sobą mnóstwo mułu, czyli żułu wypłukanego z rodzajnej ziemi.

Ciężki, tłusty muł opadał przy ujściu rzeki i oto zatoka wypełniać się poczęła, stawać coraz, coraz płytszą, aż w końcu zniknęła zupełnie pod warstwami, czyli ławami żułu.

Tak według objaśnień nauki powstały *Żuławy*.

Ciekawa to bardzo kraina, tak bardzo odmienna, a tak mało znana.

Cała sieć i to gęsta kanałów w rozmaitych kierunkach przecina Żuławy. To drogi i dróżki dla mieszkańców. Zamiast turkotu wozów—plusk wioseł, zamiast koni — białe żagle, zamiast nawoływań furmanów — piosenki flisackie, zamiast kurzu — chłodne, a wilgotne powiewy morskie.

Świeżości tutejszej zieleni ani sposób opisać! Wszędzie ogrody, pola, a głównie bujnie zarosłe łąki, na których pasą się stada bydła. Wszystko zużytkowane, ani piędź ziemi od-

[1]) W oryginale «narozno».

łogiem nie leży — a że praca, oszczędność i rozum zawsze biedę na cztery wiatry wypędzą, więc też Żuławiacy bardzo są zamożni, troski o chleb nie znają wcale.

Mają za to wcale inną i to ciągłą troskę. Muszą pilnować Wisły, by rozhulawszy się w czasie przyborów wiosennych i letnich, nie zapragnęła swej dawnej własności odwiedzić. Prawie całe Żuławy leżą niżej poziomu owych dwu ramion rzeki, opasujących krainę, ale wysoka grobla, a raczej szereg grobli broni wodzie dostępu.

Starannie i mocno wzniesione, ujęte w wierzbinę, groble te jednak czasami pod naciskiem fal pękają. Biada, trzykroć biada wtedy całej krainie! Pamiętają o tem Żuławiacy i w chwilach przyboru Wisły dni i noce spędzają na posterunku, pilnując ochronnej tamy więcej, niż oka w głowie.

Stolica krzyżacka.

Na prawym brzegu Nogatu leży miasto *Malborg* (Marienburg) z prastarym zamkiem, panującym nad całą równiną Żuław.

Zamek ten, to gniazdo potężnych Krzyżaków, o których Mickiewicz mówi w wspomnianym już „Konradzie Wallenrodzie“:

„Z Maryenburskiej wieży zadzwoniono,
Z obradnej sali idą do kaplicy,
Najpierwszy komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono“.

O początku Malborga sprzeczne są podania, jednakże pewnem jest, iż w początkach XIII-go wieku osiadł tam zakon krzyżacki i z poza murów zamku niby olbrzymi pająk w nienasyconej swej chciwości wypadał po coraz nowe ofiary.

Ogromny, po dzisiejsze czasy istniejący gród był jednocześnie twierdzą, klasztorem i pałacem. Obszar jego przenosił sześć razy zamek królewski na Wawelu.

Cztery wysokie piętra biegły w górę, dwa zstępowały w ziemię, mieszcząc w sobie mnóstwo skrytek, przejść tajemnych, izb większych, mniejszych i sal wspaniałych, a z wyniosłego krużganka świątyni, na tle złotej mozaiki, jaśniała twarz Bogarodzicy, pod której wezwaniem gród wzniesiono.

Ślubowali Krzyżacy ubóstwo, ciszę, pokorę, ale ani ubogimi, ani cichymi ani pokornymi nie byli. Zamek malborski



Refektarz w zamku Malborskim.

kipiał od zrabowanych bogactw, sale rozbrzmiewały gwarem, pieśniami i szczękiem puharów.

Mickiewicz tak dalej ucztę krzyżacką opisuje:

„Był dzień patrona, uroczyste święto,
Komtury z braćmi do stolicy jadą;
Białe chorągwie na wieżach zatknięto!
Konrad [1]) rycerzy ma uczcić biesiadą.

---

[1]) Konrad Wallenrod, wielki mistrz krzyżacki.

Sto białych płaszczów powiewa za stołem,
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:
To byli bracia, a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Już mistrz, powstawszy, daje nuty hasło:
Cieszmy się w Panu [2])! Wnet puhary błysły,



Malborg.

Cieszmy się w Panu! tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł i na łokciu wsparty
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

---

[2]) Hasło uczt zakonnych owego wieku.

Zarazem różni śpiewacy powstali:
Tam Włoch otyły słowiczymi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali;
Owdzie trubadur [1]) od brzegów Garony [2])
Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,
Zaklętych dziewic i błędnych rycerzy".



Karton M. E. Andriollego.

Uczta Wallenroda.

Z pomiędzy sal zamkowych jedna, zwana audyencyonalną, na wyróżnienie zasługuje. Oświeca ją z trzech stron dziesięć okien, dwoma umieszczonych rzędami, a zajmuje ona szesnaście metrów w kwadrat. Mimo tego ogromu, całe sklepienie wspiera się tylko na jednym jedynie słupie granitowym. Długosz opowiada, iż o usunięcie tego słupa w odpowiedniej chwili, a w następstwie i zagrzebanie pod murami sklepienia

[1]) Tak nazywano dawniej poetów we Francyi. [2]) Rzeka we Francyi.

całej kapituły zakonu pokusił się Jagiełło, gdy po bitwie grunwaldzkiej oblegał Malborg.

Przekupiony pachołek dał znak czerwoną czapką, że komturzy, rycerze i wielki mistrz na naradę zebrali się, wycelowano działo, ale kula chybiła w biegu i ominąwszy słup o kilka cali zaledwie, uwięzła w przeciwległej ścianie i tkwi tam do obecnej chwili.

Jeszcze raz drugi, i stokroć gorzej chybił Jagiełło, odstępując po dwumiesięcznem oblężeniu od murów Malborga, wtedy właśnie, gdy Krzyżacy myśleli poddać się, goniąc resztkami sił i ży wności.



Most pod Tczewem.

Przy odnawianiu zamku przed czterema laty, usunięto troskliwie wszelkie pamiątki, pozostawiając jedynie te, które wielkość zakonu krzyżackiego przypominały, a w przebudowanych w większej części salach pomieszczono różne kancelarye i składy wojskowe.

Ostatnia godzina już dla Krzyżaków dawno wybiła, ale walka żywiołu germańskiego ze słowiańskim nie skończyła się i dzisiejsi Prusacy, potomkowie Krzyżaków, wciąż zajadle uciskają i gnębią ludy słowiańskie.

Ale zostawmy Malborg, od którego wszystko nas odpycha, a nic nie ciągnie, i popłyńmy do *Tczewa* (Dirschau), starej siedziby słowiańskiej. I tam niszcząca ręka czasu zmazała ślady przeszłości. Mówią nam o niej jedynie dwa kościoły, ufundowane w XIII-ym wieku za rządów Mestwina, księcia pomorskiego. Teraźniejszość zato gwałtem żąda pochwały. Miasto jest porządnie utrzymane, a wspaniały na 2668 stóp długi most na Wiśle zaliczają do największych w Europie.

Król Baltyku.

Pójdziemy dalej, kto stopy przysunie
Na wód północnych wybrzeża żółtawe,
Ujrzy na straży posępną Motławę
I radującą się wiecznie Radunię,
Co jak odźwierne w progu Wisły strzegą,
Bram bursztynowych morza Baltyckiego.

Deotyma.

Jeszcze lepiej strzeże bram Baltyku *Gdańsk* stary. Niegdyś był on sobie nędzną osadą rybacką, ale morze dopóty mu niosło do stóp swe skarby, Wisła dopóty swem zbożem karmiła, aż urósł w znaczenie i siłę.

Dzisiaj Gdańsk to magnat pokaźny, to król wybrzeży baltyckich! Dla okrętów przyjacielskich ma on port wygodny, dla wrogów—licznych dział paszcze, jest bowiem twierdzą pierwszorzędną.

Czego to miasto nie przeżyło, nie doznało! Nie oszczędzały go głód, pożar, wojna, morowe powietrze.

Historya Gdańska ściśle jest z historyą Polski związana. Połączony z Polską przez Bolesława Chrobrego, odpadł za Leszka zwanego Białym i dopiero Mestwin, książę pomorski, oddał Gdańsk wraz z Pomorzem Przemysławowi, księciu wielkopolskiemu, w r. 1284. Za Wacławów czeskich można rodzina Swieców sprawowała tam rządy i gdy Łokietek władzę

nad Pomorzem oddał sędziemu pomorskiemu Boguszy, Swiecowie sprowadzili na ziemię ojczystą margrabiów brandeburskich i Gdańsk oblegli.

Łokietek obejrzał się także za sojusznikiem. Był tam jeden niedaleko, układny a zdradliwy, z godłem Chrystusa na zbroi.

Krzyżacy, bo o nich tu mowa, skorzystali z wezwania, odparli Brandeburczyków, a później sami pokazali, co umieją. Najlepiej umieli zdradzać, to też d. 4 sierpnia 1308 r. w dzień



Port w Gdańsku.

św. Dominika, gdy doroczny jarmark sprowadził tłumy ludu, Gdańsk był widownią strasznego czynu. Krzyżacy wpadli na zamek, wycięli w pień dziesięciotysięczną załogę, Boguszę uwięzili i miasto zabrali dla siebie. Wspomnienie tej rzezi przechowało się w pieśni ludowej, którą matki śpiewają do dziś dnia jeszcze nad kołyską swych dzieci.

Oto z niej dwie zwrotki; będą one zarazem próbką miejscowego narzecza Kaszubów.

Ziuziu, ziuziu [1]), córalenku,
Zabiele cy ojca w renku [2]),
Zabiele go ze drudzimi,
Toporami zelaznymi.
A w Reduni [3]) krwawa woda.
Szkoda ojca, że co szkoda!


Ratusz w Gdańsku.

Wianek bierzesz do dom so-
[bie,
Kładziesz go na tatci grobie,
Klęcząc modlisz się za ojca,
Co go zabił Krzyżak zbojca.
A w Reduni krwawa woda.
Szkoda ojca, że co szkoda.

Do r. 1454, t. j. do czasu rozpoczęcia wojny trzynastoletniej za Kazimierza Jagiellończyka, Krzyżacy nie wypuszczali Pomorza ze swych rąk drapieżnych. Smutne to były czasy. Różne klęski: głód, powodzie, burze, morowa zaraza nawiedzały miasto, gniotła je ciężka ręka krzyżacka. Więc też Kazimierz Jagiellończyk przyjmowany był w Gdańsku jak zbawca. Dobry stosunek Gdańska z Polską zachwiała reformacya; różnice w przekonaniach religijnych poczęły waśnić ludzi między sobą i doszło do tego, że dla urządzenia spraw i uspokojenia zamieszek, Zygmunt Stary zjechał do Gdańska i trzy miesiące tam przebywał. Przywrócono porządek, zapanowała zgoda, ale na krótko. Podburzony do oporu Gdańsk znowu się zbuntował, nieuznając królem Stefana Batorego. Wojna skończyła się zwycięstwem Polaków.

---

[1]) To samo co ha! ha! wykrzyknik, służący do usypiania niemowlęcia. [2]) W rynku. [3]) Radunia.

Gdańszczanie, widząc, że porwali się, jak to mówią, z motyką na słońce, uderzyli w pokorę i bramy miasta przed królem otwarli, składając 200,000 zł. na odbudowanie zniszczonego w czasie wojny klasztoru w sąsiadującej z Gdańskiem Oliwie. Z tych czasów datuje się przysłowie: „Porwał się jak burmistrz gdański na króla polskiego". Następcy króla Batorego, Zygmunt III-ci i jego synowie, także Gdańsk nawiedzili, a miasto z przepychem przyjmowało swych panów.



Brama w Gdańsku.

Na wysokiej bramie i na ratuszu nie szczędzili trębacze instrumentów, towarzyszył im zegar miejski i armaty, które nieustannie biły aż do północy.

Stanowczością przekonań nie mógł się jednakże Gdańsk poszczycić. I tak np. za długie namysły, czy odstąpić Augusta II-go i uznać królem Leszczyńskiego, musieli Gdańszczanie na rozkaz przyjaciela Leszczyńskiego, Karola XII-go, króla szwedzkiego, zapłacić 67 tysięcy talarów kary. Później znowu w prędkim bardzo czasie tak pokochali nowego pana, że bronili go odważnie, gdy wojska Augusta mury Gdańska obległy, co znowu nie przeszkodziło im w następstwie temuż Augustowi pomnik wystawić.

Jednem słowem, przekonania Gdańszczan przypominały wielce chorągiewkę na dachu.

W r. 1793 miasto przeszło pod panowanie pruskie. Gdy ukazały się pruskie wojska wśród murów Gdańska, mieszkańcy do wylewu krwi się bronili. A dzisiaj, niech ich kto zapyta, czy są lub nie są Prusakami, co odpodziedzą?

Taka była przeszłość Gdańska. W ludzkich sercach zatarły się jej ślady, ale kamień dłużej pamięć chowa.

Wspaniałe kamienne bramy, pod któremi przesuwały się hufce potomków grunwaldzkich, jaśnieją dotychczas



Giełda w Gdańsku.

połączonymi herbami Korony i Hanzy. Domy wysokie a wązkie noszą na sobie średniowieczne piętno. Szczególniej ciekawe są budowle w rynku. Ratusz z XIII-go wieku w stylu gotyckim posiada wysoką na 242 stóp wieżę, uwieńczoną grubo złoconym posągiem Zygmunta III-go. W ratuszu mieszczą się wspaniałe sale. Tam ongi zasiadali radni miasta z burmistrzem na czele, którego władza w Gdańsku większą była, aniżeli króla w Polsce. Obok ratusza stoi gmach prastary z posągiem Augusta III-go. Jest to tak zwany Artushof — obecnie giełda.

Ze wszystkich miast europejskich Gdańsk posiadał najwięcej kościołów i kaplic. Liczba ich czterdziestu podobno dochodziła. Najdawniejszym jest kościół Panny Maryi zbudowany w formie łacińskiego krzyża. To dzieło Krzyżaków. Zewnątrz świątynia, najeżona różnej wielkości wieżami, przygniata nieco ogromem, za to wewnątrz zadziwia wysmukłością filarów, lekkością łuków, rzeźbami delikatnemi jak koronka. Czterdzieści sześć kaplic niby wieńcem otacza świątynię, ale wieniec to przywiędły — kaplice zaniedbane, niemal w ruinie.



Kościół Panny Maryi w Gdańsku.

Biblioteka klasztorna zawiera bogaty zbiór mszałów z XV-go i XVI-go stulecia, a skarbiec cenne relikwiarze, obrazy bizantyńskiego stylu, kielichy, ornaty.

Kościół Panny Maryi oddawna obrócony jest na zbór protestancki.

Do ciekawych budowli w Gdańsku zaliczone są także śpichlerze, a jest ich blizko dwie setki. Wysokie, głuche, i zamknięte nie zdradzają skromną, zewnętrzną szatą tych bogactw, jakie w sobie kryją. Podobno zboże, zgromadzone

naraz w śpichlerzach, przechodzi wartością wiele milionów talarów.

Posłuchajmy teraz, co Klonowicz o śpichlerzach pisał:

„Tu już przyjedziesz do misternej windy,
Tu ujrzysz dziwnych rzeczy na przebindy [1])
Jakom powiedział, już tu masz śpichlerze,
Masz i maklerze [2]).
Masz zielony most, cel naszej roboty,
Tu wzwody, wschody, dziwne kołowroty,
Masz wagę, trety [3]), ławy dziwne sprawy
Różne zabawy".

A potem zbawienne rady podróżnemu daje, czego się strzedz, na co uważać sprzedający powinien.

„A już ów kupiec niebardzo warowny
Co nazbyt mowny".

Wreszcie gdy już sprzedaż ukończona, poeta taką radę daje:

„Myknijże nazad sprawdziwszy swe rzeczy,
Wiatry północne miej na dobrej pieczy,
Klnij się. Bodaj nas powietrze porwało,
Nami miotało.
By nas pędziło z lekkiego zachodu
Do miłej Polski, z tego tu zawodu".

Nietylko zbożem i drzewem handlowali Gdańszczanie. Ich likier, wódki, marcypany, cudnie mosiądzem zdobne szafy, wyroby bursztynowe, zegary, słynęły oddawna i wciąż słyną.

Wzmagał się handel, wzmagały bogactwa, a za niemi szedł przepych i zbytek.

Musiały one zbytki przekraczać zwykłą miarę, bo biskup warmiński, Jan Gdańszczanin (Dantyszek [4]), napisał wiersz, w którym gromi surowo zbytki swoich współziomków:

[1]) Do wyboru. [2]) Faktorzy. [3]) Chodniki. [4]) Żył w wieku XVI.

„Nowe bogate miasto, co się zowie Gdańskiem,
Przyjm słowa, któreć niosę z rozkazaniem Pańskiem:
Krótki czas, jeżli grzechów nie przestaniesz dalej,
Twoja cię własna zbrodnia z posady obali,
Prędko wzrosłoś, lecz przebóg i twa zguba chyża,
Twój dzień, miasto niewdzięczne, rychło się przybliża“.

. . . .

Część przepowiedni, jak widzimy z historyi, sprawdziła się zupełnie. Gniew Boży klęskami jak biczem chłostał miasto...

Wre życie w przystani gdańskiej, maszty okrętów niby las wyrastają z wody, słychać krzyki, nawoływania, targi i umowy kupczących.

O przeszłości nikt nie pamięta — dla dzisiejszych mieszkańców Gdańska nie istnieje ona zgoła.

Soboty gdańskie.

Powszechny w całej słowiańszczyźnie zwyczaj palenia sobótek i na Pomorzu był znany, bo od niego wzięła imię mała osada, przytulona do głęboko wkrajanej w ląd zatoki Baltyku.

Uroczy to zakątek te *Soboty*, z niemiecka na Coppoty przerobione, prawdziwy klejnocik oprawny z jednej strony w szafir morza, z drugiej w zieleń lesistych pagórków.

Ale były czasy, kiedy to ciche ustronie ucierpiało od ognia i miecza. Wojując z Batorym w r. 1557, Gdańszczanie spalili Soboty, a i Szwedzi później nie oszczędzali ubogiej wówczas wioski rybackiej.

Jesienią i zimą Soboty drzemią sobie potrochu, ale z wiosną w domkach, willach i pałacykach, zaczyna się ruch ożywiony. Czyszczą, bielą, porządkują na przybycie gości, których tłum zjeżdża tutaj rok rocznie dla morskich kąpieli. Kąpiele są wprawdzie słabe, Baltyk niema przypływu i od-

pływu, nawet smak wody w zatoce jest tylko trochę gorzkawy, ale z powodu tych właśnie i innych jeszcze warunków, kąpiele sobockie dla dzieci są nieocenione — zwą je też kąpielami dziecięcemi.

Każdego dnia, jeżeli tylko pogoda dopisuje, szerokie piaszczyste wybrzeże zalewa armia dzieci.

Jak stado ptasząt trzepoce się ten drobiazg na piasku i używa swobody, co się zmieści. Ci kopią rowy, tamci sypią szańce, zakładają maleńkie sadzawki. Odważniejsi malcy, podkasawszy wysoko ubranka, wchodzą w wodę i łapią różowe i błękitne meduzy [1]), których szczególnie w czasie spokojnego morza mnóstwo do brzegów przypływa.



Soboty gdańskie.

Fale Baltyku mienią się w słońcu kolorami tęczy, wiatr to wzdyma je, to wygładza, a białe jak śnieg mewy, do łódek z rozpiętymi żaglami podobne, szybują nad morzem.

Dobrze i zacisznie w Sobotach, lecz nie każdemu. Nienawiść germańska i tu głośnem odzywa się echem i Niemcy wrogo traktują przybyszów polskich.

Niewielka przestrzeń dzieli zatokę gdańską od sobockiej, więc też w każdą niedzielę statki i pociągi przywożą

---

[1]) Meduzy—osobliwe stworzenia morskie o ciele galaretowatem, kształtu dzwonkowatego, z czterema wiszącemi ramionami.

z Gdańska całe legiony Niemców, wśród których niknie chwilowo przyjezdna i miejscowa ludność polska.

Chleb kamienny w Oliwie[1])

przez

Adama Gorczyńskiego.

Kaźmierz panował, ze szczepu Piasta
Ostatni potomek męski,
Gdy padła klęska na wioski, miasta,
Nad wszystkie straszniejsza klęski.



Przystań w Sobotach.

Bo ziemia latem zwędzona parnem
Z długiego słabła pragnienia,
Nie wypłaciła jesieni ziarnem
Wzięte na wiosnę nasienia.
W onym to roku powszechnej nędzy,
Gdy z głodu naród umierał,
Był panek; zdzierstwem mnogo pieniędzy
I ziarna mnogo nazbierał.

---

[1]) Oliwa, były klasztor Cystersów, założony w r. 1170 przez Sobiesława księcia pomorskiego, leży o pięć minut drogi koleją od Sobót. Obecnie jest to własność książąt pruskich.

I choć zamożny z łońskiego zbioru,
W kmiecą siermięgę się przebrał,
Do Oliwskiego chadzał klasztoru,
Nędzę udawał i żebrał.
Razu jednego gdy wracał z miasta,
Chleb niosąc w zawoju szaty,
Z dzieciątkiem w ręku stara niewiasta
Z przydrożnej wybiegła chaty.
I woła: „Chlebem posil niebogę,
Jeżeli serce masz człeka:
Ja stara jestem, ranną mam nogę,
Droga do miasta daleka.“
—„Nie chleb—rzekł panek—lecz kamień prosty
Niosę, u nas on rzadki.
A ja mam właśnie budować mosty
Na rzece wedle mej chatki“.
Na to niewiasta: „Człeku! tyś skłamał:
Bo chleb ty niesiesz, nie kamień;
Lecz chleb, któregoś ze mną nie złamał,
Boże, w kamienie ty zamień“.
Ledwie to rzekła, panek postrzega,
Że bochen chleba ociężał;
Ciężarem swoim ramię przylega,
Na twardy kamień on stężał.
Dotąd w Oliwie w klasztornym ganku
Wisi ten kamień na ścianie;
I głośna powieść o skąpym panku
I chleba w kamień przemianie.

Myli się stara legenda: chleba zamienionego w kamień niema już w murach klasztoru oliwskiego. Gdzie znikł, niewiadomo. Ale są za to inne pamiątki, a przedewszystkiem sala, w której podpisano tak zwany traktat oliwski między Janem Kazimierzem, królem polskim, a Karolem Gustawem, królem szwedzkim, w 1660 r.

Podobno łzy smutku napełniły oczy królewskie, a ręka drżała z wzruszenia, gdy ujął za pióro, przez traktat bowiem Polska odstępowała Szwedom część Inflant, uznawała niepodległość Prus, a Jan Kazimierz zrzekł się prawa do tronu szwedzkiego. Ale cóż było robić? Wyniszczony długiemi wojnami kraj gwałtem potrzebował wypoczynku, więc choć traktat był niekorzystny, w kościele oliwskim odśpiewano dziękczynne „Te Deum laudamus", a lud cieszył się, że upragniona godzina spokoju nareszcie wybiła.

Liczne napisy pokrywają ściany sali. Jeden z nich, na



Klasztor i pałac w Oliwie.

marmurowej tablicy wyryty, odnosi się do zawarcia pokoju. U góry bowiem wzlata gołąb z różdżką oliwną w dziobku.

Do r. 1807 pełno było w sali pamiątek historycznych, ale teraz wszystko poginęło, został tylko piękny stół gdański z marmurowym wierzchem, na którym podobno traktat podpisano.

Klasztor oliwski według zwyczaju Cystersów jest zbudowany w czworobok. Od wnętrza biegną wspaniałe krużganki, a stamtąd wejścia do licznych sal prowadzą. Przed jednem z takich wejść są jeszcze ślady dawnej fontanny. Miała ona

kształt drzewa oliwnego i rzucała z liści i owoców strumienie wody do ogromnej cysterny z marmuru.

W kościele mnóstwo tablic pamiątkowych, wizerunków królów polskich i książąt pomorskich, nagrobków i pomników. Wspaniałe, do największych w Europie zaliczone organy poważnymi dźwiękami napełniają świątynię podczas większych uroczystości kościelnych.

Klasztor wraz z licznemi budowlami stoi wpośród parku. Stuletnie dęby i lipy, szpalery z drzew strzyżonych, sztuczne wodospady, tajemnicze groty, kanały, sadzawki, to wszystko ślady pracy zakonników, którzy dopiero w r. 1831 klasztor opuścili.

Mimo wykwintnego porządku, mimo dywanów kwiatowych, bogactwa zieloności, smutek za serce chwyta wędrowca w tym ogrodzie. Oko mimowoli szuka, czy tam, w głębi grobowej alei nie przesuwają się białe habity mnichów, czy do ścian groty nie tuli się postać zadumana, ucho śledzi, czy szmerowi wody nie wtóruje szmer odmawianych pacierzy i czeka, rychło dzwon klasztorny na „Angelus" zadzwoni.

I ten park, cały skąpany w świetle, wonny, jasny, wydaje się jakimś cmentarzem pełnym mar i widziadeł, a szare mury klasztoru w swym bogatym bluszczowym płaszczu—olbrzymim, tajemniczym grobowcem.

Pośród Kaszubów.

W Prusach zachodnich, wzdłuż wybrzeży Baltyku, leży pobratymcza kraina Kaszubów. Granicą jej z południa są żyzne niziny żuławskie, ze wschodu Gdańska zatoka, z zachodu zaś Pucka i półwysep Heli.

Mają Kaszubi poemat pod tytułem „O panu Czorlińscim, co do Pucka po sece jachoł," przez Hieronima Derdowskiego, więc kto chce poznać ziemię swych pobratymców, niech go przeczyta. Są tam ciekawe opisy różnych miejsco-

wości kaszubskich, obrzędy, zwyczaje, podania. Język, jak z tytułu sądzić możemy—jest wielce do naszego podobny, w zrozumieniu nie będzie więc trudności. Uczeni twierdzą nawet, że był on jedną z najpierwotniejszych form języka polskiego.

Oto ustęp, opisujący półwysep Heli. Przytaczamy go w tłómaczeniu.

„A tu z lądu ciągnie w wodę ziemi język długi.
Ten z początku jest cieniutki, potem się rozszerza,
A na jego końcu stoi coś, jak gdyby wieża.
Czarliński się pyta Muża [3]), co też to być może?
Ten mu rzecze: To jest nasze helskie międzymorze.
Ono ma, jak wymierzyli, siedem mil długości
Ale czasem jeno sześćset kroków szerokości.
Patrz w to białe, tam na końcu, a dojrzysz latarnie,
Tu zaś wprost naprzeciw dzioba [1]) leżą dwie Jastarnie [2]),
Nasza Pucka, w której polska jest świątynia Pańska,
A co leży zaraz obok, to Jastarnia gdańska,
Dalej k'sobie leży Kusfeld, za nim wieś Cejnowa—
W czterech wioskach nie usłyszysz niemieckiego słowa,
Krom mieszkańców tam z miasteczka, co je zowią Helą,
Wszyscy wiarę z Polakami jak i serce dzielą.
A wieś jedna od wsi drugiej bardzo oddalona,
Za chatami mamy kawał wązkiego zagona;
Bo te drzewa, co się ciągną długim, czarnym pasem,
Co nam wzięły ziemię całą, są królewskim lasem.
Ale my tam ni o grunta, ni o las nie dbamy,
Bo se w morzu pożywienia sieciami szukamy.
My Helanie, to nie znamy woza ani koni,
Bo nas darmo wozi wiater po falistej toni.
Las wspaniały przed oknami tworzą dla nas maszty
Każdy z dumą w górę wznosi wierzchołek śpiczasty.

---

[1]) *Dziób*—ostry koniec półwyspu zachodzący w morze.
[2]) *Wioski kaszubskie.* [3]) Nazwisko kaszubskie.

Nasza Hela najszczęśliwszy z całej ziemi kątek,
Bo kto tu ma parę butów, wielki ma majątek".

Pasmo wzgórz, idących od Uralu i dlatego zwanych Uralsko - Baltyckiemi, dzieli Kaszuby na dwie zupełnie jedna od drugiej odmienne części: północną i południową.

Południowa, to istna pustynia. Piasek, woda, kamień, trochę wrzosowisk, trochę nędznej choiny, a między tem gdzieniegdzie łan chudego żyta, albo skrawek łąki.

Głód dokuczyłby pewnie nieraz krainie, gdyby nie rybne jeziora, a przedewszystkiem małe potrzeby mieszkańców. Skoro Kaszuba ma poddostatkiem kaszy, to już ani dba o chleb i mięso. Więc też w lecie pola w południowych Kaszubach, aż białe od gryki, wyglądają jakby je śniegiem posypano.

Zupełnie inaczej przedstawia się północna, nadmorska część Kaszub, a zwłaszcza okolice Wejherowa, Kartuz [1]) i Oliwy. Wesoło tam i pięknie.

Smugi wspaniałych lasów, łańcuchy wzgórz, rzeczki, strumienie, jeziora, żyzne grunta, tutaj zwane dębowymi, składają całość tak piękną, że ten zakątek ziemi słusznie „Szwajcaryą kaszubską" nazwano. Lud tam bogaty, bo zarobek łatwy. Daje go rola, daje las, daje woda. Łososie, węgorze, flądry, po miejscowemu bańki lub skarpie, a zwłaszcza śledzie rozchodzą się stamtąd w wielkiej ilości do Torunia, Gdańska i Warszawy. Las daje znowu grzyby i jagody, które łatwo spieniężyć w mieście, a żyzna rola — bujne plony.

W dobrym bycie o dobry humor łatwo, Kaszuba więc chętnie przyśpiewuje sobie ulubionego mazura:

---

[1]) Kartuzy—miasto na Kaszubach o cztery mile od Gdańska, leży znacznie bo 266 metrów wyżej niż Gdańsk nad poziomem morza. Rodowód jego taki, jak Bielan naszych.

Przeszed Krzyżak w twardy blasze,
Poleł wse i mniasta.
Za to jego cepe nasze
Grzmocełe lot dwa sta.
Nigde do zgube
Nie przyńdą Kaszube.
Marsz, marsz za wrodziem
Me trzymame z Bodziem.

Pamięć o ucisku krzyżackim do dziś dnia trwa między ludem i gdy Kaszuba chce kogoś nazwać obelżywem mianem, mówi: te komturze [1]). Ropuchę nazywają także komturem.



Kaszuby.

Stałość przechodząca w upór jest cechą charakteru Kaszubów. Niedarmo też powiada przysłowie: „Uparty jak Kaszuba".

Ale ten upór, to trwanie przy swojem, musiało się wyrobić pod wpływem ciągłej walki prześladowczej z Prusakami, którzy wszelkich używają środków celem wynarodowienia Kaszubów.

Bo posłuchajmy, jak o sobie ci ostatni mówią:

[1]) Ty komturze.

Me Kaszube, co mnieszkame w kraju nadwislańścim
Mniedze rzeką Brdą, a morzem, co je zowią gdańscim,
Zawde żesme bele wierni katolicci wierze,
Za to nąm też mowe ojców Pąn Bog nie odbjerze,
Mniemce, choć kłe mają ostre, nigde nas nie zjedzą:
O tym oni ju od dawna samni dobrze wiedzą.

Największem miastem na Kaszubach, jego stolicą jest Kościerzyna, niemiecki Berent, a najpiękniejszą miejscowością wieś powiatowa Kartuzy, ukryta wśród wzgórz lesistych ponad dwoma jeziorami. Kiedyś był tam najbogatszy w całej Polsce klasztor, który istniał trzysta lat z górą.

Miasto Kościerzyna zachowała najbardziej charakter kaszubski, po ulicach wszyscy mówią po polsku. Niestety tego samego nie można powiedzieć o innem mieście — Wejherowie, które w ostatnich czasach niemczą coraz bardziej.

Wejherowo sławne jest swojemi kalwaryami, obleganemi przez tłumy pobożnych pielgrzymów. Prawdziwa, szczera pobożność charakteryzuje bowiem lud kaszubski, kościoły w niedziele bywają przepełnione, a pieśni święte rozbrzmiewają po polach i chatach.

Szczególne nabożeństwo mają do św. Stanisława Kostki i uważają go za patrona ziemi kaszubskiej.

Zakończenie.

I oto koniec naszej podróży!

Zwiedziliśmy spory obszar ziemi: od Małych Karpat na Śląsku aż do „bram bursztynowych morza Bałtyckiego,“ zbaczając co chwila na prawo i lewo, gdziekolwiek tylko nam były przynętą: czy widoki malownicze, czy skarby ziemi, czy dzieła rąk ludzkich, czy pamiątki dawne, mgłą wypadków rzeczywistych lub podań bajecznych owiane.

Zaglądaliśmy i do świątyń Pańskich i do jasnych pałaców i do starych zamków i pod strzechy słomiane, a cośmy tam widzieli i tu opisali, niechaj posłuży do wzbogacenia umysłu.

Opis okolic bogatszych niech zachęca mieszkańców ziemi mniej żyznej, siedzib mniej zamożnych do tem usilniejszej pracy, a trudy ich będą wkrótce nagrodzone.

„Praca—to twierdza, która nie dopuszcza,
By niecne sprawy i złych myśli tłuszcza
Mogły się wedrzeć do naszego łona;
Praca—to ziemia jest błogosławiona:
Łaska ją Boża oświeca i zrasza
I tylko na niej kwitnie cnota nasza“.

Stoimy przy ujściu naszej rzek królowej!

Wisła szumi, wre, kłębi się, pieni, wpada w morze, w jego głębinach bezdennych, ginie od wieków i zginą może i ani wartkości, ani wód jej nie ubywa.

Dużo jest większych, wspanialszych, piękniejszych na Bożym świecie, ale dla nas Wisełka ukochana najmi bo ona nasza, a i my jej swojacy.



ni, wpada w
od wieków i
ubywa.
ych, piękniejs
a ukochana

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Typy ludowe.

Obrzędy i zabawy.

Podania, legendy, baśnie, powiastki.

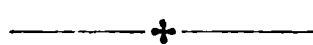
Cudowne miejsca.

Miejscowości lecznicze.

Kopalnie i miejsca fabryczne.

SPIS RYCIN I MAPEK.

Ważniejsze omyłki drukarskie.



strona	*wiersz*	*jest*	*powinno być*
123	3 od dołn	obcasem	obcesem
127	13 od dołu	5,760,000	57,600
129	1 od góry	mało nakładów	żałowano nakładów
146	1 od dołu	Chrobatę	Chrobalę
159	11 od dołu	Kozłowski	Kochowski
164	8 od dołu	Krasnu	Krosnu
195	6 od góry	przewodnik	przodownik
195	12 od góry	ogromna	ogarnia
197	3 od dołu	Huczny	Huczwy
262	1 od dołu	warszawsko-siedlecka	warszawska i siedlecka
285	11 od góry	odprawy	oprawy
303	6 od góry	cacym	całym
306	13 od dołu	Radziwie	Radzinic
307	8 od góry	miechowskiej	michałowskiej



DATE DUE			

